



Jan  
Borysewicz

Mniej obcy

Rozmawia Marcin  
Prokop



Jan  
BOrysewicz  
**Mniej obcy**

Rozmawia **Marcin  
Prokop**



Redakcja: Zofia Lisiewicz, Paweł Sajewicz

Korekta: Jolanta Gomółka

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Iwański

Zdjęcie na okładce: Jacek Poremba/FOTONOVA

Przygotowanie zdjęć do druku: Mariusz Rosa

Fotoedycja: Waldemar Gorlewski

Opracowanie graficzne: Maciej Trzebiecki

Zdjęcia (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki):  
Archiwum rodzinne s. 15, 16, 24, 38, 77, 99; archiwum prywatne s. 44-45, 48, 105, 117;  
archiwum zespołów Lady Pank oraz Jan BO s. 35, 60, 109, 120, 127, 130-131, 139, 152, 177,  
180, 194, 248, 251, 259, 260, 262, 285, 306-307, 339; Akademia Jana Borysewicz s. 20-21,  
199, 293, 325; Małgorzata Burlewicz s. 146, 218, 227, 254, 277; domena publiczna s. 149, 237,  
333, 341; Maciej Durczak s. 187, 346-347; East News s. 240-241, 280; Forum s. 66-67, 166-  
167, 184-185, 312-313; Andrzej Georgiew/Fundacja Archeologia Fotografii s. 142; Darek  
Kawka s. 84-85; Kamil Krzaczynski s. 302-303; Joanna Letkiewicz-Zamora s. 316; Monika  
Madej s. 57; Piotr Nowosiński s. 320; Jacek Poremba s. 6-7, 336-337, 351; PAP s. 156-157,  
172-173, 271; Marcin Skarba/„Children Of The Grave” Studio Tatuazu, Konwent Tatuazu  
„Tattoo Sabat” s. 272.

Wydawca oświadcza, że pomimo podjętych starań nie udało mu się ustalić wszystkich osób uprawnionych z tytułu praw autorskich do fotografii opublikowanych w książce. Prosimy w razie potrzeby o kontakt z Agorą SA (00-732 Warszawa, ul. Czerska 8/10, tel.: 22 555 40 00).

Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © Agora SA, 2022

Copyright © Jan Borysewicz, 2022

Copyright © Marcin Prokop, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-268-4009-8



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# SPIIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Przypisy

- Czego się napijesz?
- Może kawy?
- Nie, kawy nie mam. W zasadzie u nas w domu pijemy tylko wodę.

Gdyby rozmowa z Janem Borysewiczem odbyła się kilka lat temu, dałbym sobie rękę uciąć, że w słowie „woda” zabrakło polskich znaków. I dziś nie miałbym ręki. Ten demon rock’n’rolla, lider „najbardziej niebezpiecznego zespołu w Polsce”, o którego wybrykach krążyły nieprawdopodobne legendy, dzisiaj żyje niczym buddyjski mnich. Na rozmowę o przeszłości, pełnej zakrętów, branych po bandzie w brawurowych poślizgach, umawiamy się wczesnym rankiem w jasnym warszawskim apartamencie. Po podłodze zamiast pustych butelek walają się dziecięce zabawki. Wieczorami Jan już nie balanguje. Wcześniej chodzi spać. Od świtu zamyka się z gitarą w swoim domowym studio. Komponuje. Dużo ćwiczy. Mimo że niezliczoną ilość razy wygrywał plebiscyty na najlepszego polskiego gitarzystę, twierdzi, że przez cały czas się uczy.

Spotykamy się po to, żeby zobaczyć, co tak naprawdę kryje się pod łatkami, które nosi. Skandalista. Wirtuoz. Wrażliwiec. Narcyz. Dyktator. Legenda. Introwertyk. Wulkan. Każde z tych słów jest zaledwie elementem kostki Rubika, którą przypomina jego zmienna i wielobarwna osobowość. A do tego często ukazywana przez filtr medialnych półprawd, przekłamań i tanich sensacji.

Nie interesuje mnie budowanie Borysewiczowi pomnika. Nie napiszę epepei o dzielnym Janku, który uzbrojony tylko w gitarę, stawiał czoła całemu światu, stworzył kilkadziesiąt pokoleniowych przebojów, a swoją popularnością wywoływał masową histerię i od czterech dekad dowodzi zespołem Lady Pank, utrzymując go na szczycie. Bo jest też Janek, który pijany i naćpany zawałał koncerty albo ubliżał ludziom. Janek, który nie zawsze potrafił być dobrym, obecnym ojcem. Janek, który szukał radości w ramionach prostytutek. Janek, który miał realną szansę na wielką, międzynarodową karierę, ale nie dźwignął jej ciężaru. Dlatego umawiamy się, że warunkiem powstania tej książki będzie całkowita

szczerłość. Zmierzenie się z tematami i pytaniami, których zwykle unika w publicznych wypowiedziach. Czasami będzie bolało.

Zanim włączę dyktafon, Borysewicz proponuje coś do jedzenia. Zagląda do lodówki. A w niej elegancko ułożony stosik kilku pojemników. Sałatka z zielonego groszku z ryżem. Warzywny gulasz w stylu hinduskim z pieczoną cieciorą, kolorową papryką i cukinią. Pasta z fasoli i suszonych pomidorów z kielkami. Słowem, rock'n'roll pełną gębą.

– Kiedyś była dieta torebkowa, a dzisiaj jest pudełkowa – kwituje gospodarz. – Dobra, co chcesz wiedzieć?



Są dni, kiedy mówię: „Dość”  
Żyję chyba sobie sam na złość  
Wciąż gram, śpiewam, jem i śpię  
Tak naprawdę jednak nie ma mnie...

*Wciąż bardziej obcy*  
(sł. A. Mogielnicki)



# ROZDZIAŁ 1



*W którym poznajemy chłopaka, co nie lubił fotografii, i choć często przesiadywał z największymi chuliganami na ławce pod blokiem na wrocławskim Sępolnie, to jednak naprawdę przyjaźnił się tylko z bratem. Ten chłopak miał niebywały dar do gitary, ale w tamtych czasach, na początku lat siedemdziesiątych, w biednej, szarej Polsce nie było sklepów z instrumentami. Wszystko, co mógł mieć, to samoróbka, na której po omacku, nie znając nut, szukał nieporadnie pierwszych akordów. Czasami brał tę gitarę do ręki i dociskał struny najmocniej, jak się dało. Krew szła spod palców, a on przez chwilę zapominał o chorobie matki. A potem słyszał jej głos i wstawał w nocy, żeby zanieść mamę do łazienki. Potem niósł jej trumnę. Musiał też nieść trumnę brata, a przecież rozstali się tylko na jeden dzień, gdy grał koncert w innym mieście, na prawdziwej wielkiej scenie. Kiedy wrócił, milicjant pokazał mu kilka zdjęć, a wtedy on nie wytrzymał i rozkwasił mundurowemu nos. Na komendzie przywiązali go do krzesła i lali bez litości. Ten ból był jednak niczym w porównaniu z raną, która na zawsze otworzyła się w jego sercu. Z tamtego czasu zostały tylko wspomnienia, żadnych zdjęć. Oraz pamięć do muzyki, blizny na palcach i proroczy sen o ojcu.*

### **Marcin Prokop: Jakie jest twoje pierwsze świadome wspomnienie?**

Jan Borysewicz: To była zima, uczepiliśmy się z kilkoma dziećmi do cysterny, żeby nas pociągnęła po śniegu. Ale cysterna zamiast ruszyć do przodu, zaczęła się cofać. Pamiętam krzyk mojej matki, która wybiegła z domu. Nie wiem, ile miałem wtedy lat, ale bardzo mi ta scena utkwiła w pamięci. Mieszkaliśmy wówczas na Kleczkowskiej we Wrocławiu. Potem przenieśliśmy się na Sępólno. Nie mam żadnych zdjęć z tamtego okresu, bo nigdy nie byłem zbieraczem przeszłości. Nie dopytywałem, skąd wzięła się moja rodzina, nie dociekałem, co było wcześniej. Jakbym przed tym uciekał. Mam trochę zdjęć w iPadzie, na komputerze, ale takich wywołanych na papierze nie, mimo że zrobiono mi ich pewnie setki tysięcy. Właściwie to mam tylko jedno zdjęcie z dzieciństwa: króciutkie włosy, stoję nad Odrą i się w nią wpatruję. Tyle. Zawsze interesował mnie tylko następny dzień, żyłem do przodu. Mam sześćdziesiąt sześć lat i żadnego albumu ze starymi zdjęciami.

### **Nie interesowałeś się przeszłością swojej rodziny? To naturalna potrzeba większości ludzi – poznać swoje korzenie.**

Zrobiła to moja siostra. Miałem starszego o dwa lata brata Andrzeja i mam o trzy lata starszą siostrę Halinę. Była nauczycielką, teraz jest już na emeryturze. Wysłała mi kiedyś nasze drzewo genealogiczne. Przyjrzałem mu się raz, bez większych emocji. Tu ktoś był w Rosji, tu w Wilnie, tu w Trokach – mój ojciec się tam urodził – ktoś inny wyjechał do Stanów. Ostatnio, gdy graliśmy koncerty w USA, spotkałem się z kuzynką, która tam mieszka. Nie jestem typem utrzymującym kontakt z rodziną. Może dlatego, że gdy moja mama zachorowała, wszystko wokół zaczęło się rozpadać. A słowo „rodzina” zaczęło kojarzyć mi się z bólem, cierpieniem. Mama miała stwardnienie rozsiane. Bardzo ciężka choroba. W tamtych czasach nie potrafiono jej powstrzymać. Na początku, kiedy mama poczuła się źle, wszyscy pomyśleli, że to zwykłe przeziębienie. Ale ona się na dobre rozłożyła. Leżała pięć dni, tydzień, dwa tygodnie i nagle się okazało, że to coś zupełnie innego... Zanim postawiono diagnozę, trochę czasu minęło. Od tej pory to była

choroba całej rodziny. Wtedy też właściwie skończyło się moje dzieciństwo. Miałem trzynaście, może czternaście lat. Zajmowałem się mamą, dopóki mogłem. Robiłem przy niej wszystko. Potem trafiła do domu opieki, bo siostra wyszła za męża, a mój brat odszedł... Przepraszam, nie lubię do tego wracać.



Z rodzeństwem, od lewej: Andrzej, Janek i Halina. Ok. 1960 r.

### **Andrzej był dla ciebie ważną postacią?**

Najważniejszą. To był wtedy mój jedyny przyjaciel. To on nauczył mnie grać na gitarze. Chociaż pierwszy instrument, jaki pokochałem, to była perkusja. Mój ojciec grał na bębnach w zespole jazzowym. Dlatego i ja zacząłem od pałek. Ale szybko się okazało, że tak naprawdę chcę grać na gitarze. To nie było łatwe, bo wtedy takich instrumentów prawie w ogóle w Polsce nie dało się kupić, ale dorwałem gdzieś jakieś pudło. Brat nauczył mnie grać *Dom* wschodzącego słońca, zaledwie parę akordów. Potem chodziłem z tą gitarą po Sępólnie i gdzie tylko ktoś grał, to podglądałem, jak to robi. Teraz możesz włączyć internet i się

uczyć. Ale wtedy były inne czasy, żyło się wśród ludzi. Bardzo różnych. A dziś wszyscy się od siebie izolują, zamykają w swoich bańkach, nie szukają kontaktu z innymi od siebie. A już broń Boże z tymi, którzy mogą być jakimś zagrożeniem. A u nas w dzielnicy mieszkało strasznie dużo łobuzów, więc ocierałem się o wszystkie ludzkie typy, także te spod ciemnej gwiazdy.



Tata Janka (w środku) grywał na perkusji. Lata 60.

**Sępolno to nie było miłe, ładne, strzeżone osiedle, w typie dzisiejszych ogrodzonych fortec dla bogaczy. Miałeś poczucie niedostatku?**

Akurat u nas w domu niczego nie brakowało, nigdy nie chodziłem głodny. Co tydzień pewna pani przynosiła nam ze wsi jajka, ser i śmietanę – znakomite! Walka o przetrwanie, że tak to nazwę, toczyła się na innym poziomie. Chodziło o mamę. Bardzo dużo się nią zajmowałem. Codziennie trzeba było ją znieść po schodach do wózka, zabrać na spacer albo na przykład o czwartej nad ranem wziąć na ręce i zanieść do toalety. To głównie ja opiekowałem się mamą, bo ojciec często wyjeżdżał w delegacje. Uciekał. Miałem do niego o to straszny żal. Ale staram się dom wspominać dobrze. Kiedy mama jeszcze była zdrowa, tętnił życiem i radością. Mój ojciec był rozrywkowym człowiekiem. Grał nie tylko

na perkusji, ale też na akordeonie. Miałem bardzo ładną rodzinę – ciotki były pięknymi kobietami, wujkowie przystojnymi facetami. Kiedy do nas przychodzili, to aż mi się morda cieszyła. Oczywiście rozrabialiśmy, bo ciotki i wujkowie też mieli dzieci, więc myśmy z tymi kuzynami i kuzynkami sobie śmigali. Pamiętam, że czasami zaglądałem do dorosłych i widziałem, że oni też się świetnie bawią. W ogóle było dużo śmiechu w domu. Aż do momentu, kiedy mama zachorowała. Niestety szybko weryfikuje, na kogo można liczyć, więc rodzina zaczęła rzadziej do nas przyjeżdżać. Mama już właściwie nie chodziła, choć przy jakimś spotkaniu rodzinnym wstała i po prostu sama poszła do łazienki. Jakby zapomniała, że coś się z nią dzieje niedobrego. I wszyscy byli w szoku, jak to możliwe? Poszliśmy za nią z ojcem, a ona prawie upadła, w ostatniej chwili ją złapaliśmy. Nigdy później już sama się nie podniosła. Dużo czytałem na temat jej choroby, szukałem lekarstwa. Jeździłem na budowę i pracowałem, żeby zarobić, bo dowiedziałem się o jakichś zastrzykach, które można było sprowadzić ze Stanów. Więc pracowałem na lekarstwa dla mamy. I na gitarę. Mama bardzo chciała, żebym grał. Pamiętam, że nawet gdy już chorowała, to zawiozła mnie do ogniska muzycznego. To też przedziwna historia. Ja już wtedy trochę umiałem. I w tym ognisku po jakichś trzech godzinach zajęć podszedł do mnie nauczyciel i poprosił, żebym pokazał innym dzieciakom, jak zagrać tego bluesa, którego sobie próbowałem. W tym momencie zrezygnowałem. Skoro nauczyciel mówi, żebym coś wytłumaczył dzieciakom, to znaczy, że się od niego niczego nie dowiem. Od tej pory szkoliłem się sam. Od razu pokochałem muzykę rockową. Dla mnie wcześniej świat nie istniał, ja się na dobrą sprawę przebudziłem, gdy usłyszałem Led Zeppelin, Jimiego Hendrixa... Potem poszło już szybko, zachłysnąłem się całą falą dźwięków: Deep Purple, Black Sabbath. To był najlepszy, przełomowy czas dla muzyki rockowej. Oni wtedy tak grali, że dzisiaj załamuję ręce, dlaczego rock nie poszedł jeszcze do przodu, tylko zawrócił w stronę plastiku? To niewyobrażalne, ale muzyka jakby przestała się rozwijać. Ci, którzy teraz chcą zrobić karierę, już nie muszą umieć śpiewać, nie muszą umieć grać. Przerażające. Między innymi dlatego założyłem Akademię Borysewicz, żeby na moich warsztatach ludzie brali do ręki żywe instrumenty.

## **Czy twoją pierwszą gitarą była kultowa jolana<sup>[1]</sup>?**

Nie, to była jakaś dziwna gitara, nie miała żadnego logo ani nazwy producenta. Struny wisiały z pięć centymetrów nad gryfem. Żeby na tym grać, trzeba było się niezłe nagimnastykować. W zasadzie to pierwszą „gitarę” zrobił mi kuzyn Edward, który był stolarzem. Nie miała progów ani strun, po prostu kawałek drewna w kształcie gitary. Przez cały czas pukałem palcami w to drewno. Nie było słycać gitarowych dźwięków, ale ja je miałem w głowie. W tamtym czasie często odwiedzałem znajomych, którzy totalnie wsiąkli w klimat Pink Floyd. Tyle że jak dla mnie dziwnie ten zespół odbierali – zamykali się w domu, zasłaniali okna czarnymi kotarami, zapalali świece i tak dalej. Doszukiwali się w tej muzyce ciemnej strony księżycy, a nie tak jak ja – jasnej i radosnej. W każdym razie, kiedy pewnego razu u nich byłem, zauważyli, że stojąc obok kwiatka w doniczce, palcem wystukuję na liściach słyszana melodię. Muzykę nosiłem cały czas w sobie. Do dzisiaj mi to zostało, dlatego nie lubię długo rozmawiać. Bo nawet teraz, gdy mówię do ciebie, cały czas mam w głowie muzykę i nie mogę się doczekać momentu, kiedy wezmę do ręki instrument i ją z siebie wydobędę. Od samego początku moim marzeniem było, żeby stanąć na scenie i dać ludziom te wszystkie melodie, które są we mnie. Ale kiedy miałem niecałe szesnaście lat i pierwszy raz znalazłem się przed pięćdziesięcioosobową publicznością, przez cały koncert stałem tyłem, bo byłem tak stremowany. Nie potrafiłem odwrócić się do ludzi twarzą. Przez wiele lat tak miałem. Dopiero później znalazłem lekarstwo na tę swoją nieśmiałość.

## **Co było tą magiczną terapią?**

Alkohol. Dał mi dużo odwagi. Stłumił lęk. Lubiłem go za to, że mi pomógł, naprawdę. W pewnym momencie stał się moim kumplem. A z drugiej strony zaczął siać spustoszenie. Ale nie chodzi o moją głowę, tylko o to, że na trzeźwo nie wytrzymałem presji, która pojawiła się, gdy powstał zespół. W zasadzie dotyczyło to całego Lady Pank, więc myśmy wszyscy uciekając od stresu, imprezowali non stop. Tego życia nie dałoby się wytrzymać na trzeźwo. Teraz wokół artystów są całe sztaby ludzi, doradców, a wtedy nie mieliśmy nikogo, kto mógłby nam

powiedzieć: „Dobra, panowie, źle to robicie, tak nie wolno”. Inna sprawa, że na nas by to nie podziałało.



Z uczestnikami warsztatów Akademii Jana Borysewicza.

**Dlaczego nie? Metallica poszła na terapię. Płakali jak bobry, publicznie przepracowując swoje problemy w filmie *Some Kind of Monster*, i chyba wyszło im to na dobre.**

Gdyby ktoś nam wtedy zaproponował coś takiego, tobyśmy go wyśmiali. Owszem, korzystaliśmy z doktorów, ale nie byli to na pewno psychologowie. Do dziś mam w telefonie mnóstwo kontaktów opisanych „doktor Szczecin”, „doktor Wrocław”, „doktor Poznań”.. A w Warszawie to z pięciu doktorów. Przyjaciele musieli być wszędzie, bo nigdy nie wiedzieliśmy, którego z nas i gdzie coś trafi. Karetki czasami przyjeżdżały i na koncert, i do hotelu. Myśmy naprawdę prowadzili bardzo, bardzo rock’n’rollowy tryb życia.

**Do tego jeszcze dojdziemy. Na razie wróćmy do twoich gitarowych początków. Kiedy zacząłeś czuć prawdziwą więź z instrumentem?**



Od razu. Tę gitarę, na której grałem, tę, która miała struny pięć centymetrów nad progami, to tak męczyłem, że mi krew ciurkiem leciała z palców – strasznie bolało, to były żywe rany. Spałem z nią, to znaczy ona cały czas stała przy łóżku. I gdy budziłem się w nocy, brałem ją do ręki i trzymałem z całej siły, dotykałem palcami. To łagodziło ból. Ale dzięki temu wyrobiłem sobie te paluchy. Zobacz, tu już nic nie ma, są tylko wgłębienia od strun... Oczywiście gdybym miał wtedy lepszą gitarę, taką, jakie są obecnie, tobym sobie takich ran nie porobił. Niewiarygodne, jak musiałem te struny naciskać. No ale to nigdy nie był sport dla mięczaków. Zwłaszcza, jak się mieszało na Sępólnie. To nie było miejsce, gdzie na gitarach grali grzeczni chłopcy. Tylko łobuzerka siedziała na ławkach z pudłami. Grali, śpiewali numery Stonesów czy Bitli. No to i ja z nimi siadałem i zaczepiałem: „Pokaż, jak to się gra”. Jakieś wino zawsze przy okazji się pojawiło, to trzeba było się z nimi napić. Kiedyś mój ojciec połamał jednemu na głowie gitarę, bo gość deprawował mu syna. Kazał mi natychmiast wracać do domu. Innym razem zabrał mnie do fryzjera, żeby mi obciąć włosy. Siedziałem na fotelu i płakałem, patrząc, jak moje pióra lecą na ziemię. Z drugiej strony – co powiedziałem ojcu po latach – przynajmniej czułem, że wtedy chciał zadbać o mnie, że się mną interesował.

### **Sam byłem muzykiem, więc dlaczego nie rozumiał twojej pasji?**

Wiesz, jaka była muzyka naszych rodziców. Zupełnie inna niż nasza. Ale gdy ojciec pierwszy raz zobaczył mnie w telewizji, kiedy zagrałem z zespołem Super Pakt, to złożyli się z wujkiem i kupili mi kolumnę głośnikową. Cała rodzina się zeszyła i powiedzieli: „Jak ty tak to kochasz, to w takim razie ci pomożemy”. To był bardzo fajny odruch. W ogóle mi się poszczęściło, bo miałem w dzielnicy znakomitego człowieka, Adama Labogę<sup>[2]</sup>, który już wtedy robił wyśmienite wzmacniacze. Bardzo często u niego przesiadywałem. Kiedyś siedzimy, pijemy sobie wino, on robi wzmacniacz. W pewnym momencie mówię: „Adam, wzmacniacz się pali”. A on, wstając z krzesła: „Kurwa, niech się pali, przynajmniej zobaczą od czego”. No i zjarał się ten wzmacniacz. Adam podszedł, zobaczył: „A, to ten opornik. Dzdichu, dawaj następny, robimy jeszcze raz”. Doszedł w tym do perfekcji. Grałem też w domu

kultury na Sępolnie, gdzie mieli bardzo dobry sprzęt. To było fajne miejsce. Dom kultury mieścił się w kinie Światowid, w tej chwili chyba jest tam kościół. Wchodziło się tak, jak teraz na zakrystię. Tam się wydarzyła bardzo nieprzyjemna historia i gdyby nie mój kolega Jarek, z którym grałem, mogłaby się skończyć tragicznie. W pewnym momencie podszedłem z gitarą do mikrofonu, dotknąłem go ustami i prąd mnie walnął. Nie mogłem się oderwać, a przed oczami miałem jedną wielką kulę błękitu. Nic innego nie widziałem. W pewnym momencie usłyszałem straszny dźwięk, głośny huk, a ten kolega odepchnął mnie, ja się przewróciłem. Gdy puściłem gitarę, wzmacniacz zaczął wyć, bo wszystko się sprzęgło. Więc Jarek uratował mi życie. Do dzisiaj trzymamy się razem, Jarek pracuje ze mną w zespole.



„Sępolno to nie było miejsce, gdzie na gitarach grali grzeczni chłopcy.” Młody gniewny Jan Borysewicz w latach 70.

**W którym momencie z ławki pod blokiem zawędrowałeś na scenę?**

Był we Wrocławiu taki zespół Nurt, Alek Mrożek w nim grał, śpiewał Jacek Baran. Świetna kapela, chodziłem na ich koncerty, szczena mi opadała. Byłem zachwycony. Chciałem tak samo jak oni stać na scenie i grać. Któregoś dnia – nawet pamiętam godzinę, to była siedemnasta – podjechał do tego naszego domu kultury Jacek Baran z całym zespołem i powiedział, że rozchorował się Alek Mrożek, a oni jadą na koncert do akademika, i że muszę z nimi zagrać. Wiedzieli, że jest taki małolat, który biega po całej dzielnicy z gitarą. Jacek Baran widział we mnie talent. Przyszedł więc do tego domu kultury – podczas gdy jego zespół siedział w busie, takim rock'n'rollowym volkswagenie pomalowanym na kolorowo – i mówi, że jedziemy, o dziewiętnastej jest koncert. Ja na to: „Ale przecież nie znam repertuaru”. „Nauczysz się”. No i pojechałem. I bez żadnej próby zagrałem cały koncert. W zasadzie chyba od tego tak naprawdę wszystko się zaczęło. Potem grałem w zespole Super Pakt, a następnie dostałem propozycję grania w polsko-niemieckim zespole Katia & Roman...

**Zanim zapuścimy się w labirynt twojej muzycznej kariery, wróćmy jeszcze na moment do domu rodzinnego. Z tego, co mówiłeś, wynika, że to głównie mama trzymała dom w garści, a tata był raczej nieobecny.**

Pracował jako dyrektor w pewnej firmie i ciągle jeździł w delegacje. Oprócz tego, że ojciec grał amatorsko w zespole, robił wiele innych rzeczy, między innymi boksował. Ja też trochę boksowałem, przez jakiś czas trenowałem w Gwardii Wrocław. Boksowałem też trochę na dzielnicy... Kiedyś mój brat przyszedł do domu pobity. Strasznie się wściekłem, wybiegłem na ulicę, poleciałem dobre dwie przecznice pod kino Światowid i dopadłem w krzakach łobuza, który podniósł rękę na mojego brata. Sprąłem go konkretnie. Dopiero potem się okazało, że gość właśnie wyszedł z więzienia. Po tym wydarzeniu wszyscy zaczęli czuć do mnie respekt. Tak to wyglądało, że za rodzinę gotów byłem walczyć, nie zważając na nic.

**Wspominałeś o szczególnej relacji ze swoim bratem. Kiedy o nim mówisz, szklą ci się oczy. Co się stało z Andrzejem?**

Nie lubię do tego wracać... Jechałem wtedy do Warszawy, miałem zagrać koncert z zespołem Apokalipsa i z Jurkiem Grunwaldem <sup>[3]</sup> i następnego dnia wrócić. Andrzej odprowadził mnie do tramwaju, którym jechałem na dworzec. Po koncercie w Warszawie poszedłem do hotelu zadzwonić do domu i dać znać, że już wracam. Odebrała mama i powiedziała mi, że Andrzej nie żyje. Popełnił samobójstwo. Moja siostra Halina była wtedy w ciąży. Weszła rano do łazienki, żeby się umalować, i na dziesięć minut straciła Andrzeja z oczu. Kiedy wyszła z toalety, mój brat już nie żył. Dziesięć minut, kurwa! Była w szoku. Poszła do mamy, która już wtedy z powodu choroby leżała w łóżku, i powiedziała: „Mamo, Andrzej się powiesił”. A ta kobieta nie mogła ani wstać, ani w ogóle nic zrobić. Leżała nieruchomo, wiedząc, że w pokoju obok na sznurze wisi jej syn. Gdy wróciłem do domu, od razu pojechałem na milicję. Podczas przesłuchania jeden z milicjantów rzucił na stół zdjęcia mojego brata i pogardliwym tonem powiedział: „Co, targnął się na linę, tak?”

**To były zdjęcia zrobione na miejscu tragedii?**

Tak.

**To wtedy pierwszy raz zobaczyłeś Andrzeja martwego?**

(milczenie)

**Jak zareagowałeś, kiedy milicjant pokazał ci te zdjęcia w tak ohydny sposób?**

Rzuciłem się na niego z pięściami. Nie miał prawa tak się zachować. Potem na komisariacie przywiązali mnie do krzesła i do nieprzytomności napierdalali rękami, żeby nie było śladów.

**Czy kiedykolwiek dowiedziałeś się, dlaczego Andrzej odebrał sobie życie?**

Wydaje mi się, że przez dziewczynę. Nie chciałbym tego dalej rozgrzebywać.

**Co się potem najbardziej zmieniło w twoim życiu? Dla dzieciaka, którym wtedy byłeś, to musiało być jak uderzenie pięścią.**

Niedługo potem wyprowadziłem się z domu. Wynająłem mieszkanie na Sępólnie i zacząłem pracować. Różne to były prace... Coś ci powiem. Pochowałem trzy bliskie mi osoby: brata, mamę i potem ojca. Jak niesłem trumnę z moim bratem, to trumna się przechyliła na bok. Tak samo było z moim ojcem.

### **Czułeś, że to jakiś znak?**

Myślę, że tak, ale kto to wie, jaki? Moje życie jest pełne znaków, których nie potrafię zinterpretować. Na przykład bardzo często napotykam liczbę „55”. Dlaczego akurat tę? Kto i co chce mi przez to powiedzieć? Jadę samochodem, nagle widzę gdzieś na murze „55”. Sprawdzam w Empiku płyty, kto jest na którym miejscu, nagle patrzę, moja solowa płyta dwa dni temu na pięćdziesiątym piątym miejscu. Mam tych znaków mnóstwo, czasami robię sobie nawet zdjęcia w takich sytuacjach. Mówię o tym mojej Małgorzacie, a ona: „Przestań, to zbieg okoliczności”. A ja: „Gosia, tego jest tak dużo, że to się w pale nie mieści”. Sytuacja jak z jakiejś książki Stephena Kinga. Tylko do czego to zmierza?

### **Miałeś poczucie, że źle się stało, że cię przy Andrzeju nie było? Że to się wydarzyło akurat wtedy, kiedy nie mogłeś nic zrobić, bo byłeś daleko?**

Bardzo często o tym myślałem, ale kto to mógł przewidzieć? Myśmy się śmiali, rozmawiali: „Czekam na ciebie, bracie, jutro”. Jechałem tylko na jeden dzień, żeby zagrać i wrócić. Nie obwinałem się za to, co się stało. Jedna rzecz, która mi wtedy przez głowę przeszła, to to, że gdybym cokolwiek wyczuł, to może bym nie pojechał albo zabrałbym go ze sobą. My nawet rozmawialiśmy, że gdy będę grał, on będzie ze mną jeździł. Tego dnia, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, Andrzej był w zajebytym nastroju.

**Czy po jego śmierci miałeś poczucie, że skończył się czas niewinności? Takiego dzieciństwa, które oznacza, że nie myślisz o sprawach ostatecznych, po prostu życie się toczy, jest fajnie. I nagle dzieje się coś takiego, co sprawia, że już nigdy nie jesteś taki sam.**

Fajnie to było, jak mama była zdrowa i potem jeszcze przez jakiś czas na początku jej choroby. Na przykład nauczyłem się gotować, bo robiłem wszystko w domu. Lepiłem pierogi, uszka i takie rzeczy... No tak się ułożyło. Nie tylko w moim domu były różne nieszczęścia.

### **A siostra jak się w tym wszystkim odnalazła?**

Halina była najstarsza, mieszkała w akademiku. Miała swoje życie. Ja skończyłem podstawówkę, potem z tym moim przyjacielem Jarkiem chodziliśmy do wieczerówki koło Iglicy<sup>[4]</sup> i ówczesnej Hali Ludowej<sup>[5]</sup>. Żeby dostać się do tej szkoły, musieliśmy mieć zaświadczenie, że pracujemy. Więc zatrudniliśmy się w drukarni. Wpadliśmy na genialny pomysł, żeby drukować pieniądze. Chcieliśmy „zarobić” na fajki i wino. Zaczęliśmy robić pięćsetki, które wtedy były w obiegu. Udało nam się parę banknotów w kiosku Ruchu rozmienić: kupowaliśmy jakieś gumy do żucia i tego rodzaju rzeczy i mieliśmy na papierosy i wino. Żeby nikt nas nie złapał, nie robiliśmy tego we Wrocławiu, tylko jeździliśmy do jakichś wsi i wieczorami rzucaliśmy te pomięte „pieniądze” kasjerkom. W końcu zrezygnowaliśmy, bo to już było za grube, mogło się skończyć kryminałem. Młodzi ludzie czasami robią takie głupie rzeczy. Wszystko, co nielegalne, jest po prostu pociągające i fantastyczne. Oczywiście do czasu, aż cię złapią. Pracowaliśmy więc w tej drukarni, a potem w parku przy Hali Ludowej. To piękne miejsce, uwielbiałem tam chodzić. W tym parku grabiliśmy liście. Pracował tam też taki człowiek z jednym zębem, który jeździł zetorem<sup>[6]</sup> i ciągle nas opierdalał, że nic nie robimy, tylko się śmiejemy i palimy papierosy. Wykorzystywaliśmy też przejeżdżające w okolicy tramwaje, żeby trochę połobuzować. Wtedy tramwaje miały rozsuwane drzwi, ale ręcznie, nie automatycznie. Te drzwi ciągle się psuły, więc w zasadzie przez cały czas były otwarte. Gdy staliśmy akurat blisko tramwaju, który przez ten park przejeżdżał, przez te popsute drzwi wrzucaliśmy do środka gałęzie. Uważaliśmy, że to znakomita zabawa.

**Podobno kobiety kochają łobuzów. Czułeś już wtedy, że działasz na nie swoim urokiem?**

Kiedyś spodobała mi się jedna dziewczyna i chciałem się z nią umówić. Ale akurat wtedy ojciec zabrał mnie do fryzjera i obciął mi włosy. A ja mam trochę odstające uszy. To znaczy teraz może to się tak nie rzuca w oczy, ale gdy byłem młody i miałem krótką fryzurę, to te uszy nie wyglądały za dobrze. Pomyślałem, że przecież nie pójdę, kurwa, na randkę taki obcięty. Pojechałem więc na targ gdzieś na Krakowską i kupiłem sobie perukę oraz degolówkę. Degolówka to taka czapka, jaką nosił generał de Gaulle. Przycisnąłem perukę tą czapką, kupiłem dwie gumy balonowe Donald i poszedłem na randkę. Wsiadamy z tą dziewczyną do tramwaju z otwartymi drzwiami, trzymamy się za rączki, jedziemy przez park, ja cały szczęśliwy, i w pewnym momencie zawiął wiatr i mi to wszystko z głowy spadło. Tak się zawstydziłem, że wyskoczyłem z tramwaju i uciekłem. Moje pierwsze doświadczenia z dziewczynami nie były udane. Późniejsze zresztą też. Prawie wszystkie moje związki trwały krótko. Ja chyba taki jestem, że za szybko biegnę do przodu, a inni muszą mnie gonić. Nawet dzisiaj była taka sytuacja, że przysłży zdjęcia z komunii Marysi, córki mojej partnerki Małgosi. I ja otwierając tę paczkę nożykiem do cięcia papieru, przerysowałem główne zdjęcie i ramkę. Wiesz, co zrobiłem? Natychmiast zadzwoniłem i poprosiłem, żeby mi to zdjęcie przysłali ponownie. I jeszcze dwa dodatkowo zamówiłem. Po prostu wszystko muszę załatwić od razu. Musi się dziać teraz, natychmiast. Niektórzy ludzie tego nie rozumieją. Moja Małgosia tego nie rozumie. Pytam ją: „Czy zrobiłaś fakturę? Czy zrobiłaś dokumenty?” „Nie!” „Gosia, ale ja ci o tym mówiłem trzy dni temu!” Często mam spięcia przez to, bo nie lubię odkładać rzeczy na później. Kiedyś rozstawałem się z pewną kobietą, z którą byłem kilka lat, i ona zapytała: dlaczego? Powiedziałem jej: „Bo ja idę cały czas do przodu. Zmieniam wszystko, rozwijam się. A ty zostałaś mi trochę w tyle. Przepraszam cię, ale się rozstajemy!” Może po prostu za szybko żyję? Ale też strasznie dużo od siebie wymagam. To nie tak, że kogoś zostawiam, bo nawaliłem, bo coś zepsułem, ja po prostu ciągle chcę iść naprzód. Odcinam rzeczy i ludzi, którzy trzymają linę za mocno i nie pozwalają mi się rozpędzić. Albo za słabo i za bardzo pozwalają mi się rozluźnić. Bo w drugą stronę to też działa fatalnie. Byłem w takim związku, w którym panowało po prostu rozpasanie totalne i to się okazało bardzo niebezpieczne.



## **A jak jest w twoim obecnym związku z Małgosią?**

Wiem, że chciałbym z nią spędzić całe życie. Bo to jest chyba pierwsza kobieta, z którą nie zgadzam się w wielu sprawach i często się o nie kłócimy, ale ona potrafi przekonująco bronić swoich racji. Ma mocny kręgosłup. Nie odpuszcza. I to mi imponuje. A przede wszystkim bardzo się kochamy. Gdy jesteśmy blisko siebie, to jest nam dobrze. To wszystko brzmi tak prosto i banalnie, ale uwierz mi, osobie takiej jak ja nie jest łatwo taki stan osiągnąć.

## **Może po prostu w wieku sześćdziesięciu paru lat wreszcie wydorósłaś?**

Dawno temu sobie obiecałem, że nigdy nie dorosnę. Mój ojciec kiedyś powiedział do mnie: „Ty gówniarzu”. Odpowiedziałem mu: „Wiesz co, ojciec, jak dorosnę, to ci przysięgam, że do nikogo w życiu tak się nie zwrócę”. I dotrzymałem słowa. Nawet jak były jakieś nieprzyjemne sytuacje z małolatami, zawsze starałem się porozmawiać. A nie, żeby nawrzucać: „ty gnoju, ty gówniarzu”, bo tak jest najprościej. Taka odzywka do własnego dziecka... po prostu bardzo mnie to zniesmaczyło. Albo sytuacja z bananami. W tamtych czasach w sklepach prawie niczego nie było. I nagle w domu znalazły się banany. Jem tego banana, a ojciec w pewnym momencie podchodzi i mówi: „Nie wpierdalaj jak kartofli”. Ledwo przełknąłem, tak mi się przykro zrobiło... Gardło mi się ścisnęło. Nic nie powiedziałem. Ale po latach kupiłem sobie kilogram bananów, zjadłem wszystkie, porzygałem się i pomyślałem: „No to masz, ojciec, patrz, czego mnie nauczyłeś”.

## **Czy kiedykolwiek miałeś okazję pojednać się z ojcem? Wytłumaczyć mu z perspektywy dorosłego człowieka, że to, co robił, nie zawsze było dobre?**

Mój ojciec, kiedy miał sześćdziesiąt lat, przyjechał do Warszawy. Dałem mu skórzany płaszcz, kowbojki, dżinsy, kupiłem mu trochę ciuchów i poszliśmy w miasto. Wynajmowałem wtedy mieszkanie na Koszykowej. Łaziliśmy po różnych knajpach. Cały czas obserwowałem ojca, jak zaczepiał wszystkie kelnerki, jaki był zalotny. Ale faceci chyba tak mają, że jak wypiją głębszego, to od razu chcą być tacy serdeczni.

Ojciec najwyraźniej dobrze się bawił. Miło było to obserwować. Po pewnym czasie wróciliśmy do domu, siedzimy, ojciec się śmieje, opowiada różne rzeczy o kobitkach i tak dalej. Włączyłem *Pawanę na śmierć infantki* Ravela, a ojciec mówi: „Czemu takie pierdoły puszczasz?”. Popatrzyłem na niego i zebrało mi się na szczerość: „Tato, chcę ci powiedzieć, że tak naprawdę to jako ojciec się nie sprawdziłeś. Mam do ciebie żal o to, że w zasadzie nas nie przypilnowałeś i że mój brat się powiesił. Nie zadbałeś o nas. Wiem, że dbałeś o mamę, bo widziałem to wielokrotnie. Ale nie dopilnowałeś wszystkiego. I ta nasza rodzina się tak po prostu rozpiardoliła”. Na co ojciec: „Ale co ty, synu? Jak możesz tak mówić?”. Wydawało się, że nic do niego nie dotarło. Następnego dnia pojechał. Kolejnej nocy miałem sen, że mój ojciec w takich białych barchanowych spodenkach wchodzi do białego pokoju, gdzie jest kobieta, z którą wtedy byłem. I mówię: „Ojciec, co ty tutaj robisz?”. Nagle dzwoni telefon. Ale nie we śnie, tylko naprawdę. Otwieram oczy i myślę: „Ja pierdolę, on nie żyje”. Wiedziałem, że zmarł, zanim odebrałem telefon. Podnoszę słuchawkę, a tu dzwoni mój szwagier i mówi: „Jan, słuchajj...”. A ja na to: „Wiem”.

**Ale przynajmniej zdążyłeś ojcu wyznać to, co w tobie siedziało przez tyle lat.**

Tak. Ale powiem ci, że ten sen był niewiarygodny. Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś takiego. Ja do tego czasu nie paliłem trawy ani nie brałem żadnych narkotyków, żeby można było powiedzieć, że złapałem jakiś odłot. Jeszcze do tego wszystkiego w głowie mi brzęczała ta *Pawana* na śmierć infantki. Białe pokój, wszystko na biało. Mój ojciec w białych spodenkach i kobieta, z którą byłem. I nagle ten telefon. A wiesz, co jeszcze powiedziałem ojcu podczas tamtej rozmowy? „Jak byś umarł, to chyba nie zapłacę za tobą”. I nie zapłakałem.



„Zachłysnąłem się całą falą dźwięków: Deep Purple, Black Sabbath. To był najlepszy, przełomowy czas dla muzyki rockowej”

### **A później?**

Trochę to trwało, ale potem zacząłem z nim czasami rozmawiać. Z bratem ciągle gadam, on cały czas jest ze mną. Kiedy jeszcze ojciec żył, pojechalśmy z Lady Pank do ZSRR. Graliśmy koncert w Wilnie. Poprosiłem wtedy cały zespół, żeby pojechali ze mną do Trok, skąd pochodził ojciec, i zobaczyli, gdzie są moje korzenie. To bardzo piękna miejscowość, malutka, z wysepką, na której hrabia Tyszkiewicz miał swój pałac. Chodziłem od domu do domu i pytałem ludzi, czy coś im mówi nazwisko Borysewicz. Nic. Już mieliśmy wracać, nagle widzę, że w otwartym na oścież oknie siedzi taka kobitka i czyta książkę. Więc ją pytam: „Przepraszam, czy mówi pani coś nazwisko Borysewicz?”. A ona podnosi wzrok i mówi: „Bezwzględnie tak”. Zaprosiła mnie do siebie, zaczęła mi opowiadać, że była narzeczoną brata mojego ojca, czyli mojego stryja Henryka, z którym bardzo dobrze żyłem i bardzo często się z nim spotykałem. Opowiadała mi różne rzeczy, na przykład, że dziadek był bogatym człowiekiem, bo wypożyczał ludziom łódki. Sporo się od niej dowiedziałem. Wcześniej kupiłem książkę o Trokach i ona mi w niej napisała dedykację dla taty. Mój ojciec się strasznie popłakał i dziękował, że pamiętałem o nim, że chciało mi się sprawdzić coś

takiego. To był moment, kiedy zrobiłem coś dla niego, mimo że miałem żal za to wszystko, co się stało.

### **A co mógł według ciebie lepiej zrobić? Co zaniedbał?**

Wydaje mi się, że mógł więcej być. Jestem pewien, że wystarczyło być więcej. To prawda, że on miał pracę, często wyjeżdżał, ale można to było tak poukładać, żeby być bliżej rodziny. Wiesz, że byłem prowodyrem ucieczki z domu naszej trójki? Ja, najmłodszy, wyciągnąłem z domu starszą siostrę i starszego brata i uciekliśmy do dziadków, siedemdziesiąt pięć kilometrów pociągiem do Góry Śląskiej.

### **Dlaczego uciekliście?**

Wydaje mi się, że włamaliśmy się do barku i coś w nim narozrabialiśmy. Ojciec po nas przyjechał i wszyscy dostaliśmy wciury. Chyba nie powinno się tak robić, tylko raczej wytłumaczyć. Podczas tamtej rozmowy też ojcu powiedziałem: „A nie można było porozmawiać z nami? Co mi to dało, że miałem siniaka na dupie? Trzeba było porozmawiać. Wielu rzeczy, które zrobiłeś, nie rozumiałem i nie rozumiem do dzisiaj”

### **A ojciec zrozumiał twoje pretensje do niego? Powiedział: „Słuchaj, synu, myliłem się, nie potrafiłem, przepraszam”?**

Kiedy po raz ostatni przyjechał do mnie do Warszawy i chodziliśmy po knajpach, to wydawało mi się, że on był taki szczęśliwy, jakby w zasadzie nigdy nic się nie stało. A według mnie bardzo dużo się stało. On powinien był ze mną o tym wszystkim pogadać, powiedzieć: „Synu, było tak i tak”. Tego bym oczekiwał. I kiedy go widziałem takiego totalnie zawadiackiego, takiego imprezowicza, to sobie pomyślałem: „Kurwa, może on nic nie kuma, może czas mu to powiedzieć?”. Żałowałem potem, że mu wszystko wygarnąłem, bo może ta rozmowa przyczyniła się do jego śmierci. Może on nosił w sobie tę winę, że dał dupy, że mógł to inaczej rozegrać? Uważam, że jak ktoś się decyduje na rodzinę, to wszystko powinien dla niej poświęcić. Tak mi się wydaje. Chociaż sam musiałem dorosnąć do roli ojca. Mam dwie córki. Kiedy starsza z nich stała się dorosła, to się z nią umówiłem: „Asia, masz swoje życie. Jestem twoim ojcem, kocham cię, ale musisz mieć swoje życie. Ja

też chcę mieć swoje. Rozumiesz? Natomiast gdy się urodziła Alicja, to było tak, jakby Bóg w zamian za moją mamę dał mi to dziecko. Z nią jest inaczej. Mimo że ona studiuje i mieszka we Włoszech, codziennie po parę razy jesteśmy w kontakcie.

### **Skoro byłeś tak surowy w ocenie swojego ojca i stawiałeś mu tak wysokie wymagania, dlaczego zaniedbałeś Joannę?**

Może dlatego, że wtedy byłem za młody. To wszystko stało się tak nagle. Mój brat się powiesił, Dance też umarła matka. Idąc przez dzielnicę, zderzyliśmy się głowami. Ja płakałem, ona płakała i tak się poznaliśmy. A potem zaszła w ciążę. To była klasyczna wpadka dwojga ludzi, którzy się ledwie znali. Powiedziałem jej, że jestem za młody, że się absolutnie do tego nie nadaję. A ona na to: „To w takim razie sama urodzę, a ciebie nie chcę znać”. Poczuję się winny. Obszedłem więc kilka razy tę ławkę, na której siedzieliśmy, i powiedziałem: „Dobra, niech będzie, weźmiemy ślub”. Dodatkowo nasze rodziny naciskały, że skoro już zdarzyła się taka sytuacja, to trzeba zachować się „dorośle”. Takie czasy, tak się wtedy myślało. No, ale tak chyba nie można zakładać rodziny? Oczywiście mieliśmy trochę radości, bo ślub i tak dalej, ale nie traktowaliśmy tego wszystkiego zbyt poważnie. Sam byłem wtedy dzieciakiem. Kiedy natomiast urodziła się moja druga córka, Alicja, gdy ją wyniosłem ze szpitala, cały się trząsnę jak galareta ze szczęścia, że mam dziecko, które... pojawiło się we właściwym momencie. Może nie powinienem tego mówić, ale... takie wymarzone. Chociaż to nie jest tak, że kiedy urodziła się Asia, byłem wobec niej obojętny. Cieszyłem się, zajmowałem się nią, przez moment byliśmy rodziną. Tylko potem ruszyłem w świat, czyli z Wrocławia do Warszawy, zaczęło się Lady Pank i moje ojcostwo się rozmyło. Nie byłem na nie gotowy. Dziś kontaktujemy się ze sobą bardzo rzadko. To ja tak chciałem, to była moja decyzja. Skoro nie uczestniczyłem w wychowaniu Aśki, nie miałem wpływu na jej wybory, na to, jakim jest człowiekiem, to trudno dziś udawać więź, której nigdy nie było. Takie rzeczy też się zdarzają. Ale nie chcę siebie obwiniać tak do samego końca, bo istniały również inne przyczyny tego, że usunąłem się z życia Joanny.



Szczęśliwy tata z drugą córką, Alicją.

**Nie wydaje ci się, że powtórzyłeś błędy własnego ojca w relacji z Joanną?**

Oczywiście, że tak. Ale co ja mogę więcej zrobić? Gdy była małym dzieckiem, starałem się robić wszystko, byłem przy niej cały czas. Ale jeżeli dorosła osoba nagle zaczyna mieć do ciebie jakiś żal i grająca na twoim poczuciu winy, próbuje cię materialnie wykorzystywać, no to przepraszam, ale jednak nie mogę przez całe życie być jej zakładnikiem. Zwłaszcza że jej kolejne prośby o pieniądze pojawiały się, kiedy była już samodzielna, miała partnera, więc nie poczuwałem się do obowiązku, żeby ją finansować. Oczywiście pomagałem, jak mogłem, ale w pewnym momencie nie czułem się już jak ojciec, tylko jak bankomat. Przepraszam, jeśli brzmi to brutalnie, ale tak to niestety zacząłem postrzegać. Na pewno Asia ma swoją wersję, która może nie zgadzać się z moją. Jednak uważam, że do czasu, kiedy byłem w domu, byłem bardzo dobrym ojcem. Ona o tym wie. Chyba o tym wie.

**Zmieniając temat, czy twoja mama doczekała momentu, kiedy osiągnąłeś sukces z Lady Pank?**

Tak, ale doczekała też tej mojej wrocławskiej afery... Wiesz, jak mama zareagowała, gdy wybuchła ta sprawa? Przytuliła mnie i powiedziała, żebym się nic nie martwił, że ona mnie kocha i uważa, że w zasadzie to mnie bardzo skrzywdziła. Nie wiem dlaczego. Był też taki moment, że prosiła mnie, żeby jej czytać Biblię. Więc czytałem. Mama była bardzo wierząca. A gdy umarła, to ksiądz powiedział, że jej nie pochowa, bo nie widywał jej w kościele. Kurwa, powiedział to o kobiecie, która leżała przykuta do łóżka, rozumiesz?! A chodziło tylko o to, żeby zapłacić pięćset złotych. Jak się znalazło pięćset złotych, to nagle stała się wierząca i od razu mogli ją pochować. Ja ogólnie jestem z Kościołem na bakier. Ale kiedyś sobie obiecałem, że pójdę na pielgrzymkę dla brata i dla mamy. I poszedłem z Warszawy do Częstochowy z grupą akademicką, dłuższą trasą. Pierwszego dnia przeszliśmy czterdzieści dwa kilometry. Wieczorem dostałem wysokiej gorączki, a następnego dnia o szóstej rano już był wymarsz. Ledwo stałem na nogach. I kiedy widziałem, jak ta moja grupa się oddala, a ja mam wrażenie, że zaraz umrę, to padłem na kolana, spojrzałem w górę i mówię: „No, toś mi teraz przypierdolił, Boże”. I zacząłem się śmiać, że Bóg mi dowalił, żebym sobie nie myślał, że samo przejście pielgrzymki załatwi wszystkie sprawy pomiędzy mną a nim. „Nie będziesz miał tak łatwo, Janek”.

### **Zawsze byłeś wierzący?**

Nie, ale moja mama tak, a ja robiłem to, o co mnie prosiła. Podczas tamtej rozmowy u mnie zapytałem ojca, czy pamięta, jak przyszedł do nas ksiądz po kolędzie. Ojciec zażartował wtedy, że „mamy tu takiego jednego gagatka”, i się zaśmiał. A ksiądz złapał mnie z całej siły za pejs i zaczął podnosić. Wiesz, jak to jest, jak się złapie za włosy przy uchu. Powiedziałem ojcu wtedy, po latach: „Patrzyłem na ciebie, czy zareagujesz, a ty nawet nie drgnąłeś. Zaciskałem zęby, łzy mi leciały, a ty nic. Jakby ktoś coś takiego zrobił mojemu dziecku, to ja bym go, kurwa, na kopach z domu wyrzucił”. Wiele takich rzeczy mu mówiłem. Prosty przykładów, które zostają gdzieś w człowieku. Ja to nazywam takimi małymi szufladkami, w których chowamy różne urazy. I kiedy teraz rozmawiamy do książki, to muszę te szufladki otworzyć i sobie przypomnieć. A najchętniej to je zamykam i nie ruszam. Niech sobie

będą, muszą być, bo w nich są rzeczy, które się wydarzyły, ale niech będą zamknięte, żeby nie raniły tak codziennie.

### **W końcu wybaczyłeś ojcu?**

Tak, dwa lata po jego śmierci, powiedziałem mu: „Wszystko było OK. Działy się różne złe rzeczy, ale i tak dawałeś radę”. Jednak trochę czasu mi to zajęło.

### **Wracając jeszcze do twoich wrocławskich czasów, czy oprócz brata miałeś wtedy przyjaciół, ludzi bliskich, którzy tworzyli twoją paczkę, czy byłeś raczej samotnikiem?**

Był Jarek, ten od muzyki i od ratowania życia. Potem ruszyłem w świat, a on też wyjechał, do Niemiec, i nasze drogi troszeczkę się rozeszły. Ale w tamtych czasach był dla mnie najbliższym człowiekiem. I Adam Laboga, oczywiście. Z nimi dwoma się spotykałem. Gdy przyjeżdżałem do Wrocławia, od razu jechałem na Sępolno i tam sobie siedzieliśmy, graliśmy na gitarach, popijaliśmy łyskacza i wspominaliśmy stare czasy. Lubiłem odwiedzać Adama, bo on cały czas robił jakieś nowości. Kiedy Jarek stracił pracę, powiedziałem: „To chodź do mnie”. Pomaga przy zespole, przy technice, zajmuje się też reklamą, sprzedażą gadżetów na koncertach. Ale spotykamy się też towarzysko i zawsze jest mi miło, bo myśmy bardzo dużo czasu jako młode chłopaki spędzili razem.

### **Gdy w tamtych czasach brałeś się za gitarę, to co było twoim marzeniem? Żeby opowiadać ludziom o sobie i o tym, conosisz w swoich szufladkach? Czy żeby być biegłym technicznie, popisywać się niedościgłą wirtuozerią i wzbudzać podziw? Jaka była twoja motywacja, żeby się tym zajmować?**

Przede wszystkim chciałem nauczyć się grać tak jak Hendriks, jak Jimmy Page. To mnie rajcowało. Nigdy nie myślałem, że założę zespół i będę miał stado panienek. Nigdy. Znam muzyków, którzy mówili: „Założymy zespół, to będziemy jeździć na dupy”. Ja się zawsze brzydziłem takim podejściem. Traktowałem rock'n'roll jako balangę, ale muzyka to rzecz osobna. Gdy grałem z Budką Suflera, to bardzo mi się nie podobało, jak po koncertach spotykały się jakieś zespoły i jeden gadał na drugiego.



Każdy miał zdanie na twój temat, na temat twojej gry. Więc gdy sam założyłem zespół, to zabroniłem dyskusji o muzyce po koncertach: „Panowie, jest impreza i absolutnie nie rozmawiamy o graniu. Macie się bawić i koniec”. I tak było. Jeżeli ktoś z innej kapeli zaczynał o tym mówić, to myśmy go zbywali żartami. Bo to było niepotrzebne. Oficjalnie w naszym środowisku niby nie było zawiści, ale to gówno prawda. Oczywiście, że była i zawsze będzie. Jak jest dziesięć zespołów i twój na pierwszym miejscu, to dziewięć pozostałych mówi: „A dlaczego, kurwa, oni?”

### **Kiedy po raz pierwszy stanąłeś na scenie nie jako terminujący w domu kultury chłopak, tylko świadomy muzyk?**

To było z zespołem Super Pakt, bodajże w 1972 roku. Byłem wtedy typowym sidemanem, który grał swoje, nie komponował i dostawał jakąś działkę od występów. Nie patrzyłem wtedy na warunki finansowe. W tamtych realiach nie było mowy o tym, żeby za honoraria z koncertów kupować sobie cokolwiek ponad rzeczy niezbędne jak jedzenie. Nigdy zresztą nie kalkulowałem, że muzyka będzie moim sposobem na wzbogacenie się. Chciałem tylko grać na gitarze i wiedziałem, ile pracy jest przede mną, ile nauki. Nie obmyślałem żadnego planu B. Ale spore pieniądze pojawiły się dość szybko, kiedy w wieku siedemnastu lat przyłączyłem się w Berlinie Wschodnim do polsko-niemieckiego zespołu Katia & Roman. Tę grupę założyła część muzyków, którzy wcześniej występowali w Super Pakcie. Na froncie stanęli Romek Runowicz z wrocławskiego zespołu Romuald i Roman oraz jego niemiecka żona, wokalistka Katia. Wyjechaliśmy na trasę do NRD. Grałem tam przez dziewięć miesięcy. Nie zrealizowaliśmy razem żadnej płyty. Takie poważne nagrywanie zaczęło się dopiero od Budki Suflera.

**Czy w tamtym okresie prowadziłeś już bujne, rock'n'rollowe życie, z którego zasłynąłeś później, w czasach Lady Pank? Czy raczej to przygrywanie różnym zespołom było dla ciebie rodzajem pracy i poza sceną nie działało się nic spektakularnego?**

No co ty, było wszystko naraz! Tyle że nie wyglądało to tak, jak w amerykańskich filmach, gdzie pod hotelem czekają na ciebie napalone i piszczące groupies. Może czasem stało kilka dziewczyn, ale zasadniczo życie po koncercie toczyło się w hotelu. Schodziło się do słynnego „Piekietka”, tam się piło, były też kobiety do towarzystwa, które się potem zapraszało do pokoju. Całymi nocami siedzieliśmy w tych pokojach. Tak było za komuny.



Początki z zespołem Super Pakt. Lata 70. Jan Borysewicz trzeci od lewej.

**À propos, jak wyglądały wówczas twoje relacje z tzw. systemem? Muzyka rockowa była przecież na celowniku jako wywrotowa i niebezpieczna. Wy co prawda nie graliście punk rocka i nie nawoływaliście otwarcie do obalenia komuny, ale musieliście mieć jakieś kontakty z aparatem władzy.**

Odczułem to na własnej skórze, dopiero mając własny zespół we Wrocławiu, kiedy wyrzuciłem milicję spod sceny, bo pałowała ludzi. Poprosiłem publiczność, żeby się odsunęła, a milicji kazałem wypierdalać, dosłownie. I oni wyszli. Potem znajomi mówili, że muszę

trochę uważać, bo tam się na mnie szykują. Zdarzały się tego rodzaju sytuacje. Wzywano nas też na przesłuchania. Na jednym z nich młody człowiek mi powiedział: „Już tak nie będziecie sobie folgować. Już niedługo, tylko do wakacji będziecie sobie po świecie jeździć, a potem wszystko zamykamy. Pasporty wam pozabieramy, nigdzie nie wyjedziecie”. Jakoś nie pozabierali. Ja się śmiałem z takich rozmów. Chłopak, który miał może ze trzydzieści lat i on takie rzeczy do mnie mówił z zaciśniętymi zębami – mnie to bawiło. Poza tym pamiętaj, że wyjechać za granicę można było tylko przez Pagart – organizację, która zrzeszała artystów, ale też reglamentowała im możliwości pracy za granicą. Niby miałeś paszport, ale dostawałeś go tylko na chwilę, po powrocie musiałeś ten paszport oddać. Trudno było wyjechać, z drugiej strony jednak Pagartowi też zależało na tym, żeby zespoły grały za granicą, bo z tego była kasa. Organizowali więc takie wymiany, najwięcej było do Rosji. Ja pojechałem tam z Budką Suflera.

**Zdaje się, że później także z Tadeuszem Nalepą<sup>[7]</sup>. To był już w tamtych czasach człowiek legenda, ojciec polskiego bluesa. Jak trafiłeś do jego zespołu?**

Tu musimy jeszcze na moment wrócić do mojego ojca. Kiedyś w telewizji leciał utwór *Gdybyś kochał, hej Breakout*. To się zaczynało: „Gdybyś lubił mnie choć trochę, hej”. Pamiętam, że patrzyłem w telewizor z otwartą japą i myślałem: „Boże, ja chcę tutaj grać!”. Chwilę później ojciec odciąga mnie od telewizora, wyłącza go i każe mi uciekać z salonu. A ja na to: „Zobaczysz, ja z nim kiedyś będę grał!”. Gdy występowałem z Budką Suflera, Tadek zapytał, czy może mnie wynająć na trasę po Związku Radzieckim. Romek Lipko<sup>[8]</sup> wtedy powiedział: „Tylko masz mi go przywieźć z powrotem” i zostałem „wypożyczony” na miesiąc. I tak zakumplowałem się z Tadkiem. O Jezu, co tam się działo, człowieku! Koniaki, wódka, kawior i jaja na twardo, nic więcej nie było. Wróć do tego jeszcze później, na razie próbuję ci odpowiedzieć na pytanie, które mi wcześniej zadałeś – czy miałem jakiś plan B, czy ja bym robił coś innego w życiu, gdybym nie grał? Zawsze wierzyłem, że swoją pracą i determinacją do czegoś dojdę w muzyce. Nigdy w sobie nie zwątpiłem. Ale przez te zakrwawione palce, o których mówiłem, wiedziałem, że to

nie będzie łatwa droga, że trzeba będzie zasuwać. Naprawdę, ja bardzo dużo w swoim życiu balangowałem, ale też bardzo dużo poświęciłem na budowanie siebie jako muzyka. Tylko tego ludzie na zewnątrz już nie widzieli. Nie mieli pojęcia, ile ja czasu poświęcam na pracę z instrumentem. Nie siedzieli ze mną, gdy ćwiczyłem i grałem na gitarze, gdy pracowałem, myślałem o tym, jak komponować utwory. Ja od pięćdziesięciu lat jako muzyk cały czas coś robię.

**АРТИСТЫ ПОЛЬСКОЙ ЭСТРАДЫ  
ВОКАЛЬНО-  
ИНСТРУМЕНТАЛЬНЫЙ  
АНСАМБЛЬ**



**„БУДКА  
СУФЛЁРА“**

Солстка  
**ДАНУТА БЛАЖЕЙЧИК**

Художественный руководитель –  
**Ромуальд ЛИПКО**

Plakat zapowiadający jeden z koncertów Budki Suflera na trasie po Związku Radzieckim.

Mówi się, że artysta nie tworzy dlatego, że chce, ale dlatego, że musi.  
Że nie ma innego wyboru, bo cały czas odczuwa podskórne

**swędzenie, które każe mu chwycić za pióro, pędzel czy gitarę. Zdaje się, że potwierdzasz tę teorię.**

Tak! Bo ze mnie przez cały czas wylewają się nowe dźwięki, melodie, kompozycje. Ja nie mam nad tym kontroli, to po prostu we mnie siedzi. Oczywiście jeśli mnie zapytasz, to opowiem, jak się balowało, piło, brało kokainę, używało rock'n'rollowego życia. Ja naprawdę potrafiłem znaleźć czas na totalną zabawę, ale też strasznie ciężko pracowałem. W obu dziedzinach byłem tytanem! Raz miałem takie dwa tygodnie, że prawie oka nie zmrużyłem. Dwa tygodnie balanga non stop. Oczywiście ze wspomaganiami, to była jazda bez trzymanki... Już po Budce Suflera, kiedy istniał pierwszy skład Lady Pank, przez rok mieszkałem w Warszawie w hotelu Forum. Miałem tam dwa pokoje – w jednym ciągała impreza, przez całą dobę, a w drugim moje rzeczy. Przez ten rok co noc spało u mnie w pokoju sześć, siedem dziewczyn, które pracowały na dole w hotelu. To były wspaniałe kobiety.

**Mieszkałeś w hotelu? Nie uwierzę, że jednej z największych gwiazd muzyki w ówczesnej Polsce nie było stać na swoje lokum.**

Miałem mieszkanie we Wrocławiu, a potem, jak umarł ojciec, to się okazało, że zapisał mi mieszkanie na Sępolnie. Ale ja nic nie chciałem, powiedziałem, żeby sobie zrobili z tym spadkiem, co chcą. Mimo że wtedy nie zarabiałem tyle, żebym mógł kupić sobie mieszkanie w stolicy. To były inne czasy, pieniądze miały inną wartość. A raczej nie miały jej wcale. Poza tym ja nigdy nie odkładałem kasy na później, nie oszczędzałem. Żyłem z tego, co zarabiałem. Bez kalkulowania, zawsze do przodu...

Ktoś znów wczoraj mówił mi  
Trzeba przecież kochać coś, by żyć  
Mieć gdzieś jakiś własny ład  
Choćby o te dziesięć godzin stąd  
Wciąż jestem obcy  
Zupełnie obcy tu – niby wróg  
Wciąż jestem obcy  
Wciąż bardziej obcy wam  
I sobie sam

*Wciąż bardziej obcy*  
(sł. A. Mogielnicki)

## ROZDZIAŁ 2





*W którym ruszamy na Zachód. Świat pogrzebał NRD pod ruinami muru berlińskiego, ale wtedy mur dzielił Europę na pół. Po jednej stronie wołgi i trabanty, po drugiej porsche i mercedesy. Chłopaki podjeżdżają pod Checkpoint Charlie, palą skręty i zerkają do lepszego świata. Zdaje się, że mogą o nim tylko pomarzyć, ale nagle słynny brytyjski bluesman Alexis Korner, odkrywca Rolling Stonesów, przestuchuje kilka kaset z nagraniami nieznanym nikomu gitarzystów ze wschodniej Europy i spośród wszystkich tych dźwięków wyławia nutę, która go zachwyca. Wysyła Jankowi Borysewiczowi zaproszenie na serię koncertów w zachodniej Europie, ale we wszystko miesza się Pan Bóg ze swoim „hola, hola, serio, pragniesz rock’n’rolla?” i stawia na drodze młodego gitarzysty bluesowy zespół ze Śląska. „Chłopaki, pograłbym z wami”, prosi Janek, a oni dają mu gitarę. „No! – mówią – pokaż, młody, co potrafisz”. Od tej pory zamiast występować w Crawdaddy Club i nocować w londyńskich hotelach, grał z Apokalipsą, spał w hamaku w piwnicy, wdychał zapach rosołu, snujący się zakurzonymi korytarzami w niedzielne przedpołudnia. I tęsknił za domem.*

## **Ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy wyjechałeś za granicę?**

Siedemnaście. Wyjechałem do Niemiec na koncerty z zespołem Katia & Roman. To były niesamowite występy, graliśmy na dużych scenach, transmitowała to niderlandzka telewizja. Te wydarzenia organizowało państwo, pod hasłem „Kultura ludziom pracy”. Przyjeżdżali artyści z całego świata. Niesamowity przepych, światła, aparatura.

## **Było inaczej niż wówczas w Polsce?**

Totalnie! Dosłownie – lepiej oddychałem, czułem się lepiej. W ogóle za każdym razem, gdy gdziekolwiek wyjeżdżałem z tego Peerelu, czułem się lepiej. Nie zrozum mnie źle, ja to miejsce bardzo kocham, bo to jest Polska, tutaj się urodziłem. Ale za granicą było inaczej. Zwłaszcza w czasach Lady Pank, gdy już byłem znany, każdy wyjazd z kraju był dla mnie jak bajka – tam nikt mnie nie poznawał, tutaj musiałem się ciągle chować. Całymi dniami siedziałem w domu, nie mogłem zwyczajnie wyjść na ulicę. Wyjeżdżałem w nocy z kolegami samochodem, żeby się przejść po parku.

**Jak Maradona. Oglądałem niedawno dokument o nim i wstrząsnęły mną sceny, w których u szczytu sławy wyglądał i żył jak zaszczute zwierzę. Przez całą dobę pod domem koczowały tłumy fanów, nie mógł nawet wyjrzeć przez okno, bo ludzie reagowali histerią. Był więźniem sukcesu.**

Przeżyłem to samo, choć naprawdę tego nie pragnąłem. Ja tylko chciałem grać. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że popularność wiąże się z takim obciążeniem. To był dla mnie szok. Stąd właśnie wzięły się te nasze ucieczki w imprezowanie. Wrócimy do tego, bo to ważny temat dla młodych ludzi, którzy teraz zaczynają grać. Ci bardziej popularni mają ten sam poważny problem, który my wtedy mieliśmy. Są osaczeni i gdzieś muszą się chować. „Odjeżdżają” w różne, nie zawsze bezpieczne miejsca.

**Na przykład Dawid Podsiadło. Jego popularność przypomina waszą z czasów Lady Pank. On też rzadko wychodzi z domu. Ucieka**

## w świat gier komputerowych.

My poszliśmy w totalną zabawę. Choć z drugiej strony – nie bądźmy hipokrytami – to życie bardzo nam odpowiadało. Ja lubiłem ten rock'n'rollowy młyn. Do czasu.



„Fani nadal przychodzą i przyprowadzają następne pokolenia”

### **Czy coś jeszcze, prócz koncertów, utkwiło ci w pamięci z enerdowskich podróży?**

Tak. Wyprawy do Checkpoint Charlie, przejścia granicznego w murze berlińskim. Chcieliśmy z daleka popatrzeć na Berlin Zachodni. Poczuliśmy zapach czegoś niedostępnego. Pamiętam, jak stoimy pod tym murem, jaramy szluga, patrzymy przed siebie i myślimy...

### **...że w Polsce jesteście lata świetlne od normalnego świata?**

Tak. Ale była też nadzieja, że niedługo i my się tam znajdziemy. W Berlinie Wschodnim mieliśmy kierowcę, który woził nas na koncerty wołgą. Za komuny to był luksusowy samochód. A w Niemczech poczuliśmy się w nim jak biedaki. Co chwilę mijały nas jakieś porszaki, mercedesy... Siedzieliśmy z perkusistą Irkiem na tylnym siedzeniu, on pukał pałkami, ja miałem gitarę i brzdąkałem na sucho. I nagle on mówi: „Patrz, Jasiek, kurwa, jak chcemy takimi samochodami kiedyś jeździć, to trzeba zapierdalać, trzeba cały czas ćwiczyć”. I tak właśnie zrobiliśmy. Przez cały czas miałem z tyłu głowy, żeby się doszkalać, grać, być coraz lepszym. Że to jedyna droga.

### **Przywieźliście stamtąd jakieś pieniądze?**

Trochę zarobiliśmy, ale wiele wydałem na miejscu. Za to, co zostało, kupiłem swoją pierwszą poważną gitarę, gibsona SG<sup>[9]</sup>. Stratocastera<sup>[10]</sup> kupiłem sobie dopiero po wyjeździe do Związku Radzieckiego. To była niesamowita historia. Kiedyś w jednym z tych niemieckich koncertów telewizyjnych brał udział pewien pianista ze Stanów. Po występie przyszedł do nas do garderoby. Okazało się, że na co dzień gra z Alexisem Kornerem, znakomitym gitarzystą bluesowym. To jest facet, który kiedyś w klubie w Londynie odkrył Rolling Stonesów. I ten pianista powiedział mi, że szukają gitarzysty na trasę – pięć koncertów w Anglii i pięć w Niemczech Zachodnich. Parę dni później Romek Runowicz wsadził więc w kowbojki dwie kasety magnetofonowe, które nagraliśmy u niego w domu, i poleciał do Londynu, na spotkanie z Alexisem Kornerem.

Za jakieś dwa tygodnie dostaliśmy telefon, że Korner przesłuchał wszystkie taśmy i że chce mnie na te dziesięć koncertów.

### **Dla siedemnastoletniego dzieciaka to pewnie było tak, jakby Pan Bóg cię wskazał palcem.**

Mnie się wydaje, że mnie w ogóle Pan Bóg palcem dotknął, naprawdę. I że mnie bacznie obserwuje. Jak wtedy na pielgrzymce dostałem gorączki, to zacząłem się śmiać, bo naprawdę poczułem się tak, jakby mi pokazywał, gdzie popełniam błędy. A czasami mnie chwalił za to, że na przykład coś dobrego zrobiłem.

### **Przyjąłeś wtedy propozycję Kornera?**

Nie. Uważałem, że jestem jeszcze za słabym muzykiem i nie czułem się na siłach. To był wtedy dla mnie za wielki świat. Chciałem dać sobie trochę więcej czasu. Wiedziałem, że zajdę daleko, ale jeszcze nie w tamtej chwili. Po powrocie do Wrocławia poszedłem na koncert, na którym grało kilka kapel, m.in. zespół Apokalipsa ze Śląska: Irek Dudek, Marek Surzyn, Krystian Wilczek. Znakomity skład. Kiedy ich zobaczyłem, to powiedziałem sobie: „Ja pierdolę, chcę z nimi grać!”. Po koncercie wszedłem do nich do namiotu i powiedziałem, że podoba mi się to, co robią, to są moje klimaty. Wtedy Krystian, basista, dał mi gitarę i mówi: „To zagraj coś”. Zagrałem, a on: „Dobra, bierzemy cię”. Nie pojechałem więc grać z Kornerem, do Niemiec też już nie wróciłem.



W klubie Park, lata 80.

**Zostałeś jednym z jeźdźców Apokalipsy.**

Nasza współpraca zaczęła się od ciekawej historii. Przed pierwszym koncertem powiedzieli mi, że odbiorą mnie z dworca w Katowicach. Dzień wcześniej pojechałem więc do Adama Labogi, pożyczyłem od niego wzmacniacz i wziąłem gitarę. Miałem przy sobie stowę i bilet na pociąg. Przyjechałem do tych Katowic i okazało się, że chłopaków z Apokalipsy nigdzie nie ma. Czekałem na nich pół godziny, w końcu wyszedłem z tego dworca. Po drodze wpadłem na człowieka, który siedział na chodniku i żebrał. Chwilę z nim porozmawiałem i dałem mu stowę. Potem wziąłem wzmacniacz, gitarę i przetargałem się trzy przystanki tramwajem pod adres, który mi chłopaki podali. W ogóle się nie martwiłem, że oni nie przyjechali, bo tak strasznie zależało mi, żeby z nimi grać, że miałem w dupie, czy oni mnie olali, czy nie. A oni się po prostu dobrze bawili.

### **Zapomnieli o tobie?**

Doszli do wniosku, że skoro tak bardzo chcę do nich dołączyć, to sobie poradzę. Przyznam, że ja też tak parę razy w życiu robiłem. Jak ci na czymś zależy, człowieku, to walcz. Ja nie czekałem, aż wydarzy się cud, ktoś przyjdzie i powie: „Jan, mam dla ciebie fajną propozycję”. Wręcz przeciwnie – czasami odrzucałem takie sytuacje i konsekwentnie szedłem do przodu, bo wiedziałem, że moja decyzja za jakiś czas przyniesie korzyści, jeżeli tylko bardziej nad tym popracuję.

### **Odrzucenie propozycji wyjazdu do Anglii nie mieściło się ludziom w głowie?**

Nigdy nie żałowałem tej decyzji. W Niemczech nauczyłem się bardzo dużo, poznałem ludzi. To, że dostałem propozycję od Kornera, że ktoś taki mnie docenił, dostrzegł we mnie potencjał, mocno mnie podbudowało. Przez kolejne dwa lata grałem z Apokalipsą. Miałem już wtedy żonę i dziecko, krążyłem między Wrocławiem a Śląskiem. Spałem w piwnicy na hamaku, bo nie miałem pieniędzy, żeby wynająć sobie mieszkanie.

### **Czyli zaczynałeś w prawdziwym undergroundzie. Czyja to w ogóle była piwnica?**

Jakiego sąsiada, z którym oni się znali i wódkę pili. Czasami z noclegiem zahaczałem o niedzielę, bo na przykład w sobotę graliśmy koncert, a w niedzielę mieliśmy jeszcze próbę. I pamiętam, jak leżę sam w tej piwnicy, z dala od rodziny, a wokół rozchodzą się zapachy rosołu, jakiegoś kotleta, takiego rodzinnego ciepła... Wtedy mocno tęskniłem za domem. Ale nie narzekałem, bo ten czas też miał swój niesamowity urok.

### **Co wtedy graliście? Miałeś już swój gitarowy styl czy wciąż go szukałeś?**

Było w tym dużo bluesa, ale też troszeczkę z Mahavishnu Orchestra<sup>[11]</sup>. Strasznie podobały mi się te klimaty, ale własnego brzmienia jeszcze szukałem. Grałem bez użycia kostki. Składałem dwa palce i grałem paznokciem oraz kawałkiem kciuka. Do dziś często to robię.

### **Lepiej wtedy czujesz gitarę?**

Tak. Kiedy widzę, że ktoś gra samą kostką, a chce mojej rady, to zawsze mówię, że kostka jest super, tylko trzeba grać kostką łącznie z palcami. Że musi być kontakt palców ze struną, bo sama kostka to tworzywo. Grając palcami, masz kontakt bezpośrednio z dźwiękiem i ze swoim ciałem. Ja cały czas szukałem tego brzmienia – naciskałem struny delikatnie, mocniej, średnio, grałem palcami od tej strony, od tamtej...

### **Wiedziałeś, jakie dźwięki chcesz uzyskać, czy ciągle eksperymentowałeś na chybił trafił?**

Czasami udawało się wydobyć alikwoty, wtedy wiedziałem, że jestem coraz bliżej, i w tym kierunku szedłem. To moje brzmienie, charakterystyczne, bo używam chorusu – choć bez chorusu też zagram – ja mam je po prostu w palcach.

### **Co sprawiło, że odszedłeś z Apokalipsy? Nauczyłeś się od nich wszystkiego, czego wtedy mogłeś?**

Dokładnie. Ale pamiętam też sytuację, kiedy Irek Dudek przyszedł na próbę pijany w sztok, z kilkoma kolegami i butelkami wina. Wszyscy byliśmy zniesmaczeni. Krystian powiedział do niego: „Irek, kurde, wiesz



co, jesteś liderem zespołu, byś mógł się trochę ogarnąć”. Ja się nie odzywałem. Oni się znali dużo lepiej, więc nie chciałem się wtrącać. A na to Dudek: „Co wy, chłopaki, macie do mnie jakieś alibi?”. Miałem już wtedy dość spania w hamaku, tęskniłem za rodziną, a poza tym blues to muzyka smutku i cierpienia, a ja jestem wesołym człowiekiem, więc spakowałem gitarę i wróciłem do Wrocławia. Niedługo później odezwała się Budka Suflera, bo spotkaliśmy się wcześniej na jakimś wspólnym koncercie z Apokalipsą, więc mnie kojarzyli. Podsumowując, czas w Apokalipsie nie był dla mnie stracony, to były dwa lata naprawdę intensywnej nauki, wyzwania. Poznałem wspaniałych ludzi na Śląsku, bardzo polubiłem to miejsce. Gdy mieliśmy już Lady Pank, to tam powstało strasznie dużo fanklubów. Po każdym koncercie zapraszali nas na balangi, gotowali nam kluski śląskie ze zrazem, przynosili łyskacze. To były niesamowite przyjęcia.

### **Czy w Apokalipsie zaczynałeś już komponować?**

Próbowałem i potrafiłem czasami skomponować zwrotkę, a dalej już nie. Nie umiałem łączyć ze sobą kropek.

### **Byłeś „za krótki” technicznie czy w twojej głowie nie zaistniał jeszcze Jan kompozytor?**

Miałem za mało kontaktu z dobrym kompozytorem. Kiedy z Budką Suflera zacząłem grać utwory skomponowane przez Romka Lipkę, zrozumiałem, jak on to robi. Jak konstruuje numery. To mnie otworzyło. Potrafiłem już bardzo dobrze improwizować, umiałem na przykład zrobić sobie podkład na czterech akordach i do tego równolegle śmigać solówki. Miałem podbudowę, a Romek był znakomitym kompozytorem. Przyjeżdżałem z Wrocławia do Lublina i zostawałem na tydzień albo dwa. Tu już miałem inne warunki, już nie piwnicę, bo spałem u Romka albo u świętej pamięci Jurka Janiszewskiego, dziennikarza, szalonego pasjonata muzyki. Niesamowity człowiek, który kochał moją grę. Gdy po raz pierwszy pojawiłem się na próbie, bardzo się zdziwiłem, bo byłem przekonany, że będę grał z drugim gitarzystą, czyli Andrzejem Ziółkowskim. Byłem strasznie podjarany, to znakomity muzyk, miał fajne brzmienie. I tu nagle z basu za klawisze przesiada się Lipko,

a Ziółkowski z gitary na bas. Zbaraniałem i nie bardzo chciałem się zgodzić, bo inaczej sobie to wyobrażałem. Ale Jurek Janiszewski, z którym długo na ten temat rozmawiałem, powiedział w końcu: „Ty jesteś takim gitarzystą, że ten zespół z tobą się obudzi”. I mnie namówił.

### **Dla nich to była transfuzja świeżej krwi?**

Miałem niesamowite warunki, bo dali mi klucze do studia. Przychodziłem sobie w nocy, puszczałem nagrania, nagrywałem solówki, mogłem je kasować, nagrywać jeszcze raz. Wymarzone warunki do tego, żeby stać się muzykiem sesyjnym.

### **Znałeś repertuar Budki na tyle dobrze, że byłeś w stanie grać z marszu?**

Ja się bardzo szybko uczę.

### **Ze słuchu grałeś? Nie dostałeś żadnej partytury?**

Ze słuchu.

### **Czytasz nuty?**

Nie, nie czytam. Kiedyś zacząłem się uczyć, ale doszedłem do wniosku, że nuty za bardzo będą mnie ograniczać. Niesamowite jest to, że ja sam układałem sobie jakieś akordy i nagle po latach okazywało się, że część tych akordów została już wcześniej wymyślona, że mają swoje nazwy.



Z Budką Suflera, od lewej: Andrzej Ziółkowski, Jan Borysewicz, Romuald Lipko, Tomasz Zeliszewski, Romuald Czystaw. Lublin 1980.

### **Nie uczyłeś się nigdy akordów z książki?**

Nie, coś ty. Ja nawet nie zrzywałem od innych gitarzystów. Słuchałem ich tylko, żeby wyłapywać dźwięki. Bez powtarzania na gitarze – tylko słuchałem, które dźwięki były zagrane po sobie.

### **Czyli wszystko na słuch!**

Tak, od tego się zaczęło. Nauczyciel kazał mi się odwrócić i zapytał: „Które dźwięki zagrałem na pianinie?” I ja mu pokazałem, które zagrałem. Potem: „Które trzy dźwięki zagrałem z tych dziesięciu dźwięków?” I ja mu pokazałem które. On mówi: „Możesz grać!” Uczyli mnie fajni ludzie, na przykład w tym wrocławskim domu kultury. Był tam taki jeden starszy facet. Pewnego razu zapytaliśmy go: „Panie profesorze, a moglibyśmy panu zagrać bluesa?” „Ależ bardzo proszę!” Zegraliśmy i w pewnym momencie patrzymy, a on śpi jak dziecko. Mówię do kolegi, z którym tam chodziłem: „Jarek, jaki to jest piękny widok. Normalnie

człowiek przeżył naszą muzykę?”. Spotykałem się z różnymi ludźmi, od których mógłbym się czegoś nauczyć. W tamtym czasie gitarzyści niechętnie pokazywali swoje patenty.

### **Jak magicy, którzy chronią swoje sztuczki.**

Ja też niektóre chronię, ale z czasem zacząłem dzielić się coraz bardziej. Bo i tak nikt nie zagra tak jak ja. Może tylko wykorzystać moją technikę do dalszego rozwoju. Jestem bardziej otwarty niż gitarzyści wtedy, za moich czasów. Dlatego czuję dużą wdzięczność dla Jacka Krzaklewskiego <sup>[12]</sup>, gitarzysty, z którym grałem w Super Pakcie, bo on mi pokazał parę fajnych akordów. Czasami potrafiłem je wykorzystać.

### **Uczyłeś się gry na gitarze, próbując odtwarzać ze słuchu melodie, które gdzieś słyszałeś, czy raczej wydobywałeś je ze swojej głowy i próbowałeś przekładać na gitarę?**

Ja mam tyle melodii w głowie, że ona cały czas tururu... Chcę usiąść coś zjeść, nagle melodia, wstaję, biorę gitarę i muszę zagrać. Mam też zawsze pod ręką dyktafon w telefonie, a na nim 3488 notatek muzycznych. Jest tego zatrzęsienie. Wyobrażasz sobie, że ja jeszcze tego nie odsłuchałem, a cały czas nagrywam nowe rzeczy? To jest pewnego rodzaju ułomność, bo czasami trudno jest ze mną rozmawiać. Ja strasznie szybko myślę, więc jeśli spotykam się z kimś, by omówić jakąś konkretną rzecz, i ten ktoś rozwleka temat, to ja się staram przyspieszać i najczęściej takie gadki kończą się po paru minutach. Ta osoba mówi: „Kurde, tak się fajnie gadało, jeszcze bym trochę posiedział”. Rzecz w tym, że ja już nie chcę. Potrzebuję czasu dla siebie, żeby oczyścić głowę i potem znowu grać.

Nie wierz nigdy kobiecie, dobrą radę ci dam  
Nic gorszego na świecie nie przytrafia się nam  
Nie wierz nigdy kobiecie, nie ustępuj na krok  
Bo przepadłeś z kretesem, nim zrozumiesz swój błąd  
Ledwo nim dobrze pojmiesz swój błąd, już po tobie...

*Nie wierz nigdy kobiecie*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 3



*W którym Janek Borysewicz rozpoczyna rock'n'rollowe życie, rozprawiając się z dodatkami do drinków, które kolekcjonował dziadek Krzyśka Cugowskiego. Uczy się też wymierzać sprawiedliwość na gołe pięści, a zespół staje po jego stronie, więc pakują do busa stertę konserw i ruszają na tournée po zachodniej Europie. Dla Polonii grają własne hity, a Niemcom i Holendrom serwują Hendrixa i Dire Straits. Żeby przywieźć z tej wyprawy jakieś pieniądze, zatrudniają się do pracy przy renowacji kościoła i wreszcie Borysewicz może kupić tyle czekolady z orzechami, ile jego córka będzie w stanie zjeść. Ale kiedy ta przygoda się kończy i Janek postanawia porzucić karierę gitarzysty w Budce Suflera, kasa szybko wysycha. Zostają mu przelewy z ZAiKS-u za pierwszą piosenkę, jaką napisał: Nie wierz nigdy kobiecie. Zасыpia głodny, ale kołysze go marzenie, że pewnego dnia założy własny band i że odtąd w Polsce będzie się liczył tylko jeden zespół. Jego własny.*

**Masz silną osobowość, ale w Apokalipsie i potem w Budce Suflera pozycję lidera objął kto inny. Męczył cię taki układ?**

O nie, absolutnie. Kiedy w Apokalipsie występowały napięcia, w ogóle się nie odzywałem, pozostali ludzie z zespołu byli starsi ode mnie, byli ze sobą zżyci, mogli Irkowi zwracać uwagę. Ja nie. Nigdy nie miałem też pretensji o układy w Budce Suflera. Wiedziałem, ile zarabia Romuald Lipko, a ile ja. Grałem u kogoś, szanowałem lidera, podporządkowywałem się. To nie był mój zespół. Jeżeli już miałem coś do powiedzenia, to tylko w sprawach muzycznych. „Romek, ja bym tu zagrał tak...” mówiłem, a on: „Zajebiste, tak to właśnie graj”. Tylko na tej zasadzie. Raz miałem z nimi rozmowę o pieniądzach. Może to ci przybliży, jaki wówczas byłem. To się działo wtedy, gdy chciałem odejść z Budki Suflera. Najpierw przychodził do mnie Jurek Janiszewski, prosił, żebym został. Byłem nieugięty, a on się wściekał: „Ja cię, kurwa, wykończę”. Potem przychodził menedżer i mówił: „Jan, no zostań, jeszcze mamy wyjazdy zagraniczne. Podniosę ci stawkę”. „Ile możesz zapłacić?” Podał kwotę dużo wyższą od tego, co zarabiałem. Więc ja mówię: „To dlaczego wcześniej mi tyle nie płaciłeś?”. I to w zasadzie było jedyne zdanie na temat pieniędzy, które powiedziałem. Normalnie to o tym nie gadałem. Dostawałem kasę i cieszyłem się, że mogę grać. Nie traktowałem tego jak fabryki, do której przychodzisz zarabiać i kłócisz się z majstrem, żeby ci dał podwyżkę. Myślałem o sobie, że jestem jak ten czeladnik, który ma się jeszcze czego uczyć.

**Słyszę, że szybko podejmowałeś decyzje i byłeś konsekwentny w ich realizacji. Kiedy zdecydowałeś o odrzuceniu propozycji wyjazdu do Anglii czy o odejściu z Budki, nikt nie był w stanie cię przekonać do zmiany. Nigdy nie miewałeś wątpliwości?**

Z jednej strony wiedziałem, że w końcu założę swój zespół i że ten zespół będzie wielki, ale z drugiej bałem się, że nic z tego nie wyjdzie. Jednak silniejsze było przekonanie, że dam radę. Przez jakiś czas miałem pod górkę, bo po odejściu z Budki przyjechałem do Wrocławia i przez rok kompletowałem skład, robiłem próby z różnymi muzykami. To trwało



i trwało. A pieniędzy na życie nie było. Jedyna rzecz, jaka się wtedy udała od strony finansowej, to to, że przed odejściem z Budki Suflera skomponowałem utwór *Nie wierz nigdy kobiecie*. On stał się dużym przebojem, więc jakieś pieniądze z ZAiKS-u płynęły. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że mogę komponować, zwłaszcza że moja głowa już zaczęła robić tych numerów coraz więcej – na rok przed odejściem z Budki miałem już z dwanaście kawałków skomponowanych.



„W końcu założę swój zespół i ten zespół będzie wielki!” Jan Borysewicz na szczycie:  
plan teledysku do amerykańskiej wersji *Mniej niż zero*.

**Dlaczego w Budce nie komponowałeś więcej? Czy Romuald Lipko pilnował swojego monopolu w tej dziedzinie?**

Do dzisiaj jestem wdzięczny Romkowi, że pozwolił mi skomponować choćby ten jeden utwór w swoim zespole. Bo ja rozumiem, że lider jest jeden i nie dzieli się władzą. Sam też tak działałem. Pod koniec, kiedy jeszcze nie mówiłem, że chcę odejść, ale Romek chyba już coś przeczuwał, powiedział mi: „Wiesz co, Janku, fajnie będzie, będziemy robili różne rzeczy. Nie wiem, jak długo jeszcze będę chciał grać. Może pewnego dnia ty zostaniesz liderem Budki Suflera?”. Wydaje mi się, że powiedział to, bo się obawiał mojego odejścia, więc nie wziąłem tego poważnie. Było jasne, że Romek będzie grał zawsze. Bardzo lubiłem z nim przebywać, w ogóle z tym zespołem dobrze się czułem. Tam było trochę inaczej niż w Apokalipsie. Inny świat – nagle ruszyłem nie o trzy schodki, tylko o cały podest do góry. Ale dla mnie najważniejsze było to, że wykorzystywałem każdy dzień. Oprócz tego wieczorami spotykaliśmy się w lubelskim SPATiF-ie i było bardzo wesoło. Oczywiście nie tak wesoło, jak potem w Lady Pank, ale w Budce było bardzo dużo pracy, rzadko się zdarzało, że nie graliśmy w weekendy koncertów, cały czas byliśmy w trasie, więc gdy mieliśmy okazję na jakiś wyskok, to następnego dnia trzeba było się kontrolować... A w Lady Pank nie było żadnej kontroli. Bywało, że Panasewicza nosili ochroniarze. „Gdzie jest Panas?”. Czekamy pół godziny, a jego nie ma w autobusie. Więc poszło trzech takich byków po Panasa. Przynieśli śpiącego, wrzucili do auta, jak worek ziemniaków, i mogliśmy jechać na koncert. A mieliśmy też mocno imprezowego kierowcę. Ja przychodzę, a on siedzi w restauracji z dwiema prostytutkami, pije i się śmieje. Mówię: „Kurwa, przecież wyjazd jest za pół godziny, co ty odpierdalasz? Weźcie go na górę do wanny”. Musieli go do niej wsadzać w ubraniu. Zszedł cały mokrutki: „Już jedziemy, już jedziemy”. Nasz styl życia przekładał się na całą ekipę. Ci nasi ochroniarze zrobili taką akcję gdzieś na Śląsku, że oczywiście była balanga w hotelu, a potem oni sobie poszli do dyskoteki i pół lokalu zdemolowali. Trzeba było ich z komisariatu wyciągać.

**Do ekscesów Lady Pank jeszcze dojdziemy, na razie wróćmy do Budki. Chciałbym wiedzieć, jaka była tam twoja pozycja. Miałeś coś do powiedzenia czy jednak traktowali cię jak wynajętego muzyka?**

Opowiem ci pewną historię. W zespole zmieniali się wokaliści. Przed moim przyjściem odszedł Krzysiek Cugowski, na krótko zastąpił go Stanisław Wenglorz<sup>[13]</sup>, a potem śpiewał Romuald Czystaw<sup>[14]</sup>. Kiedyś wróciłem do hotelu, w którym dzieliłem pokój ze swoją żoną i córką, bo często jeździły ze mną na koncerty. W pokoju obok była żona Wenglorza z dzieckiem. Wenglorz wrócił wtedy w nocy najebany i zaczął ją tłuc. Miałem doświadczenia z ulicy, więc szybko zareagowałem. Poszedłem tam i go zlałem na korytarzu. Następnego dnia jest spotkanie, niesie się wieść, że za pobicie Wenglorza zostanie wyrzucony z zespołu. Menedżer i Romek Lipko mówią: „Staszek?“, patrząc na Wenglorza, a on taki uśmiechnięty: „Janek, wypierdalaj z zespołu”. Na co oni obaj, menedżer z Lipką: „Staszek, od dzisiaj jesteś zwolniony”. I powiem ci, kurwa, to była klasa. Naprawdę mi obydwaj zaimponowali, mam do nich wielki szacunek. Ja się po prostu po ludzku wtrąciłem, żeby się krzywda tej kobiecie nie stała. Jeszcze to dziecko strasznie płakało. Jestem bardzo wrażliwy na takie rzeczy.

### **Doświadczenie z Sępolna się przydawało.**

Tak, chociaż nie jestem agresywnym człowiekiem. Staram się załatwiać sprawy kulturalnie i grzecznie, użycie siły jest ostatecznością. Nie zdarzyło się, żebym kogoś zaczepił jako pierwszy, ale zdarzało mi się stanąć w czyjejs obronie. Tak jak w przypadku mojego brata, kiedy pobił go ten chłopak, który wyszedł z więzienia, a potem gliniarza, który mi pokazał zdjęcia martwego Andrzeja. Kiedy komuś dzieła się krzywda, to zawsze reagowałem. A są tacy ludzie, do których się nie da inaczej przemówić. Teraz nie ma we mnie potrzeby, żeby wyjść na ulicę i bić się towarzysko. Dużo spokoju we mnie narosło przez ostatnie lata, ale może też dlatego, że jest Małgorzata, na której mi bardzo zależy i chcę jej pokazywać siebie od jak najlepszej strony. Kiedyś Panas mi opowiedział, że był sam w domu, trochę wypił, ale mu zabrakło whisky. Wsiadł na rower i pojechał po flaszkę. Wypierdolił się na tym rowerze, rozbił całą twarz, kolano. Przyjeżdża na koncert. „Panas, co się, kurwa, stało?”. A on mówi: „No wiesz, jak to jest, człowiek się napije, to do ludzi chce”. I coś w tym jest. Zawsze po alkoholu ładowaliśmy się w jakieś kłopoty.

Dziś też się często wygłupiamy, potrafimy wejść w naprawdę szczeniacką fazę. Ale już bez używek.

**Czego najbardziej nauczyłeś się w Budce? Bycia liderem? Patrzyłeś na to, jak Lipko trzymał zespół, jak komponował, jak grał – chciałeś być taki jak on?**

Szczerze? To nie był do końca mój świat, bo drastycznie zmienili muzykę po odejściu Krzyśka Cugowskiego. Nie podobało mi się również to, że kiedy ja grałem z Budką, to Cugowski i Lipko mieszkali w jednym bloku, ale nie rozmawiali ze sobą. Byłem jedynym łącznikiem między nimi. Czasami jeden tydzień pomieszkiwałem u Romka, a drugi u Zeliszewskiego<sup>[15]</sup>, a w międzyczasie balangowałem z Cugowskim. Bardzo lubiłem z Krzysztofem przebywać. Świetny facet i kompan do biesiadowania. Kiedyś w nocy zabrakło nam alkoholu, więc on mówi: „Słuchaj, mam w piwnicy dziadka jakieś rzeczy”. Okazało się, że to były dodatki do drinków. Coś strasznego, ohydneho, ale wypiliśmy tego mnóstwo. Bardzo źle się potem czułem, wymiotowałem całą noc. Spaliśmy na takim wielkim łóżku u Tomka Zeliszewskiego. Budzę się, a Tomek: „Ty, wieloryb, co ty odpierdalasz?”. A ja puściłem takiego pawia, że nawet na suficie były ślady.

**Czy z Budki wyniosłeś pewien, nazwijmy to, etos rockowego zespołu? Wyobrażenie o tym, jak to wszystko powinno funkcjonować?**

Niezupełnie. Kiedyś z Budką wyruszyliśmy w trasę po Holandii i Niemczech Zachodnich. Pojechaliliśmy takim dostawczym mercedesem. Z tyłu sprzęt, a my ściśnięci z przodu. Oprócz sprzętu, cały samochód zapakowany konserwami. Straszne. Zespół rockowy, który jest popularny w Polsce, jedzie, kurwa, z konserwami za granicę grać koncerty! Niektóre kluby były fajne, występowaliśmy dla Polonii i to było super. Później, jak zostaliśmy na dłużej, to się okazało, że w klubach w Holandii musimy grać nie swój repertuar, bo tam nikt nas nie znał. No więc wrzucałem numery Hendrixa i Dire Straits, a Romek Czystaw to wszystko śpiewał. Mogłem się trochę wyżyć w muzyce, którą naprawdę lubię. Aż pewnego dnia Romek Lipko mi powiedział: „Daj spokój z tym Hendrikiem, to

muzyczny abnegat”. Miał też złą opinię o The Police. Pod wieloma względami byliśmy w zupełnie różnych światach.

### **Nie czułeś się chałturnikiem?**

To było piękne granie. Mnóstwo holenderskich zespołów też umiało grać Hendrixa, a jakoś żaden w tych klubach nie występował, a my tak. Czuliśmy się wyróżnieni. I publiczność nas doceniła, bo za każdym razem po zejściu ze sceny podchodził do nas tłum z gratulacjami. Pamiętam wiele fajnych chwil z koncertów z Budką. Kiedyś po występie w jednym z zagranicznych klubów podszedł do mnie taki artysta malarz, który zaprosił mnie do swojego domu. Pojechaliliśmy z Romkiem. Siedzieliśmy, piliśmy łyskaczyka, rozmawialiśmy. I w pewnym momencie ten człowiek dał mi w prezencie gitarę, która wtedy kosztowała ze cztery tysiące marek, oraz wielką księgę ze zdjęciami Hendrixa i dołączonymi do niej płytami.

### **Jak to dał?**

Powiedział, że to, jak grałem Hendrixa na tym koncercie, było niewiarygodne. Jakby Jimiego słyszał.

### **Lubisz komplementy?**

Lubię, kiedy ktoś szczerze dostrzega pracę, którą wkładam w swoją grę, i potrafi docenić konkretne rozwiązania, detale. Nienawidzę pustego klepania po plecach: „Janek, jesteś zajebisty!”. Uciekam od takich ludzi. Wtedy w Holandii wydarzyło się coś jeszcze. Po którymś z koncertów podszedł do mnie jakiś menedżer, który zwrócił na mnie uwagę. Zapytał, czy nie zrobiłbym z nim płyty z „takimi archiwalnymi utworami Hendrixa”. Wyobrażasz sobie? Chcieli mi zapłacić kasę za to, żebym nagrał coś, co będzie udawało Hendrixa, żeby oni mogli to sprzedawać na czarno jako niepublikowane utwory Jimiego. Strasznie się wzburzyłem i powiedziałem, że się absolutnie nie zgadzam.

### **Co takiego jest w Hendrixie, że stał się twoim gitarowym idolem?**

Znakomite solówki. Było w nich sporo niedokładności, bo potrafił je wymyślić, ale nie zawsze umiał do końca wygrać. Był genialnym

gitarzystą z totalnym uchem do melodii. Na przykład taki utwór, *All Along the Watch Tower*, numer Dylana, często w radiu się mylą, mówią, że Dylan go zrobił dla Hendrixa. Tymczasem Hendrix wziął numer Boba Dylana i nagrał własną genialną wersję, jedną z najpiękniejszych gitarowych solówek na świecie. Najpierw narasta, potem jeszcze trochę slajdem gra, zjeżdża i kończy się na jednym dźwięku do wyciszenia. Bajka. Bardzo często korzystałem z tego rozwiązania i robiłem wyciszenie na jednym dźwięku, bo to jest naprawdę niesamowite. Solówka to jest opowiadanie dźwiękami, a ostatni z nich, wibrujący, jest jakby niedokończoną historią. Zostawia miejsce na to, co sam możesz sobie dopowiedzieć. Taką właśnie solówkę, dzięki Hendrixowi, zrobiłem w utworze *Nie wierz nigdy kobiecie*. Została precyzyjnie ułożona, a to u mnie rzadkość. Najczęściej wchodzę do studia i improwizuję. Na próbach w ogóle ich nie gram, tylko sobie zostawiam wolne miejsce i mówię: „Panowie, tutaj będzie solówka”, i wykonuję podkład z całym zespołem.



Z Markiem Knopflerem (w środku) i lutnikiem Markiem Witkowskim, który zrobił gitarę specjalnie dla Knopflera. Po koncercie Dire Straits w Warszawie.

**To ciekawe, bo na wczesnych płytach Lady Pank solówek nie słychać. Grasz maksymalnie oszczędnie.**

Wiedziałem, że z taką mocą, jaką miał ten zespół, z tymi kompozycjami i z genialnymi tekstami Mogielnickiego<sup>[16]</sup>, solówki będą przeszkadzały. Tam, gdzie trzeba, to oczywiście były – w *Mniej niż zero* jest przecież totalna rozpierducha w solówce, wariactwo nawiązujące do treści utworu. W *Zamkach na piasku* też jest taki jakby krzyk gitary, a potem na samym końcu wybrzmiewa melodia. To miało funkcjonować na zasadzie podbicia całego numeru, pokazać, że jest w nim jakieś cierpienie. Ale dobrze zauważyłeś, że bardzo często zostawiałem utwór bez długich solówek. Nawet w Budce Suflera prosiłem Romka, żebyśmy je sobie darowali.

**Jak w tamtym czasie wyglądały wasze relacje z władzą? Żeby wyjeżdżać na Zachód, musieliście mieć pozwolenie.**

Na żadną milicję ani na żadne przesłuchania nie chodziliśmy. Menedżer załatwiał papiery przez Pagart. Nie dociekałem, jak to organizował. Może pracował w służbach? Mówię to oczywiście półżartem, ale różnie bywało. Ludzie ze służb wnikalі przecież w nasze środowisko.

**Nigdy nie myślałeś o tym, żeby zostać na Zachodzie?**

Nie. Miałem rodzinę, nie mogłem ich zostawić. A potem, gdy odszedłem z Budki i pracowałem, żeby stworzyć własny zespół, nie myślałem o żadnych wyjazdach. Miałem kiedyś narzeczoną, która jeździła ze mną do Moskwy. Zналиśmy tam człowieka, który kupował od nas sprzęt muzyczny. Ja załatwiałem ten sprzęt w Polsce, wieźliśmy go pociągiem do Moskwy i tam sprzedawaliśmy z zyskiem. Kiedyś przyjechaliśmy, a facet pokazał nam ślady po kulach u siebie w domu, że niby go okradli. Oszukał nas. To mnie nauczyło, żeby odpuścić szybki zarobek. „Rób swoje, człowieku, jesteś muzykiem, a nie handlarzem”, pomyślałem.

**Budka w trasie była grzecznym zespołem?**

W sumie grzecznym. Jeśli po koncercie idziesz napić się w pokoju wódeczki, to było grzecznie. Każdy zespół to robi, bo czym się ludzie mają zająć po koncertach, jak nie mogą do domu pojechać? Wracaliśmy



do hotelu, nikomu nie chciało się spać, więc kupowaliśmy gdzieś po drodze wódkę, piło się, gadało, śmiało, ale to nie miało nic wspólnego z tym, co ta dzicz z Lady Pank robiła później.

**W tamtych czasach artyści wyjeżdżali za granicę w nimbie sukcesu. Wydawało się, że sceny na Zachodzie czekają z otwartymi ramionami. Tymczasem mówisz, że wielka Budka musiała zarabiać w knajpach jako cover band?**

Powiem więcej. Graliśmy dwa tygodnie w Holandii, dwa tygodnie w Niemczech i w pewnym momencie koncertów zrobiło się mało. No i co było robić? Nasz menedżer z tym swoim holenderskim kumplem doszli do wniosku, że dobrze by było, gdybyśmy znaleźli dodatkowy zarobek. I cały zespół, łącznie z menedżerem i kierownicą, poszedł do roboty na budowę. Pracowaliśmy przy wspaniałym kościele, który kupił pewien milioner, żeby go przerobić na dom. Ja na przykład dostałem do obsługi szlifierkę. Przychodził taki majster i mówił: „Przyhebluj no tu, kolego, kawałek belki”.

**Skąd wiedziałeś, jak taką robotę wykonywać?**

Był kierownik. Tu powbijaj gwoździe, tu przytnij. I każdy robił swoje. Jurek Janiszewski, na przykład, siedział w studni i kopał ziemię, a drugi wyciągał ją wiadrami. Patrzyliśmy na Jurka, jak coraz głębiej znika pod powierzchnią, i nie mogliśmy się powstrzymać od śmiechu. W tamtym czasie panowała wokół tej budowlanej przygody zmowa milczenia. Nikt w Polsce miał się nie dowiedzieć, co robiliśmy za granicą. A to żaden obciach. Nie czułem się w żaden sposób pohańbiony tym, że dorabiałem jako budowlaniec. Podczas ostatniej pandemii okazało się, że muzycy, którzy przestali zarabiać na scenach, musieli się przekwalifikować – nagle jeden jest kurierem, drugi pracuje w magazynie... Życie. Czego tu się wstydzisz? Wtedy też była taka sytuacja, nie mieliśmy z czego żyć. No to podjęliśmy decyzję, że zostajemy i zapierdalamy. Ja dzięki tej pracy kupiłem bardzo dużo rzeczy dla dziecka. I czekoladę, której w Polsce w ogóle nie było. Tę niemiecką, z okienkiem, z orzechami. Dwa kartony.

## **Byłeś trochę jak Irena Kwiatkowska z *Czterdziestolatka*. Kobieta pracująca, która żadnej pracy się nie bała.**

Mało tego, ja mam sześćdziesiąt sześć lat, ale gdyby teraz była taka sytuacja, że trzeba by iść do innej roboty niż muzyka, to pójść. Nie mam z tym problemu. Jako młody chłopak zapierdalałem na budowach, żeby zarobić na lekarstwa dla mamy. Pracowałem też w domu rencistów. Tam był taki człowiek, który miał grubo ponad dwa metry wzrostu. Zaprzyjaźniłem się z nim. Miałem malować sufit, więc przyniosłem drabinę, cholernie ciężką, bo cała była oblepiona farbą. I on mówi: „Czekaj, ja ci pomogę”. I na stojąco malował sufit. Strasznie mi się smutno zrobiło, jak opowiedział, że rodzina wyrzuciła go z domu, bo był za duży.

## **Dobrze, że ja ze swoim wzrostem przetrwałem.**

Jesteś szczęściarzem. Namawiałem go, żeby wyszedł do ludzi. Chciałem go zabrać do miasta. I udało się. Nawet zdjęcia były w gazecie, jak stoi w tramwaju, zgięty w pół.

## **Nigdy wcześniej nie wychodził?**

Wstydził się. Karykaturalnie wielki facet, ale cudowny. Był prawdziwy, nieszczęśliwy z tego powodu, że jest taki, jaki jest. Nikomu nic nie zrobił. Dusza człowiek. Ja takich ludzi uwielbiam. Z kimś takim mogę gadać i gadać. Najbardziej męczą mnie wampiry energetyczne, mimo że czasami to naprawdę fantastyczni ludzie. Tylko nie dla mnie. Konjo<sup>[17]</sup> na przykład taki jest. Koleś, który non stop coś nawija. Ja go bardzo lubię, to jest bardzo mądry facet, ale nie potrafię z nim długo rozmawiać, bo mnie zamęcza.

## **Wróćmy do wyjazdu z Budką. Jak bardzo tamtejsza rzeczywistość różniła się od tego, co wtedy było w Polsce?**

Różniła się na każdym kroku, nawet nie ma co wymieniać konkretnych rzeczy. Zdarzyła się nam też jedna historia, która najlepiej to pokazuje. Gdy już kończyliśmy naszą budowlaną chałturę, w nagrodę kupili nam bilety na koncert Roda Stewarta. Pierwszy raz widziałem coś takiego. Miałem koparę do ziemi nie z powodu muzyki, tylko całej reszty. Ludzie elegancko ubrani, z browarkami, uśmiechnięci, światła, aparatura –

byłem w szoku. Patrzyłem na to i powiedziałem: „Ja pierdolę, zamieniam gitarę na grabie. To jest niewiarygodne!” Dobiło nas, gdy po koncercie szliśmy do naszego blaszaka, w sensie samochodu, w pewnym momencie otworzyła się brama i wyjechało z niej pięć czy sześć limuzyn i w każdej z nich siedział jeden z muzyków Stewarta. Pomyślałem, że to już jest, kurwa, przegięcie.

### **Wtedy się urodziło twoje marzenie, że tak chcesz?**

Nie marzenie, tylko pytanie, dlaczego my mamy tak chujowo? Gdzie my żyjemy? Wsiadliśmy do tego blaszaka i każdy na kolację wciął konserwę. To pokazywało, gdzie my, Polacy, w tej układance jesteśmy.

Co to za dom?  
Może powie mi ktoś  
Jakim cudem się znalazłem w nim?  
Wszystko tu jest, nawet dziecko i pies  
Tylko nie ma okien ani drzwi  
Nad głową moją ktoś wykleił strop  
Gazetami sprzed dwudziestu lat  
Leżąc na wznak przed oczami mam  
Z „Ekspresiaka” wciąż nagłówki dwa  
„Minus 10 w Rio”  
„Dżuma w Santa Fe”  
Wszystko obok mija  
Jak wariata sen

*Minus 10 w Rio*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 4



*W którym na dalekiej Syberii brakuje internisty i kwestię zapalenia cewki moczowej musi rozwiązać weterynarz. Ma olbrzymią strzykawkę i cztery młode asystentki, których zadaniem jest pobranie materiału do badań. Na szczęście koledzy z zespołu ratują sytuację przy pomocy antybiotyku na choroby weneryczne i trasa po Związku Radzieckim toczy się dalej bez przeszkód. W samolocie każdy dostaje kromkę chleba i jajko na twardo, za to po wylądowaniu czeka na nich kawior i szampan. Na koncertach zjawia się po dziesięć tysięcy ludzi. I choć miał być blues, grają rockowe solówki, a harmonijka ustna Nalepy topi się w wódce. Potem fani, jeśli KGB nie zgarnęło ich wcześniej z widowni, rozdierają muzykom ubrania na strzępy. No chyba że chodzi o buty. Jeśli w Związku Radzieckim wyrzucasz buty oknem, to wracają drzwiami.*

### **Tuż po trasie z Budką Suflera pojechałeś na tournée po Związku Radzieckim z Tadeuszem Nalepą. Potrzebowałeś odskoczni?**

Tadek zapytał, czy może mnie na miesiąc wypożyczyć. Romek Lipko się na to zgodził, ale poprosił Nalepę, żeby mu obiecał, że wrócę do zespołu. Już pierwszego dnia mieliśmy zagrać pierwszy koncert, a ja nie znałem wszystkich numerów. W samolocie, którym lecieliśmy do ZSRR, miałem kasetowiec i uczyłem się utworów Tadka. Dotarliśmy, mała próba i jakoś poszło.

### **Tak z marszu?**

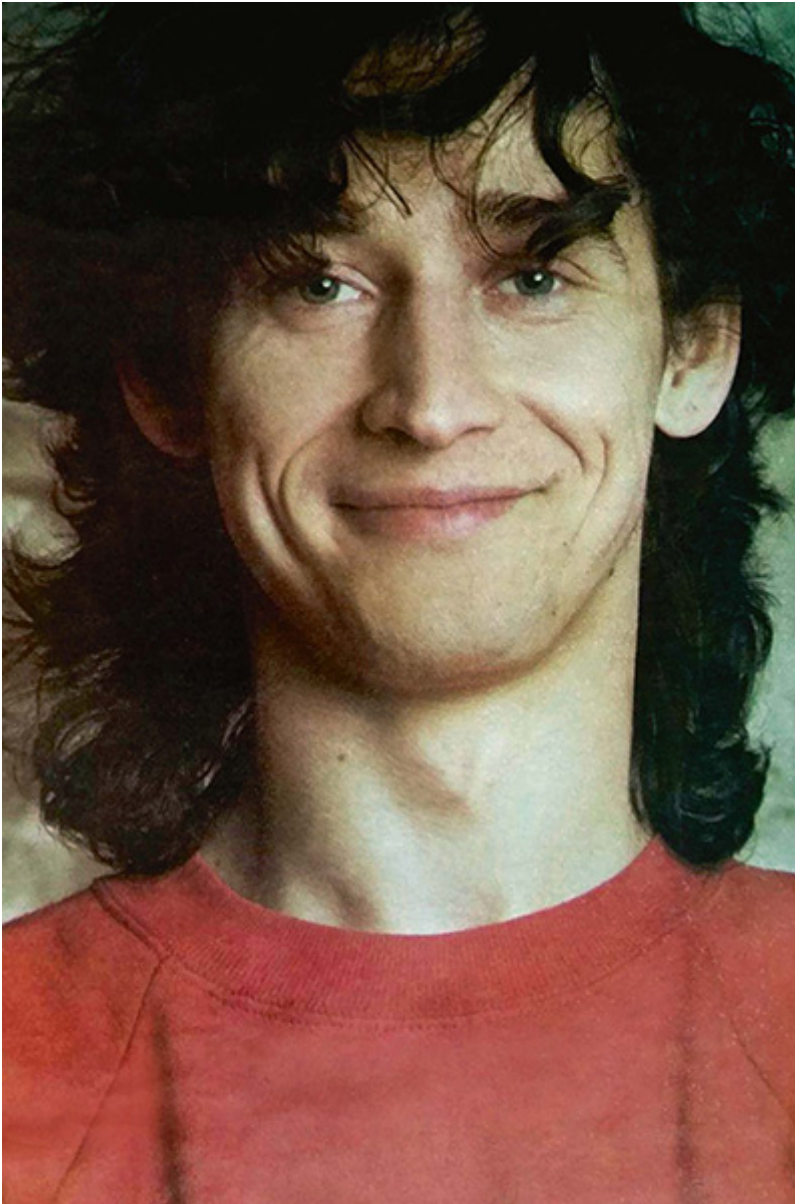
Tak, a potem ruszyliśmy w trasę po całym Związku Radzieckim. Syberia, minus pięćdziesiąt stopni, wysiedliśmy na małym lotnisku, na totalnym wypizdowie, a ja akurat wróciłem z Niemiec i z Holandii i miałem na sobie džinsy, kurtkę džinsową i klapki Salamander. Teraz bym w życiu tego nie założył, ale wtedy były bardzo modne, skórzane klapki na podeszwie z kauczuku, brązowe, szok. Samolot z poślizgiem wylądował, mało skrzydłem nie zawadził o budynek terminalu, i wyszliśmy prosto na płytę, nie było żadnego rękawa. Uśmiech mi zamarł. Dostłownie. Dostałem zapalenia cewki moczowej, musiałem jechać do lekarza. Ale tam nie było internisty, tylko weterynarz. Siedziały u niego cztery młode dziewczyny, które się akurat uczyły. Musiałem wyjąć ptaka, żeby pobrały ze środka wymaz do badania. Po jakimś czasie wchodzi lekarz, czyli ten weterynarz, w białym fartuchu całym we krwi, ze strzykawką wielką jak do dekorowania tortów.

### **O rany, już mnie wszystko boli. Nie zemdłałeś, jak to zobaczyłeś?**

Od razu uciekłem! Jeden z chłopaków miał antybiotyk, który się brało przy chorobie wenerycznej. Przydawał się w trasach, więc mi pożyczył. Brałem go przez pięć dni i potem już było OK. Bardzo mi też utkwiło w pamięci, że jak się leciało na Syberię, czy gdziekolwiek poza Moskwę, to samolot najpierw opuszczali pilot i załoga. Pasażerowie musieli siedzieć, dopóki oni nie wyjdą, a na koniec bili im brawo. To był wyraz szacunku, że się wszystko udało. Kapitan wychodził najczęściej

z czerwonym nosem, bo oni tam strasznie gorzałę pili, naprawdę. I straszny był smród w tych samolotach, ponieważ podczas lotu rozdawano po kromce czarnego chleba i jednym gotowanym jajku, więc wyobraź sobie, jak wszyscy zaczęli te jajka obierać. Pamiętam też, że na jeden z naszych koncertów przyjechali jacyś generałowie i zaprosili nas na zaplecze na drinka. Okrągłe stoły, na nich wódka i kiełbasa pokrojona na kawałki. I jeden z tych generałów mówi: „Ty, młodec, jak wy tam pięknie gracie... Napij się!”, i daje mi musztardówkę, nawet nie z wódką, tylko ze spirytusem. No to walnąłem ten spirytus i zjadłem kawałek kiełbasy. Oni też wypili, ale kiełbasy już nie zjedli, tylko powąchali i odłożyli z powrotem na talerzyk.





Niewiniątko. „Bywało, że wychodziły z nas dzikie stworzenia. Ale to wszystko było na zasadzie wygłupiania się, robienia sobie jaj”.

**Czyli to była tak zwana zagrycha nosem.**

My w Polsce wtedy narzekaliśmy, że nie ma jedzenia, ale tam było znacznie gorzej. Wiesz, jakie jedli śniadanie na tej Syberii? Szklanka gęstej śmietany, pół kurczaka tak twardego, że się go ugryźć nie dało, i do tego szklanka koniaku.

### **Z tego wszystkiego tylko koniak się nadawał do zjedzenia.**

Dokładnie. Dlatego z organizatorką, która z nami jeździła, wpadliśmy na pomysł, żeby załatwiła nam kawior. I jedliśmy tylko kawior, i piliśmy szampana. Potem się okazało, że po bąbelkach się beka, więc zaczęliśmy pić wódkę i koniak. Ale wyszło na to, że jest też bardzo źle, jak się za dużo wypije koniaku... Kiedyś grałem w Lublinie koncert Jana Bo, przychodzi do mnie Beata Kozidrak i mówi: „Jasieńku, na gardełko jeden koniaczek. Jak idziesz na koncert, to też jeden koniaczek”. Wypiłem jeden koniaczek. Wypiłem drugi, trzeci, czwarty, szósty. Gdy wszedłem na scenę, to widziałem poczwórnice.

### **Trzeba znać umiar, Janek.**

U mnie to się chyba brało też z tego, że ja zawsze miałem tremę i wydawało mi się, że im więcej się napiję, tym bardziej... Jak to było z tym Puchatkiem? Im więcej...

### **Im bardziej zaglądał do środka, tym bardziej miodu tam nie było.**

Tak, im więcej wypiłem, tym mniej miałem tremy. Wracając do Rosji, to przejechaliśmy kawał drogi. Tam właśnie Tadek zachorował na nerki. A gdy wracaliśmy do Polski, dał mi gitarę, żebym z nią przeszedł przez cło. No i w pewnym momencie celnicy zaczęli rozkręcać tę gitarę i znaleźli jakieś dwa kamyki.

### **Co to było?**

Nie wiem. Przyszedł menedżer i powiedział, że on się tym zajmie. Więc mnie przepuścili. Ale pamiętam, że Mirę Kubasińską<sup>[18]</sup> wzięli na kontrolę osobistą. Wszyscy byliśmy, że tak powiem, do naga oglądani, czy czegoś nie przemycamy. Podobno poszedł cynk, że Tadek coś będzie przewoził. Chyba to była robota jego poprzedniego menedżera, który

chciał się zemścić. Nieprzyjemne to było, ale ostatecznie nikogo z nas nie zamknęli.

### **W tamtych czasach w rozkładzie jazdy był tylko alkohol czy jeszcze jakieś imprezowe dopalacze?**

Nie, co ty. Nikt o takich rzeczach nie słyszał, choć być może gdzieś po cichu coś się działo. Ja byłem bardzo dużym przeciwnikiem narkotyków. Pierwszą styczność z nimi, konkretnie z trawą, miałem w wieku ponad czterdziestu lat. Trawy nie lubię za bardzo, bo mnie zawsze zamulała. Trochę się śmiałem, ale potem miałem zjazdy i żreć mi się chciało, więc nie lubiłem. W pewnym momencie zaprzyjaźniłem się z Grzesiem Ciechowskim<sup>[19]</sup> i Andrzejem Ludewem, menedżerem Republiki. Ludew miał mieszkanie na Mokotowie. Myśmy wszyscy razem imprezowali i przez jakiś czas u niego mieszkaliśmy. Kiedyś wchodzę do toalety, a tam Grzesio Ciechowski z Małgością Potocką<sup>[20]</sup>. Chciałem się załatwić, a oni coś tam brali. Namawiali mnie, ale ja powiedziałem: „Przestańcie, bo ja takich rzeczy nie używam” i wyszedłem. Naprawdę uciekałem od tego. Mnie wtedy wystarczało, że się dobrze bawiłem przy łyskaczu.

### **Zaskakujące, że tak długo uchowałeś się w używkowej niewinności. Wiele osób z twojego środowiska już wtedy miało za sobą różne przygody. W Polsce problemem zaczął być „kompot”, czyli heroina pozyskiwana domowym sposobem. Coraz głośniej mówiło się o uzależnieniu Ryszarda Riedla<sup>[21]</sup> z Dżemu.**

Znałem się z Ryśkiem, mieliśmy kilka dobrych spotkań przy okazji wspólnych koncertów. Ale przy mnie nigdy się nie zdarzyło, żeby brał. Jedyne kontakty, jakie wtedy miałem z tematem heroiny, były związane z kolegą Ryśkiem Skibińskim, który grał na harmonijce w zespole bluesowym Kasa Chorych. Kiedyś balowaliśmy po koncercie i zabrał się z nami do Warszawy, skąd miał pociąg do Białegostoku. W Warszawie przyjechaliśmy do klubu Park, rozładowaliśmy sprzęt, a potem trochę pograliśmy. Umówiliśmy się, że zrobimy razem jakiegoś bluesowego singla. W międzyczasie, jak się potem okazało, Skibiński odwiedził dilerów. Następnego dnia mieliśmy u Ryśka w Białymstoku grać. Gdy

przyjechaliśmy, on już nie żył. Nie miałem pojęcia o jego problemie. Ludzie się z tym ukrywali. Gdybym zobaczył, że ktokolwiek w zespole coś bierze, tobym natychmiast zareagował. Nie pozwoliłbym. Może któryś z chłopaków sobie trawkę czasami zapalił. A potem, gdy przeskoczyliśmy na whisky – picie wódki już było zabronione, bo po wódce rozkręcały się awantury w zespołach – zawsze mówiłem: „Chłopaki, uciekajmy, lepiej we własnym towarzystwie sobie posiedźmy”. Oczywiście mam paru fajnych kumpli muzyków, z którymi do dzisiaj utrzymuję kontakt i jest między nami szacunek. Czasami dzwoniemy do siebie i gadamy. Ale gdy wówczas widziałem, co wyrabiały niektóre zespoły, to myślałem, że nie o taki rock’n’roll mi chodzi. Niektóre ich afery szły na nasze konto. Nie chcieliśmy tego dementować, tak było lepiej dla historii zespołu.

### **Dorobiliście się z Lady Pank miana najbardziej niebezpiecznego zespołu w Polsce.**

Trzeba uczciwie przyznać, że sami też na to ciężko zapracowaliśmy. Zjeżdżanie w wannie po schodach czy przekładanie drzwi pokoi hotelowych – to była norma. Kiedyś mieliśmy poważną awanturę z bardzo znanym katowickim dyrygentem. Zwrócił nam na coś uwagę, a my mu zamroziliśmy drzwi gaśnicą. Krzyczał: „Ratunku, milicja!”. I niebiescy musieli przyjechać. Bywało, że wychodziły z nas dzikie stworzenia. Ale to wszystko było na zasadzie wygłupiania się, robienia sobie jaj. Nikogo nie chcieliśmy przecież skrzywdzić.

### **Wróćmy jeszcze do radzieckiego tournée z Nalepą. Jak was przyjmowała publiczność? Dla ludzi po wschodniej stronie granicy każdy zespół, który grał w zachodnim stylu, to chyba była supergwiazda?**

Graliśmy głównie koncerty „do-ro”, dedykowane ludziom dobrej roboty. Władza dziękowała ludziom za ciężką pracę, dając im nie pieniądze, tylko rozrywkę. Dostawali talony, z którymi mogli przychodzić na koncerty za darmo. Graliśmy w olbrzymich halach na dziesięć tysięcy widzów, tam i koncert mógł się odbywać, i mecz hokeja. To był szzał! Stojąc na scenie, widziałeś gołym okiem, że nagle wstaje młody koleś, zaczyna wywijać

marynarką i za chwilę dwóch typów obok niego nakłada na rękawy opaski z jakimiś oznaczeniami i go wyprowadzają. Normalni ludzie siedzieli między kapusiami i agentami z KGB.

### **Na Stonesach w Warszawie w 1967 było tak samo.**

Widziałem to na własne oczy i mówię ci, to było po prostu niewiarygodne. A myśmy sobie jaja robili. Sceny były wielkie, więc czasami wjeżdżałem tam na rowerze. Robiliśmy też różne numery Tadekowi Nalepie. On grał na harmonijce, więc wrzucał ją do wysokiej szklanki z wodą, żeby ją wypłukać. A my mu tam wódkę laliśmy zamiast wody.



Z Tadeuszem Nalepą w kultowych Hybrydach, przełom lat 70. i 80.

### **Odkażaliście sprzęt, zanim to było modne.**

Jasne. A on krzyczał: „Kurwa, zabiję!“. W każdym razie bardzo miło wspominam tę trasę. Był z nami perkusista Marek Surzyn, z którym grałem wcześniej w Apokalipsie. Tadek grał bluesa, więc żeby sobie pograć rock’n’rolla, zostawaliśmy z Markiem na scenie na solówki.

Czasem dziesięć minut, czasami i pół godziny. Wymyślałem riffy albo grałem na przykład coś Deep Purple. I był szal, robiłem salta na scenie, wygłupy, chodziłem między ludźmi, publiczność wariowała. No i życie hotelowe było z gestem. Kiedyś siedzieliśmy w pokoju, a właściwie w apartamencie, wszystkie pokoje były apartamentami, wielkie, z fortepianami. Siedzimy i w pewnym momencie przychodzi techniczny od Tacka Nalepy w takich okropnych butach. Pytam go: „Ile chcesz za te buty?”, a on mówi: „Czterysta rubli”. To było w chuj pieniędzy. Wyciągnąłem czterysta rubli, dałem mu, otworzyłem okno, wyjebałem te buty i mówię: „Nie będziesz, kurwa, robił obciachu Tackowi Nalepie”. Mija jakieś piętnaście minut, ktoś puka do drzwi i przynoszą nam te buty z powrotem. Byliśmy przez cały czas podsłuchiwanie. Hotel moloch na trzy i pół tysiąca ludzi, nasz pokój na czwartym piętrze. Akurat stał, kurwa, jakiś koleś i widział, z którego pokoju te buty wywalono? Nie ma opcji. Musieli nas podsłuchiwać. Dużo było takich sytuacji. W sumie robiło się takie jaja tylko po to, żeby było wesoło.

### **Czyli rzeczywistość poza występem była smutna?**

Była potworna. Widziałem to po ludziach, przecież my nie mogliśmy normalnie zejść ze sceny po koncercie i wejść do autokaru. Włosy powyrywane, koszulki porwane. Kiedyś włamali się nam do garderoby na trzecim piętrze i zabrali wszystkie ciuchy.

### **Chcieli mieć kawałek zachodniego świata, który do nich przyjechał.**

#### **Jak relikwię.**

Kiedyś po koncercie zdjąłem koszulkę, trzymam ją w ręku i podchodzi chłopak, dwanaście czy trzynaście lat, prosi mnie o autograf. Więc mówię: „Potrzymaj koszulkę”, piszę mu ten autograf, a on w długą. Ochrona chciała go gonić, ale kazałem im zostawić. Poleciał. Cztery albo pięć lat później podchodzi do mnie taki osiemnastolatek i mówi: „Przepraszam, panie Janie, ale to ja panu wtedy tę koszulkę zajmowałem. Bo chciałem mieć pamiątkę po panu”. Pogratulowałem mu: „Niezły numer! A w ogóle jak się masz, co u ciebie?”

## **W tamtym czasie w Rosji dziewczyny też przychodziły po koncertach?**

Oczywiście, że tak. Płaciło się cieciami i dziewczyny były wpuszczane za kulisy, albo wręcz sami je przyprawiali. Bardzo dużo ich było. Ale wiesz co? Seks w sumie trwa dość krótko, można się dłużej bawić w inny sposób. Było różnie, czasami się korzystało, czasami nie. Ja w każdym razie – cały czas będąc to powtarzałem – z dużym dystansem podchodziłem do takich sytuacji. Kiedyś obiecałem sobie, że nie będę wykorzystywał fanek. Mam szacunek do siebie i do nich. Naprawdę nie brakowało okazji, zdarzało się, że w jednym pokoju ze mną spało cztery, pięć fanek, bo nie miały gdzie mieszkać. Ale nie pozwalałem sobie, żeby je w jakikolwiek sposób wykorzystywać. Nie pamiętam, żebym po koncercie wziął jakąś dziewczynę i pojechał z nią do hotelu. Raczej to były imprezy i raczej z kobietami z naszego muzycznego świata.

## **Czy granie z Nalepą, różne od tego w Budce, otworzyło ci jakieś nowe, muzyczne horyzonty?**

Dzięki temu wyjazdowi zacząłem komponować. Po powrocie umówiliśmy się na totalną balangę u Nalepy. Mieli z Mirą Kubasińską posiadłość w Józefowie pod Warszawą, w lesie, z basenem, piękne miejsce. Cała aleja starych lip i na końcu wspaniały dom. Wtedy jeszcze był niedokończony, cały czas go budowali, no i tam były imprezy pierwszej klasy. Na tamtej imprezie Mira jeździła nago na koniu, ale w pewnym momencie z niego spadła. Pozbierała się, podeszła do mnie i pyta: „A ty, Jasiek, dlaczego nie komponujesz?”. „No co ty, ja? Gdzie? Ja umiem tylko grać”. A ona na to: „Przestań. Jak Tadek Nalepa z Rzeszowa potrafi, to każdy potrafi”. I poszła. Powiem ci, że wziąłem to sobie do serca, bo za parę dni, gdy wróciłem do Wrocławia, któreś nocy nie mogłem spać, wstałem, wziąłem gitarę, poszedłem do kuchni i wtedy właśnie skomponowałem *Nie wierz nigdy kobiecie*. Takie otwieranie człowieka to jest świetna rzecz. Ja na warsztatach w Akademii Borysewicza bardzo często o tym opowiadam. Chcę dotrzeć do ludzi, żeby zdali sobie sprawę, że każdy potrafi napisać swój utwór. Tylko trzeba bardziej się odsłonić i wierzyć w siebie. Po tym, co Mira mi wtedy powiedziała, coś się u mnie przestawiło, zatrybiło, rozkręciło i nagle

zaczęło się ze mnie sypać jak z worka. Znacznie więcej czasu spędzałem z gitarą, nawet na imprezy już nie chodziłem. Wróciłem po tej trasie do Budki Suflera, wszyscy szli na balangę, a ja siedziałem w hotelu z magnetofonem i komponowałem.

**Czyli wcześniej byłeś nieczynnym wulkanem: lawa się zbierała, zbierała i nagle wybuchło. Czy tamten okres był dla ciebie najbardziej płodny kompozytorsko? Czy z czasem siła tej erupcji osłabła?**

Odwrotnie! Niedawno w mediach społecznościowych dostałem piękną wiadomość o naszej ostatniej płycie *LP40*: „To jedna z najlepszych płyt. Chociaż ich macie strasznie dużo, to jestem pełen podziwu, że jeszcze robicie takie niesamowite rzeczy”. Ja się cały czas rozwijam. Nie jest tak, że przez lata zrobiłem swoje i teraz trzeba odcinać kupony, albo że nasz czas mija. Nie. Uważam, że dopóki będą pomysły – a one cały czas są, moja głowa wciąż pracuje – to Lady Pank będzie istnieć. Mój sukces polega na tym, że potrafię rozgraniczyć dwa światy. Jest czas na pracę i jest na totalną zabawę. Jak balangowałem, to do nieprzytomności, ale wtedy nie dotykałem instrumentu. Natomiast kiedy komponowałem, odcinałem się od wszystkiego i zajmowałem wyłącznie muzyką, nawet jeśli wokół trwała jedna wielka impreza.





Dobra zabawa trwa.

We włosach paciorki  
I niebieskie brwi  
Złocona żyłtka w klapie kurtki lśni  
Po koncercie, pod hotelem  
Jak uparty czeka psiak  
Aż idol z gitarą  
Wreszcie da jej znak  
Z piątku na sobotę  
Idzie raz va banque  
Zabłąkany motyl  
Mała Lady Punk

*Mała Lady Punk*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 5



*W którym pada mnóstwo śniegu, jest grudzień 1981 roku, do wyjazdu na ulice szykują się czołgiści i zomowcy, a Janek Borysewicz w studio Teatru STU nagrywa pierwszą piosenkę swojego własnego zespołu. Utwór Mała Lady Punk musi zaśpiewać osobiście, bo zespół nie ma jeszcze wokalisty. Autor tekstu, przyjaciel Janusza, Andrzej Mogielnicki spotyka się z dziewczyną, która śpiewa w zespole wojskowym. Jest tam pewien fajny gość, Janusz Panasewicz, więc zapraszają go na przesłuchania. Borysewicz czuje, że to się nie uda. No bo jak? Z telewizji wyrzucili dziennikarzy, a ci, co zostali, występują w mundurach, na ulicach godzina milicyjna, a on ma z jakimś żołnierzem grać? Panasewicz nie chce jednak śpiewać dla armii i ląduje w kompanii karnej w Orzyszu. Nie było w tamtych czasach gorszego miejsca. Mogielnicki, wbrew Jankowi, upiera się, że biorą Panasa. Więc najpierw dają sobie po pysku, a potem siadają do negocjacji. Koniec końców chłopak z wojskowego zespołu staje przed mikrofonem i śpiewa Kryzysową narzeczoną, a wtedy, w samym środku polskiego kryzysu, eksploduje prawdziwa bomba. Piosenka wskakuje na pierwsze miejsce Listy Przebojów Programu III, na koncertach ludzie znają wszystkie słowa, i to się przydaje, zwłaszcza gdy menedżer zapomni powiadomić Janusza, kiedy i gdzie grają. Wtedy Jan Borysewicz staje na krawędzi estrady i zaczyna grać, a nieprzebrany tłum śpiewa razem z nim... I tak Lady Pank staje się największym zespołem w Polsce. Wszyscy czekają, aż wyjdzie pierwsza płyta, wierząc przy tym, że stan wojenny kiedyś jednak musi minąć.*

## **Kiedy zacząłeś myśleć o tym, żeby odejść z Budki Suflera i założyć własny zespół?**

Kiedy skomponowałem *Nie wierz nigdy kobiecie*. Poczułem się na siłach, żeby powoli zaczynać nowy, samodzielny etap. Jestem wdzięczny Romkowi, że pozwolił mi ten utwór nagrać i wydać na płycie. Nie wiem, czy ja sam, jako lider i główny kompozytor, wyraziłbym zgodę, żeby kto inny komponował kawałki w Lady Pank. Nie wstydzę się tego powiedzieć. Dlaczego mam pozwalać na komponowanie komuś innemu, skoro przez cały czas mam świeże pomysły i od wielu lat robię świetne piosenki?

## **Nie jesteś przesadnie skromny.**

Ni chuja. Ale za to jestem szczerzy. Kiedyś koledzy z Lady Pank mieli do mnie żal, że kasę z ZAiKS-u, jako kompozytor, biorę tylko ja. Powiedziałem wtedy: „Tak? To przynieście mi za tydzień każdy po jednej kompozycji”. Basista nie przyniósł. Szlagowski<sup>[22]</sup> powiedział, że nie będzie komponował. Gitarzysta coś tam miał, ale się okazało, że to jakiś zlepek moich zagrywek. I od tamtej pory rozmowy o komponowaniu przez innych się skończyły.

## **To jest kwestia zazdrości? Czy również podkreślenia, kto sprawuje władzę w zespole?**

To też. Ale nie chodzi o władzę dla samej władzy. Jaki jest sens tego, że ktoś przyniesie mi kompozycję, a ona będzie totalnie odbiegała od mojego zamysłu? Zespół jest mój, ja go wymyśliłem i wciąż mam na niego pomysł. Dlatego istnieje tak długo. I powtarzam to ostatnio przy okazji promocji płyty *LP40*, że nasza obecność w przestrzeni muzycznej to jest największe osiągnięcie tego zespołu. Zrobiłem wszystko, co konieczne, żeby Lady Pank przetrwał. Zawsze wiedziałem, do czego zmierzamy. Dlatego nie ma sensu, żebym dawał komuś do skomponowania utwór, który... co ma zrobić? Zmienić brzmienie tego zespołu? Rozumiem, gdybym nie miał pomysłów na komponowanie, to sam bym powiedział: „Panowie, pomóżcie...”. Miałem kiedyś taką

historię z Januszem Krukiem z zespołu Dwa Plus Jeden. Spędziłem u nich w domu całą noc, Ela Dmoch <sup>[23]</sup> poszła spać, myśmy zostali i Janusz, jak już się napił, zaczął mi się żalić: „Wiesz, już mi przestały pomysły przychodzić do głowy, nie wiem, co zrobić”. Zaproponowałem mu, że mogę mu dać parę utworów, które weźmie na swoje nazwisko. On się popłakał i mówi: „Naprawdę byś to zrobił?”. „Pewnie, że tak”. Było mi przykro, że człowiek, który zrobił zajebiste hity, nagle mówi, że ma pustkę w głowie i nie jest w stanie napisać żadnego numeru.



Z Andrzejem Mogielnickim w klubie Park, lata 80.

### **Wziął coś od ciebie?**

Nie. Kiedy wytrzeźwiał, już do tego nie wracał. Może się wstydził? Ale poczekaj, bo chyba zgubiłem główny wątek. Gdzie my jesteśmy?

### **W momencie, kiedy rodzi się pomysł na twój własny zespół.**

A, no tak. Odchodzę z Budki, wracam do Wrocławia, zbieram ludzi i jestem w stałym kontakcie z Andrzejem Mogielnickim. On jest bardzo ważną postacią w moim życiu, nawet nie wiem, czy nie najważniejszą, jeżeli chodzi o stworzenie zespołu. To Andrzej wymyślił, że wokalistą będzie Panas, mimo że ja go na początku nie chciałem, miałem w głowie

trochę inny wokal. Panas był wtedy w armii, śpiewał w wojskowym zespole, w którym występowała też narzeczona Andrzeja Mogielnickiego, Ula „Wiewióra”, bardzo fajna dziewczyna, są razem do dzisiaj. Przez ten zespół Andrzej poznał Panasa. Janusz przyjechał na nagrania próbne do Teatru STU w Krakowie i chwilę potem wyjechał z powrotem do jednostki. Nie podobały mi się te nagrania, wszedłem do studia i sam zaśpiewałem wszystkie numery. No trzeba powiedzieć, że nie brzmiało to najlepiej, ale wokal Panasa wcale mi nie pasował. Andrzej jednak naciskał i w końcu mnie przekonał: „Zobaczysz, że będzie dobrze”. Zagraliśmy wspólnie kilka koncertów i dalej nie byłem zadowolony. W pewnym momencie doszło do konfliktu. Andrzej upierał się, że Panas musi zostać. Ja, że nie ma takiej opcji. No i wywiązała się poważna kłótnia zakończona bijatyką. W końcu, jak zwykle, to ja pierwszy wyciągnąłem rękę, wyjaśniliśmy sobie z Andrzejem, na czym ma polegać zespół. Męska rozmowa. Wszystko wróciło do normy, a Panas ostatecznie idealnie wpasował się w skład. Jesteśmy razem do dzisiaj. Nie był tylko na dwóch koncertach. Raz go menedżer nie powiadomił. To była piękna akcja. Przyjechaliśmy do Częstochowy na koncert w jakimś teatrze i pytam: „Gdzie jest Panas?”. A menedżer: „O, kurwa mać, chyba mu nie powiedziałem, że dziś gramy”. Mieliliśmy przez chwilę takiego menedżera oszołoma. Zadzwoniliśmy do Janusza, to znaczy do jego mamy. Mama leciała do brata, brat leciał do Panasa, Panas leciał do brata, od brata lecieli do mamy i dopiero Panas oddzwaniał. No i Panas mówi: „Ale ja, kurwa, nie dojadę”. A tu transparenty Lady Pank, numery są już znane, *Kryzysowa narzeczona* na Liście Przebojów. Wyszedłem na scenę i mówię do ludzi: „Słuchajcie, nasz menedżer debil nie powiadomił wokalisty o koncercie i Panas nie zdąży dojechać. Nie chcę odwoływać tego koncertu, więc mam taką propozycję: ja będę zaczynał pierwsze takty tekstu, a wy będziecie kończyć. Zgadza się?”. Ludzie podobno mają ten koncert nagrany na kasetach. I ja śpiewałem: „Mogłaś moją być...”, a publiczność: „...kryzysową narzeczoną”. I tak cały koncert poszedł. A drugi koncert bez Panasa był w Kołobrzegu. Janusz miał wtedy przygodę w swoim rodzinnym Olecku – gdy wracał z jakiegoś klubu, napadli go i pobili. Kazałem takim trzem naszym goryłom pojechać do tego Olecka i przywieźć go stamtąd do Warszawy. Jak zobaczyłem Panasa pod hotelem Forum, z wielką pizdą pod okiem, to

już wiedziałem, że on na ten koncert do Kołobrzegu nie pojedzie. Wyszliśmy na scenę i powiedziałem: „Niestety, stała się rzecz straszna, Janusz Panasewicz nie może przyjechać”, i wymyśliłem jakąś wymówkę. I znowu: ja zaczynałem, a ludzie dalej śpiewali. Jeszcze pamiętam, że wtedy „Kapiszon”<sup>[24]</sup> tak niefortunnie skoczył na betonowym podeście, że złamał sobie piętę. Strasznie mu ta pięta spuchła. Wracaliśmy autobusem, wszyscy nawaleni, i śpiewaliśmy: „Pięta spuchnięta, Kapiszon, pięta spuchnięta”. Pocieszaliśmy go, dostawał flaszeczkę, żeby się znieczulać.

**Dlaczego na początku Panasewicz ci się nie spodobał? Chodziło o to, że śpiewał w bardzo specyficzny sposób?**

Chcesz powiedzieć, że zaciągał jak cholera? No co zrobić, tak było. Chłopak przyjechał z Olecka i tak „mazurzył”, że jak zaśpiewał „Tańc głupia, tańc, swoim zyciem się baw!”, to myśmy się pokładali ze śmiechu. „Co ty mi tu przywiozłeś, Andrzej?”, pytałem Mogiela. Zwłaszcza że na pierwsze nagrania Janusz przyjechał w wojskowym mundurze. Odpął zupełny.





„Grałem na przykład coś Deep Purple. I był szalony, robiłem salta na scenie, wygłupy...”

**Był na przepustce?**

Tak. Gdy później tych jego nagrań posłuchałem, to w nocy wróciłem do studia i sam zaśpiewałem *Mniej niż zero*. Wiesz, że pierwsza wersja tego utworu była hardrockowa? Nagrałem to, pojechałem do hotelu, obudziłem Andrzeja i kazałem mu posłuchać, mówiąc: „Nie podoba mi się, jak ten Panasewicz śpiewa. Ja bym wolał, żeby to było tak”. A Andrzej: „No wiesz, ale...”

### **Dał ci do zrozumienia, że wokalista z ciebie marny?**

To ja wiedziałem i bez niego. Dlatego ostatecznie Panasewicz został przyjęty. Posłuchałem Andrzeja i dziś zwracam mu honor, bo to była bardzo dobra decyzja. Janusz miał świadomość, że wchodzi do grupy, która ma znanego gitarzystę i znakomitego autora tekstów, więc nie zastanawiał się zbyt długo. Była taka sytuacja, że miał wystąpić z wojskowym zespołem Desant, w którym wtedy śpiewał, w jakimś komunistycznym programie. Powiedziałem mu, że jeśli tam pojedzie, to nie ma po co wracać do nas. Więc on po prostu nie dotarł na ten występ i w konsekwencji zesłali go do karnej jednostki do Orzysza. Myśmy go w tym Orzyszu kiedyś odwiedzili. Całym zespołem pojechaliliśmy.

### **Nie żałował tej decyzji?**

Nie. Szacun dla niego, że odmówił wystąpienia w tym komunistycznym pudle. Opowiadał, że gdy był w Orzyszu i kiedyś w radiu leciał utwór *Tańcz, głupia, tańcz*, to chłopaki mówili: „Ale zajebisty numer leci”. Na co Panas: „To ja śpiewam”. A oni: „Ha, ha, ha, tak, dobry z ciebie frajer”. Nie wierzyli mu. Wtedy też postawił wszystko na jedną kartę, bo dopóki występował w Desancie, nie miał w wojsku źle, był szczególnie traktowany, nie czołgali go po poligonach. No ale przyszedł czas, rzucił to wszystko, w ciemno, dla Lady Pank.

### **W którym momencie niechęć między wami przerodziła się w chemię?**

Trochę czasu to zajęło. Jesteśmy dobrymi kumplami, ale nie przyjaźnimy się jakoś bardzo. Faktem jest, że kiedyś spotykaliśmy się dużo, dużo częściej. A później, i ja to doskonale rozumiem, każdy z nas potrzebował chwili oddechu. Natomiast mamy do siebie wielkie zaufanie. A to jest dla mnie najważniejsze.

## **A z Mogielnickim jesteście przyjaciółmi?**

Jest dla mnie bardzo ważną postacią. Kiedy poznaliśmy się w Budce Suflera, on był już znanym autorem tekstów z duszą rock'n'rollowca. Kiedy mieliśmy trochę wolnego czasu, spotykaliśmy się w SPATiF-ie, dużo gadaliśmy na temat muzyki. Andrzej mówił mi o swoich fascynacjach, ja o swoich. Był ważną postacią chyba dla każdego artysty, z którym współpracował, bo dawał dużo z siebie. Gdy napisał tekst, to nie przesyłał go na zasadzie „masz, zaśpiewaj to”, tylko starał się jeździć na nagrania i wnosił dużo do wokalne interpretacji. W Lady Pank na początku to właśnie on ustawiał Janusza i robił to bardzo dobrze. Kiedy zaczęliśmy nagrywać pierwsze kompozycje na płytę, zostawiłem mu wolną rękę, bo ufałem mu i widziałem, że to idzie w dobrym kierunku.

## **To Andrzej namówił cię, żebyś odszedł z Budki Suflera, czy zdecydowałeś o tym sam?**

Powiedziałem mu, że chcę odejść, a on: „To odejdz. Szukaj muzyków i działamy. Ja będę z tobą”. Bez jego wsparcia Lady Pank nie powstałoby tak szybko. Codziennie dzwoniłem do Andrzeja i pytałem: „Masz jakieś teksty?”, a on: „Masz basistę, masz perkusistę?”, bo przez cały czas próbowałem znaleźć muzyków we Wrocławiu. Kiedy przyjeżdżałem do Warszawy, bo na przykład szukaliśmy wydawcy płyty, mieszkalem u Andrzeja. Jego mama, wspaniała kobieta, robiła nam codziennie śniadanie. Potem wychodziliśmy i na ulicy śpiewaliśmy *She's my little rock'n'roll* – to kawałek Richardsa<sup>[25]</sup> ze Stonesów. I tak łąziliśmy od wydawcy do wydawcy. Jeden jakby chciał, ale nie za bardzo, drugi to, trzeci tamto. Nie mogliśmy się przebić. Nagle weszliśmy do Stołecznej Estrady<sup>[26]</sup>, a jej dyrektor – notabene był nim wtedy Stanisław Cejrowski, ojciec Wojciecha – mówi: „Panowie, dajcie wszystko, co macie”. Po czym rzuca do sekretarki: „Proszę im jak najszybciej umożliwić nagrania”.

## **Dlaczego Cejrowski był do was tak entuzjastycznie nastawiony?**

Bo był pasjonatem muzyki! Znał mnie z Budki Suflera, pamiętał z koncertów z Izą Trojanowską w Sali Kongresowej. Ja byłem

showmanem, skakałem na scenie po głośnikach, robiłem salta z gitarą. Zapadł mi w pamięć. Kiedy więc zobaczył takich dwóch gagatków: Borysewicza i Mogielnickiego, od razu nacisnął odpowiedni guzik. Po wyjściu od niego poszliśmy do baru, śpiewając, a jakże, *She's my little rock'n'roll*.

### **Miałeś już wtedy gotową wizję zespołu?**

Przed wszystkim miałem już swoje brzmienie, to najważniejsza, pierwsza rzecz. To brzmienie usłyszysz w *Nie wierz nigdy kobiecie*. To już jest brzmienie Jankowe. Zauważ, że w utworach z tamtego czasu jest bardzo charakterystyczne intro. *Mniej niż zero, Tańcz, głupia, tańcz, Zamki na piasku* – we wszystkich tych numerach wstawiałem moje sygnały. Moje piętno. Robiłem to celowo. Chciałem, żeby były od razu rozpoznawalne, charakterystyczne i żeby przylgnęły do tego zespołu. Zaraz po odejściu z Budki pojechaliśmy z Mogielnickim do studia i nagraliśmy z moim wokalem kawałek *Bez satysfakcji*, który wcześniej zaśpiewał Czystaw, ale Budka go nie dała na płytę, a potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Nowe numery dosłownie się ze mnie wylewały. *Mała Lady Punk, Kryzysowa narieczona...* non stop przychodziły mi do głowy nowe pomysły. Tak jest do dzisiaj. Mam jednak świadomość, że trudno przebić tamte piosenki.

### **Kto wymyślił ten rockowy boysband, którego członkowie nie tylko dobrze grają, ale i odpowiednio wyglądają?**

To akurat był mój pomysł, ale ogólna wizja kapeli była wspólna. Kłóciliśmy się oczywiście o detale, takie jak to, czy ma śpiewać Panas, czy ktoś inny, ale nie przypisywałbym żadnemu z nas większego lub mniejszego wkładu w powstanie Lady Pank.

### **Próbowałeś pisać własne teksty?**

Ja piszę za bardzo osobiste teksty, a Mogiel jest znakomity. Kiedy skomponowałem coś delikatnego, to on w kontrze przywalił mocnym tekstem i to było świetne. Na przykład *Wciąż bardziej obcy*. Gdyby tam napisać tekst jadący równo z muzyką, to byłoby strasznie smutne. Flaki z olejem. A zamiast tego zaczyna się od razu zadziornie: „Są dni, kiedy

mówię dość”. Choć niewiele osób wie, że ten tekst powstał trochę przypadkiem, bo akurat czekaliśmy z Mogielem na obiad we Wrocławiu i nie mogliśmy się doczekać, więc Andrzej z tego wkurzenia zaczął nucić pod nosem „wciąż bardziej głodny”. Epokowy numer zaczął się od pustego brzucha. My się we dwóch znakomicie uzupełnialiśmy. Poza tym Andrzej miał wtedy przy pisaniu niesamowitą zabawę, widziałem, jak bardzo się cieszył. Kiedy dawałem mu jakiś utwór, mówił: „Tu sobie przypierdolę. Ale tu zrobię fajnie. A tu złagodzę”. Bawił się słowem.

### **Budka nie była zazdrosna, że zabierasz im Mogielnickiego?**

Może i tak. Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć, skoro nas już z nimi nie było.

### **Usłyszałeś na odchodne, że jesteś niewdzięcznikiem?**

Nie. To było raczej „część, dzięki, wszystkiego dobrego”. Na takiej zasadzie. Pogodzili się z tym, a resztą co mogli więcej zrobić? Byłem nieugięty. Nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek mogli mnie wtedy zatrzymać. A próbowali, uwierz mi.

### **Jaki był pierwszy utwór, który nagrałeś po uwolnieniu się od Budki?**

Najpierw przyjąłem propozycję zagrania na płycie Izabeli Trojanowskiej. Razem z muzykami, których wtedy zorganizowałem, jeździliśmy do Krakowa, do Teatru STU na sesje nagraniowe tego albumu. I przy okazji przemyśliłem *Małą Lady Punk*. Zrobiłem ten numer i zarejestrowałem trochę na boku, przy okazji nagrań dla Izy. Zaśpiewałem go sam, bo to był wczesny okres poszukiwań wokalisty, Panasa nie było jeszcze na horyzoncie. Kawalek natychmiast został wydany jako singiel w Tonpressie i trafił do stacji radiowych. Z miejsca stał się hitem. A nawet nie było jeszcze zespołu! Usiedliśmy więc z Mogielem i zaczęliśmy zastanawiać się nad nazwą. Łaziliśmy po warszawskich pubach i kombinowaliśmy. Wiele pomysłów było fatalnych, na przykład „Żużel”. W pewnym momencie Andrzej mówi: „Wiesz co, a może po prostu Mała Lady Punk, tak jak pierwszy numer?”. Doszliśmy jednak do wniosku, że to za długie. Więc Mała Lady? Albo Lady Punk? Zajebicie, ale my przecież nie gramy muzyki punkowej. No

to zmieniliśmy „u” na „a” i tak powstała nazwa. Było więc dwóch facetów, jeden numer i szyld. Nic więcej. Pierwszy koncert Lady Pank w „klasycznym” składzie, z Jarkiem Szlagowskim, Pawłem Mściślawskim i Edkiem Stasiakiem, daliśmy w klubie Park w Warszawie, jeszcze bez Panasa. Zagraliśmy wtedy kilka utworów, ja zaśpiewałem *Matą Lady Pank* i chyba ze trzy numery, które już mieliśmy przygotowane na płytę, ale bez tekstów. Śpiewałem „po norwesku”, to znaczy improwizowałem tekst niby po angielsku, żeby dobrze brzmiało fonetycznie. Ja tak komponuję do dzisiaj. I taką „rybkę” wokalną dostaje ode mnie autor tekstów, z którym współpracuję. To były takie pierwsze koty za płoty. A drugi koncert, też w Parku, zagraliśmy już z Januszem. Przyszło wtedy bardzo dużo ludzi z branży: Lech Janerka, Kora, Republika, wszyscy byli na tym koncercie. Potem ruszyła lawina, zaczęły się sypać propozycje kolejnych występów.



„Panasewicz dostał ksywę »Wytrych«. Ta jego sylwetka, ten zimny człowiek stojący na scenie, z rękoma w kieszeniach, kiedy śpiewał »Mogłaś moją być« – to robiło wrażenie”.

### **Szlagowski i Mściślawski grali wtedy w Oddziale Zamkniętym. W jaki sposób ich przejąłeś?**

Zanim dołączyli do Lady Pank, jeździliśmy na koncerty w innym składzie i któregoś dnia się okazało, że mamy wspólny wyjazd z Oddziałem. Zagraliśmy dwa koncerty, potem mała balanżka, kontynuowana

w autokarze, którym wszyscy wracaliśmy do Warszawy. Skończył się nam alkohol, a to były czasy, kiedy nie mogłeś się zatrzymać na stacji benzynowej, żeby sobie coś kupić do picia czy nawet do jedzenia. W sklepach, jeśli w ogóle były czynne, straszyły puste półki. Jedziemy przez las, gdzieś za Koninem, i w pewnym momencie mówię zrezygnowany: „Kurwa, tu musi coś być”. Nagle patrzę – drogowszak „Po Gorzałę 3”. Cud! Jesteśmy uratowani! Natychmiast mówię do kierowcy: „Skręcaj w prawo!”. Skręciliśmy, a tam sześć wiejskich chat i w każdej melina. Zaopatrzyliśmy się i ruszyliśmy dalej do Warszawy. Wtedy zaczęło się namawianie. Jarek Szlagowski zgodził się pierwszy.

### **Liderzy Oddziału, Wojtek Pogorzelski i Krzysztof Jaryczewski, nie wiedzieli, że chcesz im ukraść połowę zespołu?**

Oj tam, od razu ukraść. Ja tylko z nimi rozmawiałem. Jarek mówił: „Fajną muzykę gracie”. No to ja na to, że robimy z Mogielem konkretny zespół, i dodałem: „Może byś chciał zagrać?”. Wróciliśmy do Warszawy i jakiś czas później Jarek przyszedł do klubu Park i powiedział, że się zgadza. Park był taką bazą zespołu. Tam robiliśmy próby, wszyscy nas znali, naprawdę czuliśmy się jak u siebie w domu. A potem przyszedł Kapiszon, czyli Paweł Mścistański, ze swoją dziewczyną, popatrzył, posłuchał i powiedział: „Ni chuja! Nie ma mowy, zostaję w Oddziale”. Wziął dziewczynę i poszli. Ale wrócił po jakichś czterdziestu minutach i mówi: „A chuj! Jestem z wami”. Nie wiem, czy ta dziewczyna go przekonała, czy co? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Kapiszon to nieokrzesany dzikus, więc wszystkiego można się po nim spodziewać.

### **A Edmund Stasiak?**

Nie szukałem drugiego gitarzysty, dobrze brzmialiśmy w trio. Ale był taki jeden techniczny, przychodził na próby, przyglądał się. W pewnym momencie podszedł do mnie Wojtek Morawski, znajomy perkusista, i mówi: „Weź tego chłopaka, podszkoli się i będzie fajnie grał”. Ja miałem wtedy tylko jedną gitarę, czyli fendera. To był szok jak na tamte czasy, żeby mieć taki sprzęt. Wziąłem więc Edka do zespołu i przez dwa dni miałem gitarę u siebie, a na dwa dni dawałem jemu, żeby się uczył tych

rzeczy, które tworzyłem. Na koncerty pożyczał jakiś instrument, dopiero później kupił stratocastera. To był spory wydatek. W przeliczeniu na dzisiejsze zarobki trzeba było za niego zapłacić równowartość jakichś stu tysięcy złotych. Ale przede wszystkim były niedostępne. Nie było sklepów, tak jak dziś, żeby wejść i sobie kupić.

### **To jak można było ją zdobyć?**

Ja pierwszego stratocastera kupiłem od Tacka Nalepy. A potem, gdy wróciłem z tournée po Związku Radzieckim, za pieniądze zarobione na tej trasie kupiłem jeszcze gitarę od Darka Kozakiewicza, gitarzysty Perfectu. Po jakimś czasie uzupełniłem sprzęt o wzmacniacz Marshalla, który w tamtych czasach też był totalnym rarytasem – to z kolei od Grzeška Skawińskiego z Kombi. Z tym się wiąże niezła historia. Byliśmy w Sopocie w jakimś hotelu. Skawiński wyjeżdżał za granicę, potrzebował szybko waluty, ale przecież nie było kantorów, nie można było po prostu wymienić pieniędzy, w ogóle nie wolno było mieć waluty. Poprosiliśmy znajome prostytutki, żeby nam pomogły. Wymieniły dla nas złotówki na dolary, bardzo sympatyczne dziewczyny. Pytały: „Ile jeszcze brakuje?” „No, jeszcze trzysta dolarów”. Więc znowu szły do klientów, aż było tych dolarów dość i mogłem zapłacić Grzesiowi za marshalla.





Lady Pank w pełnej krasie, od lewej: Edmund Stasiak, Janusz Panasewicz, Paweł Mściłowski, Jan Borysewicz, Jarosław Szlagowski. Lata 80.

Nikt nie mówi nic  
Gdy razem tak siedzimy tu  
Kilka chwil  
Chwil zapomnienia  
Kogo nie ma, kogo nie ma  
Będzie tak, jak ma być  
Łączy nas srebrna nić  
Za ten czas  
Który trwa  
Jeden raz do dna

*Kogo nie ma*  
(sł. J. Skubikowski)

# ROZDZIAŁ 6



*W którym Jan Borysewicz zdejmuje maskę pewnego siebie twardziela, ekstrawertyka oraz narcyza i pokazuje ukrytą przed światem twarz chłopaka, który na koncertach odwraca się plecami do widowni. Nie dlatego, że kimkolwiek gardzi, ale ponieważ tak naprawdę jest nieśmiałym, nadwrażliwym artystą i nie wie, jak sobie poradzić z nagłą popularnością. Jednak zanim do tego dojdziemy, zaprosi nas do swojego studia, żebyśmy mogli zobaczyć i usłyszeć jego ulubione gitary, potem opowie o strunach, przystawkach i o tym, jak gitarę oprzyrządować, żeby brzmiała jak fortepian. A także o tym, czy warto nagrać płytę z samą ciszą i jakie ma sposoby na komponowanie. Trzynastego grudnia z okien hotelu Forum będziemy z naszym bohaterem obserwować czołgi na ulicach Warszawy. Wtedy to Jan Borysewicz podejmie najważniejszą wówczas życiową decyzję – wyjechać, żeby robić karierę na Zachodzie, czy zostać tutaj i walczyć? Tak jak walczyć potrafi chłopak z ulicy.*

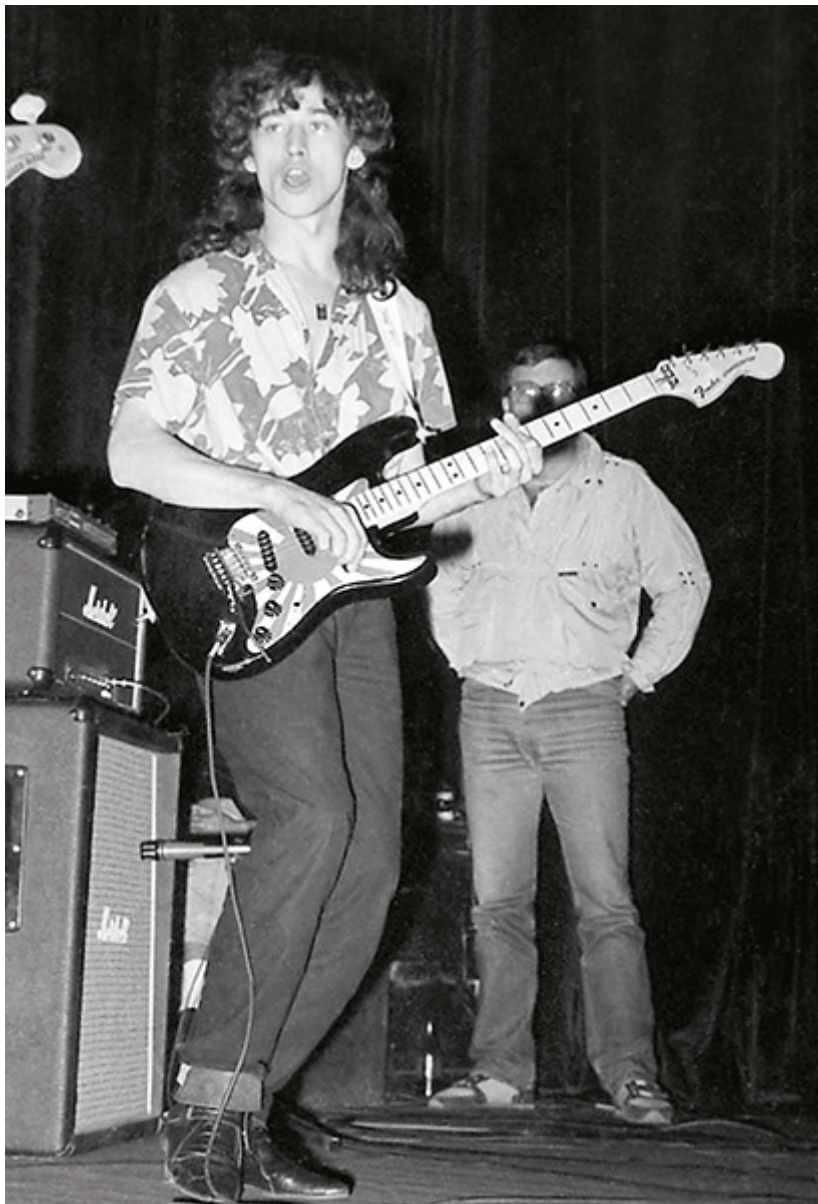
**Kiedy zaczynaliście z Lady Pank, miałeś gibsona, znakomitą gitarę światowej klasy. Dlaczego chciałeś się przesiąść na fendera stratocastera?**

Gibson i stratocaster to są dwa różne światy. Inaczej ustawiasz rękę do gibsona, a inaczej do fendera. Gibson jest dla mnie zbyt twardym instrumentem, nie w sensie twardości strun, tylko barwy dźwięku. Nie lubiłem tego instrumentu, może w jednym czy dwóch utworach bym go wykorzystał. Wolę miękką gitarę i ewentualnie ją po swojemu „dopałam”. W każdym stratocasterze, na którym grałem, zawsze zmieniałem jedną z przystawek do solowego grania. Fender ma najostrzejszą barwę, za ostrą do solówek, zawsze mnie drażniła. Latami szukałem czegoś, co uczyni to brzmienie łagodniejszym. W końcu znakomity gitarzysta Jeff Beck<sup>[27]</sup> skonstruował taką podwójną przystawkę i to było to! W każdym stratocasterze, na którym grałem na koncertach, mam założony właśnie taki patent. Kiedyś w chicagowskim Guitar Center kupiłem białego gibsona. Piękny instrument. Odkupił go potem ode mnie gitarzysta zespołu Houk<sup>[28]</sup>, bo ja już nie miałem do niego serca. Z nową gitarą na początku jest super, niesamowicie. Zawsze gdy wezmę do ręki nowy instrument, to komponuję na nim utwór, który staje się hitem. Tak jakby sama gitara pisała dla mnie utwory. Nie wiem, na czym to polega, ale tak jest.

**Opowiadasz o gitarach tak, jakby to były kobiety. Z jedną będziesz miał romans, ale na krótko, a z drugą się żenisz.**

Dokładnie tak jest. Tylko widzisz, z gitarami chyba nie miałem aż takiego problemu jak z kobietami. Mogę powiedzieć, że z gitarą jestem dłużej niż z którąkolwiek kobietą. Kobiet spotkałem bardzo dużo, natomiast gitarę, na której grałem bardzo długo – miałem tylko jedną. Dostałem ją kiedyś na urodziny od ówczesnej partnerki. Mam ten instrument do dzisiaj. Przez lata nagrałem z nim wiele płyt. To jest czerwony stratocaster, z odcisniętą na nim dłonią. To rączka mojej córki Alicji. Kiedyś wróciliśmy po koncercie, kupiłem farbę i poprosiłem, żeby mi taką łapkę zrobiła. Gdy teraz Alicja przyjedzie do Polski, to musimy poprawić, bo się

troszeczkę starło... No, a potem dorwałem się do gitary Jeffa Becka, tej pistacjowej, i to jest w tej chwili mój ulubiony instrument, z którego wydobywam naprawdę najlepsze dźwięki.



Na koncercie, lata 80.

## **Masz jakiś swój specjalny setup gitary? Grasz na konkretnych strunach, masz swoje specyficzne przyzwyczajenia?**

Nie. Staram się po prostu używać dobrych strun. Oczywiście w latach osiemdziesiątych w ogóle nie można było ich kupić, więc nie wiem, na jakiej zasadzie myśmy w ogóle funkcjonowali. Kapiszon po każdym koncercie gotował struny do gitary basowej w osolonej wodzie, ale nie wiem, czy to nie był tylko taki bezsensowny rytuał, bo niby w jaki sposób woda z solą ma poprawić jakość dźwięku? Kupowaliśmy wtedy struny w firmie Presto w Gdańsku. One strasznie brudziły ręce, nie grały dobrze, trzeba je było zmieniać co drugi koncert, ale innych nie było. Nie tylko my na nich graliśmy, bo gdy przyjeżdżały zagraniczne zespoły i pytały, gdzie można kupić struny, to czasami podawałem adres tej firmy. Oni potem w Presto dziękowali, że mają więcej klientów.

## **Jack White, kiedy zapytano go, dlaczego w zespole White Stripes były tylko gitara i perkusja, powiedział, że ograniczenia wydobywają z artystów maksimum kreatywności.**

Tak, zawsze szukałem odpowiedniego dźwięku w gitarze, niezależnie od tego, jaki instrument w danym momencie miałem. Ja do dziś gram trzema technikami: kostką, palcami oraz dwoma palcami, które ze sobą ściskam i używam wtedy opuszka plus paznokcia. Właśnie tę trzecią technikę wykorzystywałem, żeby na gibsonie uzyskać brzmienie stratocastera: grałem blisko mostka paznokciem i opuszką kciuka. Naprawdę ludzie czasami zamykali oczy i mówili: „To brzmi normalnie jak strat”. Zresztą cały czas próbuję różnych patentów. Na przykład zacząłem tappingować<sup>[29]</sup>. Nigdy wcześniej tak nie grałem, ale ostatnio zacząłem się tym bawić.

## **Ale czasami sięgasz i po inne instrumenty? Bo widzę, że gretsch<sup>[30]</sup> stoi oparty o ścianę, obok jeszcze parę innych sprzętów. To są ozdoby czy na nich grasz?**

Kolekcjonuję instrumenty. Gretscha bardzo często wykorzystuję w nagraniach do partii akordowych. On pięknie brzmi w podkładach, bardzo dobarwia stratocastera. Nie tak nachalnie, żeby zabrać dźwięk strata, tylko wspaniale dopełnia gdzieś pod spodem. Są oczywiście

gitarzyści, którzy grają na tych gitarach, ale nie spotkałem się chyba z tym, żeby ktoś wymiatał na gretschu solo.

### **A jakie stosujesz efekty gitarowe? Masz swoje ulubione?**

Ja jestem taki niespokojny duch, że gdy tylko zobaczę coś nowego, to sobie tu wymienię, tam wymienię, nie tylko sprzęt gitarowy, studyjny tak samo. Po roku, dwóch pojawiają się nowsze rzeczy, a poprzednie wydają mi się troszeczkę ograne. No i przez cały czas szukam efektów, które imitują inne instrumenty. Bo uważam, że gitara nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Brakuje mi czasami na koncertach takiego dźwięku, o którym ludzie by powiedzieli: „Wow, kurde, co to jest?”. Są pasjonaci konstruujący takie rzeczy, które sprawiają, że gitara brzmi jak fortepian. To kwestia zamontowania specjalnych przystawek i wtedy możesz na strunach imitować właściwie dowolny instrument.





„Z gitarą jestem dłużej niż z którąkolwiek kobietą”, 1999 r.

**Twoje tradycyjne, bluesowe brzmienie z czasów Apokalipsy w początkowym okresie Lady Pank ewoluowało do takiego, które porównywano wówczas z The Police.**

Zawsze słuchałem różnej muzyki. Jeżeli był Hendrix (rock), to był i B.B. King (blues), i Miles Davis (jazz), i Cat Stevens (folk, pop), i Led Zeppelin (hard rock)...Potem przez wiele lat nie trafiałem na nic wyjątkowo inspirującego, aż nagle pojawili się The Police i rozwalili system. To była totalna rewolucja. Gdy się spotkali we trzech – a to bardzo dobrzy muzycy – powiedzieli sobie: „Przestuchaliśmy wszystkie płyty, które powstały na świecie, i już wiemy, jak nie należy grać”. Oni połączyli rock z jazzem, reggae, punk rockiem, zrobili miks skrajnie różnych gatunków muzyki. To jest dla mnie najpiękniejsza rzecz, bo ja z tego wszystkiego, czego wcześniej słuchałem, też robiłem sobie miks w głowie, wszystkie te gatunki splotały się u mnie w jedność. Dlatego The Police zrobiło na mnie bardzo duże wrażenie. Podobnie jak oni wziąłem do jednego wora wszystkie brzmienia, które lubiłem, i wyszła mi taka, a nie inna muzyka. Natomiast nigdy świadomie od The Police nie zrzucałem. Chyba po prostu nasze inspiracje popłynęły podobnym torem.

**Masz jakiś rytuał komponowania? Nick Cave powiedział mi kiedyś, że idzie do studia tak jak do pracy. Rano wstaje, idzie na dziewiątą, siada do fortepianu, pisze, pisze. Jak coś napisze, to dobrze, jak nie, to siedzi tak długo, aż coś spłodzi. Ale o siedemnastej wychodzi. Twierdzi, że takie niemal biurowe życie bardzo porządkuje jego świat.**

To jest straszne, co powiedziałaś. Ja wchodzę do studia rano, żeby się przywitać z gitarą. Zagram kilka dźwięków, idę do łazienki i gdy się myję, cały czas moja głowa gra. Potrafię przerwać mycie zębów, żeby wrócić do studia. Nie mam daleko – przechodzę do pokoju, w którym się ono mieści, biorę gitarę i nagrywam na dyktafon albo włączam ścieżkę i od razu rejestruję „rybkę” z wokalem. Po śniadaniu znów idę do studia i zaczynam pracować nad tym, co wymyśliłem. Nie robię tego, jakbym szedł do pracy. Staram się ćwiczyć trzy, cztery godziny dziennie. Nigdy nie udało mi się zrealizować takiego założenia, że ćwiczę dwie godziny, robię przerwę i ćwiczę następne dwie, bo w ciągu tych pierwszych dwóch godzin nagle przychodzi mi do głowy jakaś kompozycja, więc muszę przerwać ćwiczenia i zaczynam robić nowy numer.

## **A kiedy komponujesz, to melodię słyszysz najpierw w głowie czy ona ci wychodzi spod palców, gdy dotykasz strun?**

Różnie. Kiedyś, jeszcze w stanie wojennym siedzieliśmy z Mogielem, totalnie wkurzeni i sfrustrowani, więc nerwowo wziąłem gitarę i zacząłem grać. Tak powstały *Zamki na piasku*. Mogiel od razu podłapał i mówi: „Dobra, trzymaj to, trzymaj, to jest zajebiste, robimy z tego numer”. Ale zasadniczo są trzy metody komponowania, które stosuję. Biorę gitarę, żeby poćwiczyć. Ćwiczę z pół godziny i w pewnym momencie, w trakcie tych ćwiczeń, wychodzi mi fajna zagrywka, którą śpiewam w głowie. Wtedy od razu siadam, przestaję ćwiczyć i zaczynam tworzyć kompozycję. Druga metoda jest inna – coś robię albo oglądam telewizję i nagle wpada mi do głowy melodia, więc biegnę do studia, biorę instrument i od razu szukam dla niej harmonii. Trzecia jest taka, że biorę gitarę do ręki i nagle uderzam jakiś akord. Czuję, że trzeba go rozwinąć w szerszy temat. Wiem, że mogę z tego akordu wyłuskać tysiące dźwięków, zagrać go inaczej, niż się książkowo powinno. To baza do dalszego komponowania.

## **Nie bijesz akordu po wszystkich strunach, w harcerskim stylu, tylko szukasz w nim pojedynczych dźwięków?**

Tak. Te „wybieranki” czy też „pajączki”, jak nazywają to niektórzy, patrząc na ułożenie mojej dłoni na gryfie, zawsze mnie kręciły. Są też dla mnie bardzo charakterystyczne.

## **Miewasz czasami blokadę? Pustkę w głowie? Chcesz coś skomponować, ale wena nie przychodzi?**

Nigdy. Nawet jeżeli zakładam, że niczego nie komponuję przez tydzień, tylko ćwiczę, to też się nie udaje, bo zawsze mi coś wyskoczy. Ale nie mam ciśnienia. Czasami jest taka presja, że masz utwór do zrobienia, bo za rok ma być płyta, a ty chcesz wcześniej mieć gotowe rzeczy. Uwielbiam mieć wszystko przygotowane wcześniej, nie robię nic na ostatnią chwilę. Ale czasami okazywało się też, że właśnie na ostatnią chwilę skomponowałem jakiś zajebisty kawałek. Dlatego zostawiam sobie miejsce na to, żeby w ostatnim momencie coś świeżego dołożyć. Mam jeszcze takie założenie, że gdy tworzę płytę, najpierw myślę, jaka

ma być. Czy będzie trochę więcej czy mniej klawiszy, w jakiej będzie rytmice. Wiesz, co jest dla mnie ważne? Na koncertach cały czas obserwuję publiczność. My nie gramy od pierwszego do trzydziestego utworu z playlisty po kolei. Mam koło siebie listę utworów i je tasuję. Przekładam. W zależności od nastroju publiczności. Najczęściej koncerty są naprawdę świetne, bo widzę, że gdybym dał tutaj wolniejszy numer, to oni by mi przysnęli, więc muszę dać szybszy.



Testy gitary Yamaha w studiu Woobie Doobie w Sulejówku. Przygotowanie materiałów szkoleniowych do zajęć w Akademii Jana Borysewicza.

### **Zespół nie wie, co będziecie grać podczas danego występu?**

Nie. Czekają na mój sygnał. Wiedzą, które trzy albo cztery utwory wejdą jako pierwsze, ale potem już mieszam. I podczas koncertów obserwuję, jakiego kawałka mi brakuje na następną płytę. Grasz cały koncert, półtorej godziny, i nagle mówisz: „Kurde, w tym momencie przydałby

się szybki numer”. Patrzysz i nie masz takiego. To muszę go napisać. To jest właśnie przygotowywanie nowej płyty. Gdy już to sobie w głowie ustalę, wtedy siadam i w dwa tygodnie mam cały album. Tak było zawsze.

### **Solówki na koncertach improwizujesz czy masz wcześniej przemyślane i przygotowane?**

W studio, gdy gram z Lady Pank, nagrywam bardzo krótkie solówki albo takie, które czerpię wprost z melodii. Chociaż w *Mniej niż zero* jest szalona improwizacja, ale też nieprzypadkowa. Natomiast na koncertach gram solówki dłuższe, improwizowane, a zarazem przemyślane, nie ma w nich chaosu, a jeśli jest, to zamierzony, po to, żeby nie było za słodko. Zdarza się, że zespół na koncertach dokłada coś od siebie. Czasami Kuba, perkusista, mówi: „Szkoda, że nie zagraliśmy w tym numerze takiej gęstej przebitki”, i potem to robimy na koncertach, jako niespodziankę. Ale pamiętaj, że ludzie, którzy przychodzą na nasze występy, wołają usłyszeć to, co znają z płyt. Do tego są przyzwyczajeni. Dlatego koncertowe aranże robimy dość wiernie, żeby były prawie takie jak na płycie, z małymi przesunięciami, na przykład z dłuższą solówką. Chodzi też o to, żeby nie mylić fanów, bo gdybyśmy co chwilę coś zmieniali, to oni by nie wiedzieli, w którym miejscu wejść ze śpiewem. Bo ludzie na koncertach śpiewają razem z nami. Lubię piosenki Lady Pank, to są numery, które śpiewają pokolenia. Gdy robię nową płytę, to czasami mam całą, kompleksową wizję albumu. Tak było z ostatnią płytą *LP40*. Trzy lata szukałem odpowiedniego pomysłu i w końcu przygotowałem ją dokładnie w takim stylu, w jakim chciałem. Przy tej płycie odskoczyłem trochę od naszych wcześniejszych dokonań, żeby *LP40* nie nawiązywała za bardzo do pierwszego albumu. Gdybyś wziął te dwie płyty, posłuchał ich jedna po drugiej, tobyś zobaczył, jaki jest progres zespołu przez cały ten czas, jaki jest mój progres. Na płytę *LP40* napisałem pięćdziesiąt dwa kawałki, potem zajęło mi dwa lata, żeby przygotować materiał, i z pięćdziesięciu dwóch numerów wybrałem dwanaście. Popatrz, jaka to była daleka droga, jakie to były poszukiwania, żeby dojść do celu.

## **Zdarzało się, że mimo wszystko na płytę wchodziły jakieś wypełniacze, powiedzmy – drugiej jakości?**

Owszem, były i takie płyty. Ale na pierwszej nie ma ani jednego wypełniacza, jest od początku do końca zaplanowana. Na przykład instrumentalnym utworem *Zakłócenie porządku* bardzo chciałem muzycznie zobrazować ówczesną sytuację, tak jak ją widziałem. Było dziesięć numerów, bo nie mieliśmy czasu na więcej, trzeba było lecieć dalej. Powiedziałem wtedy: „Dobra, wystarczy, przecież nie będę dokładał żadnej zapchajdziury, niech będzie po prostu krótsza”. Pamiętam, jak kiedyś z nieżyjącym już Winkiem Chróstem, gitarzystą, który miał studio w Sulejówku, nagrywałem swoją solową płytę. Któregoś dnia przychodzę, a tu okazuje się, że zniknął kawałek nagrania. Pytam: „A gdzie jest ta część? Przecież myśmy to wczoraj nagrywali”. Perkusja, bas, gitary – dziura się zrobiła. A on: „Kurwa, chyba skasowałem niechący”. Ja mówię: „No i co ja teraz zrobię?”. A on: „No, jak to, krzykniesz »hej« w tej przerwie”. Wtedy nazwałem go Kasownikiem.

## **I krzyknąłeś „hej”? Czy dograliście ten brakujący fragment?**

Dograliśmy, dograliśmy, ale tak się z tego śmiałem... Na marginesie, kiedyś miałem szalony pomysł, żeby wydać album – ciszę, bez żadnego dźwięku. Czarna płyta, puszczaś, a tam tylko cisza i szum igły... Naprawdę chodziłem z takim projektem przez dłuższy czas, ale w końcu pomyślałem, że fani nas zabiją.



Okładka płyty LP40.

**Kto wie, może zostałbyś uznany za wizjonera. Wróćmy jeszcze do momentu, kiedy po odejściu z Budki Suflera piosenki, jak mówisz, „zaczęły się sypać jak z rękawa”. Poczujesz się jak superbohater, który nagle odkrył swoją moc i wie, że od tej pory jego życie nie będzie takie samo?**

Dokładnie. Nagle znalazłem sposób na to, jak wyrazić wszystko, co się dzieje z moją głową. Znalazłem ujście dla przeżyć, które przez lata gromadziłem w sobie, gdzieś w pozamykanych szufladach. Nagle zacząłem je otwierać, grzebać w nich, porządkować. Od tamtej pory wszystko to, co widzę na co dzień, co mnie cieszy, co mnie męczy, muszę przewalać na dźwięki i melodię. Na przykład kiedy wróciłem

z pielgrzymki do Częstochowy, od razu zrobiłem płytę, *Królową ciszy*. Takie miałem doznania i chciałem je natychmiast wyrzucić z siebie, muzycznie, bo tekstów nie pisałem. Zrobił to Jacek Skubikowski<sup>[31]</sup>, któremu opowiadałem różne historie, bo się blisko kumplowaliśmy. Chciałem, żeby jeden z utworów był o moim bracie. I on napisał tak, że ja bym tego lepiej nie zrobił. Nawet nie chodzi o to, że bym nie potrafił, tylko ten temat przerastał mnie emocjonalnie. Bo kiedyś napisałem tekst o Andrzeju. Następnego dnia rano wstałem, puściłem muzykę, wziąłem kartkę z tym tekstem i się popłakałem. Porwałem tę kartkę. Nie dałbym rady, nie przeszłoby mi przez gardło. Ja jestem silnym facetem, ale jednocześnie wrażliwym. Bez tej wrażliwości by mnie nie było.

**Ludziom się wydaje, że jesteś balangowiczem, ekstrawertykiem i narcyzem, ale im dłużej gadamy, tym bardziej odnoszę wrażenie, że w wielu miejscach jesteś pozamykany i „nieprzysiadalny”, cytując Świetlickiego.**

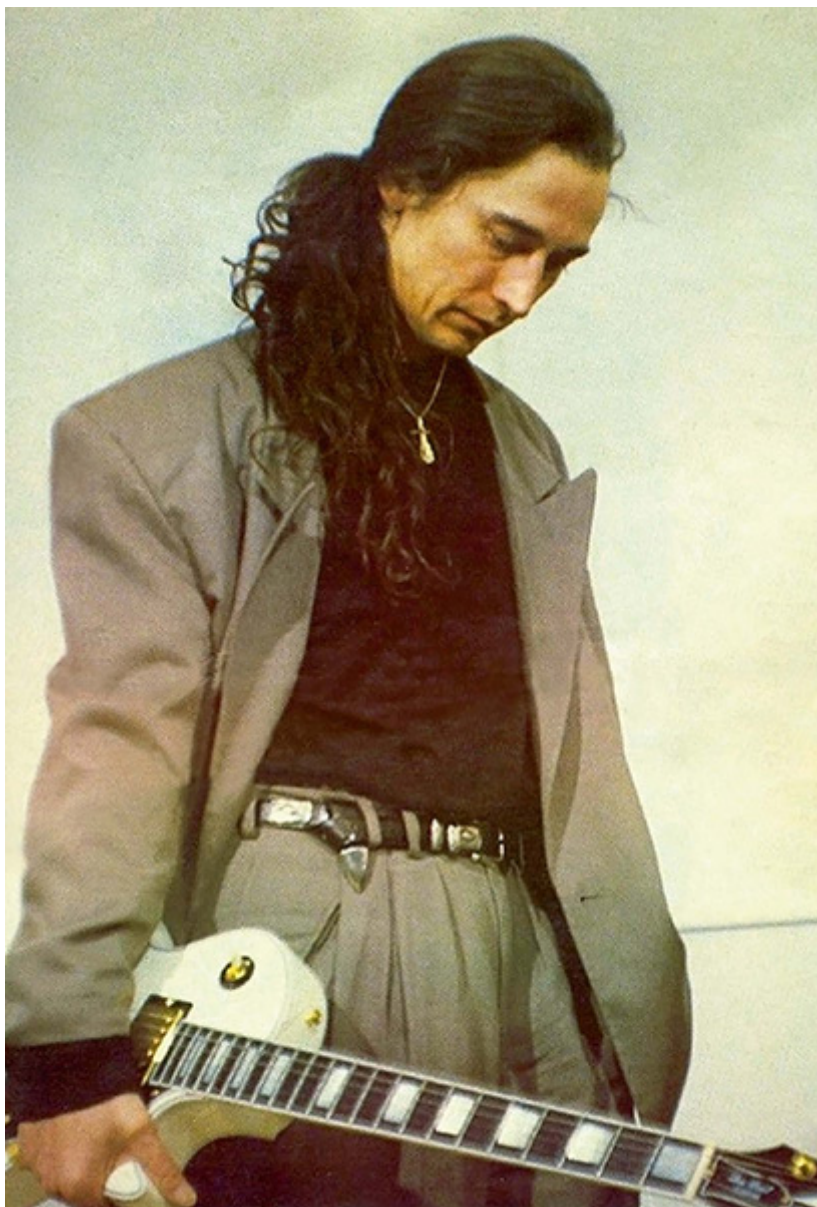
Kiedy zaczynałem występować na scenie, miałem taką tremę, że przez pewien czas grałem odwrócony do widowni tyłem. Niektórzy traktowali to jako przejaw arogancji i braku szacunku do ludzi. Później pojawił się alkohol. To prawda, był świetnym paliwem do balang, ale dla mnie był lekarstwem na nieśmiałość, sposobem na ucieczkę przed popularnością, która mnie przerosła. Ludzie z zewnątrz widzą tylko wycinek mojego życia, ten kawałek mnie, który chcę im pokazać. Nie wychodzę do nich ze swoimi sprawami, dlaczego miałbym kogoś tym męczyć? Muszę je przeżywać sam i sam sobie z nimi radzić. Jeszcze nie było osoby na świecie – aż do chwili, kiedy pojawiła się Małgosia – która by coś wniosła w moje życie, która by mi pomogła. Ale powiem ci, że niczego w życiu nie żałuję. Nawet afera we Wrocławiu pokazała mi, jacy są ludzie, na kim można polegać, a na kim nie. Oczywiście była niepotrzebna. Ale gdy patrzę na to z perspektywy czasu, to bardzo mnie wzmocniła. Potrafię zobaczyć ludzi z troszkę innej strony. Czasami umiem wytłumaczyć nawet bardzo złe zachowanie, doszukując się prawdziwych przyczyn. Nie zdaję się na łatwe oceny. Nie mówię, że jakiś człowiek jest



po prostu zły i koniec. Uważam, że zawsze trzeba szukać powodów, dla których coś się wydarzyło.

**Zwłaszcza że często to, co widzimy na zewnątrz, jest sumą spraw, o których nie mamy pojęcia.**

Dokładnie. Na tej pielgrzymce do Częstochowy była pewna starsza kobieta, która miała chyba z siedemdziesiąt osiem lat. Po kilku dniach miałem na stopach takie bąble, że musiał przychodzić sanitariusz, przecinać je skalpelem i oczyszczać. Po niektóre dzieciaki przyjeżdżali rodzice i zabierali je do domu. W pewnym momencie przechodziliśmy przez las, gdzie był piękny biały piasek, ale zdradliwy – zapadałeś się w niego. Młodzi ludzie nie dawali rady przez to przejść. I nagle patrzę, a ta kobieta targa jakichś dwoje przez ten piach. W ręcznie uszytych kapciach. Targa ich przez ten piach ze śpiewem na ustach, ze śmiechem. Kurwa, to było niewiarygodne. Wieczorem siadam koło niej i pytam: „Kobieto, skąd ty masz tyle siły?”. A ona się uśmiechnęła i powiedziała: „Wiesz, ja sobie obiecałam, że jak przeżyję powstanie warszawskie, to do końca życia będę chodziła na pielgrzymkę”. To był cios straszny. Myślę, że gdyby nie było w Polsce organizowanych pielgrzymek, to ona i tak sama by szła. Wydawało mi się, że spotkanie z nią to też dla mnie jakiś znak.



W melancholijnym nastroju. Sesja do płyty *Królowa ciszy*, 1991 r.

**Gdy spotykasz kogoś takiego, myślisz sobie, że twoje problemy są zupełnie małe i nieistotne.**

Tak. Ludzie przechodzą takie traumatyczne sytuacje, że to się w głowie nie mieści. A z drugiej strony przecież każdy z nas jest potłuczony w taki czy w inny sposób. Każdy z nas. Tych historii jest mnóstwo. Ja dostawałem osiem tysięcy listów miesięcznie i osiemdziesiąt procent z nich to było: matka alkoholiczka, ojciec alkoholik, ojciec mnie bije, matka mnie bije, chcę uciec, chcę się zabić. Ludzie szukali u mnie wsparcia. A reszta to były propozycje matrymonialne. Naprawdę. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że wysyłasz list w butelce, że potrzebujesz pomocy, a tam wracają miliony butelek: my też. I tak jest, kurwa, na tym świecie, niestety. Doszedłem do takiej formy psychicznej, że jestem w stanie kogoś wyciągnąć z bagna. Ale są i tacy, którzy potrafią jeszcze ludzi zdołować, pociągnąć na dno, takie wampiry energetyczne. I mnie jest ich szkoda, bo oni nie wyciągnęli wniosków z tego, co im się przytrafiło.

**Od osób takich jak ty ludzie oczekują większej siły, większej mocy. Jak od superbohaterów. Że przeniesiesz ich przez jakiś życiowy piasek, tak jak ta kobieta z pielgrzymki.**

Właśnie to robię przez media społecznościowe. Teraz trochę mniej, ale podczas pandemii non stop byłem z ludźmi na linii. I życzenia, i pozdrowienia, i trzymajcie się. Cały czas dla nich grałem i mam nadzieję, że oni to doceniają. Robiłem to bezinteresownie, żeby być bliżej, być z nimi, żeby czuli, że nie są zostawieni sami sobie. Dostawałem też dużo feedbacku: „dziękujemy, bo jest bardzo ciężko”. Wiem, że takie gesty są potrzebne. Wiem też, że fanom jest żal, że po koncertach nie zostajemy, nie rozmawiamy z nimi, nie dajemy autografów, tylko uciekamy.

**Nie masz już po koncercie energii, żeby zasilać sobą ludzi jeszcze poza sceną?**

Ja już nie mam dwudziestu lat. Tak się po prostu nie da. Wolę kontaktować się z ludźmi przez internet. Pomagam też w inny sposób: finansowo, albo podaruję komuś instrument. Jednak potrzebujących jest tak dużo, że nie jestem w stanie pomóc wszystkim. Prerażające, że my siebie nawzajem nie słyszymy. Od czasu, gdy dorosłem, bardzo boli mnie

to, że obok nas są wojny, gdzieś tam ludzie zabijają, a my jeździmy, kurwa, na wakacje. Nie potrafimy na takie sytuacje reagować. Uważam, że politycy to największa zakała. Polityk jest po to, żeby trzymać porządek, żeby ludziom dobrze się żyło. A nie po to, żeby nas skłócać. Tak jest nie tylko w Polsce. W USA, za Trumpa, też się społeczeństwo podzieliło. Dlatego napisałem *Amerykę* na ostatnią płytę.

**Ameryka, która w czasach komuny była wyśnionym rajem, dziś, nie tylko w tej piosence, wygląda jak wielkie rozczarowanie. Smutne jest to, że dzisiejsze dzieciaki nawet nie mają raju, o którym mogą marzyć, bo problemy wszędzie na świecie są podobne.**

W pełni się zgadzam. Jak byłem małym, to ciągnęło mnie do Ameryki, w ogóle gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj. Większość ludzi chciała uciec z Polski, tylko nie mogli, bo władza robiła im straszne problemy. Teraz też bardzo wiele osób myśli o emigracji z Polski. Tylko że ja już nie chcę nigdzie uciekać. A nawet gdybym chciał, to czy bym sobie znalazł miejsce gdzie indziej? Kiedyś miałem wiele propozycji i nie skorzystałem. Gdy robiłem płytę dla Izy Trojanowskiej w Teatrze STU, planowaliśmy zagranie całej trasy. Koncert wieńczący miał być w Sali Kongresowej. Mieszkałem wtedy w hotelu Forum. I nagle, godzina gdzieś siódma rano, włączam radio, żeby puścić muzyczkę, a tutaj cisza. Potem odezwał się jakiś facet. „Co on tak pierdoli?”, pomyślałem. To był generał Jaruzelski. Patrząc przez okno, a tam na środku, na rondzie stoi czołg. Gdy byłem wcześniej z Tadkiem Nalepą w Związku Radzieckim, poznaliśmy ludzi ze Szwajcarii. Między innymi kolesia, który teraz jest bardzo znanym dentystą. Jemu się bardzo spodobała moja gra. Powiedział mi, że ma kolegów, którzy kompletują zespół w Szwajcarii, i zapytał, czy nie zechciałbym do nich dołączyć. I mogłem jechać. Miałem paszport, miałem wszystko, mogłem zagrać ten koncert z Izą i jechać. Taki był plan, ale kiedy trzynastego grudnia zobaczyłem czołg, kiedy usłyszałem w radiu Jaruzela, to podarłem paszport i powiedziałem: „Kurwa, zostaję, walczę”. I trochę powalczyłem. Pojechałem do Wrocławia. Na Krzykach i w różnych innych dzielnicach były totalne bijatyki, tłukliśmy się z zomowcami. Czasami uciekaliśmy, bo mogliby nas pozabijać. Dowiedziałem się potem, że podobno byli na amfie,

dostawali ją przydziałowo. Mieli obłąd w oczach, to było widać, jak jeden z drugim przyłbicę zdjął. W dwudziestu na nas nacierali, a nas była szóstka czy siódemka, więc rozbiegaliśmy się w różnych kierunkach. Wszyscy walczyli. Ludzie doniczki rzucali z okien. Jak ktoś rzucił doniczką, to podjeżdżała armatka wodna i zalewała całe mieszkanie. To była regularna wojna. Wielu moich znajomych wyjechało, ale ja się im wcale nie dziwię. Nie mam im tego za złe. W Stanach zaprzyjaźniłem się z człowiekiem, który wyemigrował wtedy z całą rodziną. Zamieszkali w Phoenix w Arizonie. Pomógł mi, gdy w Ameryce rozstałem się z zespołem. Ale to już jest osobna historia.



Czołgi na ulicach Warszawy, 13 grudnia 1981 r.

Miliony kłów  
Łap w pazury zbrojnych  
Gotowych do walk o byle co  
Dokoła wre stan totalnej wojny  
Zabijać się – to jedyny sport  
Fabryka małp  
Fabryka psów  
Rezerwat dzikich stworzeń  
Zjadłych tak  
Że nawet Bóg  
I Bóg im nie pomoże  
Nie pomoże  
Nie pomoże

*Fabryka małp*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 7



*W którym Lady Pank rusza w pierwszą trasę koncertową. Za oknami stan wojenny, w sklepach tylko ocet i musztarda, w telewizji wyłącznie wiadomości i ruskie filmy, a oni do sesji zdjęciowej pozują szczupli, przystojni, w barwnych ubraniach i do tego wymalowani jak dziewczyny. To nie to co dzisiaj, kiedy każdy może być, kim chce. To jest rewolucja! W komunie każdy powinien wyglądać tak, jak pozostali. Jedni w mundurach, drudzy w garniturach, a cała reszta w roboczych ubraniach. Na koncerty wpadają hejterzy. A może prowokatorzy? Krzyczą „pedały” i rzucają kamieniami. Wtedy Jan Borysewicz staje przed ludźmi i pyta: „My wam dajemy serce, a w zamian dostajemy kamienie?”. Zespół decyduje, że nie będzie grać, ale... tłum nie rusza się z miejsca. Tego roku Lady Pank daje ponad trzysta koncertów. W garderobie wódka, na scenie wódka, a po koncercie balanga. Chłopaki idą w niekończący się imprezowy ciąg. Po pierwsze dlatego, że to lubią. A po drugie – nikt nie przygotował ich do tego, że z dnia na dzień staną się najważniejszym rock’n’rollowym zespołem w naszym kraju, nikt ich nie nauczył, jak sobie radzić z nieustannym uwielbieniem fanów i z tym, że z domu wolno im wyjść tylko nocą. Pewnego dnia proszą niedźwiedzia z warszawskiego ZOO, żeby się przesunął, i w jego klatce nagrywają piosenkę, która jest o nich samych. Czy to się mogło dobrze skończyć?*



**Początki kariery Lady Pank to był prawdziwy blitzkrieg – byliście na ustach wszystkich, jeszcze zanim wydaliście debiutancką płytę. *Tańcz, głupia, tańcz, Mniej niż zero i Minus 10 w Rio* z marszu trafiały na szczyty list przebojów. Byłeś zaskoczony?**

Budka Suflera to była bardzo popularna kapela, zagrałem z nimi tysiące koncertów, ale czegoś takiego, co wydarzyło się z Lady Pank, nie widziałem nigdy wcześniej. Czułem, że gdy ruszymy z nowym zespołem, to będą się działy rzeczy niesamowite. Miałem świadomość, jakie hity stworzymy razem z Andrzejem. Byliśmy wtedy jak w transie, wyrzucaliśmy z siebie jeden szlagier za drugim. Byłem zachwycony, że tak nam świetnie idzie. I miałem pewność, że wykonaliśmy znakomity ruch, odchodząc z Budki. Więc jakoś tam wiedziałem, że to za chwilę wybuchnie, ale szczerze mówiąc, nie sądziłem, że aż tak. Szybko staliśmy się solą w oku naszego środowiska, bo byliśmy przystojne chłopaki, z jajami, i do tego się malowaliśmy. Inne kapele patrzyły na nas z jednej strony trochę z zazdrością, a z drugiej – z niechęcią. Najbardziej by wszyscy chcieli, żebyśmy się rozpieprzyli. Kiedy zdarzało się, że powinęła się nam noga, to sam dostawałem takie sygnały: „Może ich nie będzie w końcu”. Później to się troszeczkę zmieniło. Bardzo zakumplowałem się na przykład z Grześkiem Ciechowskim, bo Republika wystartowała w podobnym czasie. A jednocześnie nasi fani prowadzili ze sobą regularną wojnę, ustawiali się jak kibice piłkarscy i na serio napieprzali. Myśmy siedzieli z Grzesiem i razem się z tego śmialiśmy.



Sesja w pełnym makijażu, od lewej: Janusz Panasewicz, Edmund Stasiak, Jan Borysewicz, Jarosław Szlagowski, Paweł Mścistański. Lata 80.

**Wasz image robił niesamowite wrażenie na ludziach. Zespoły rockowe wyglądały wówczas dość ponuro, wy nagle wyskoczyliście w cyrkowych ciuchach i kolorowym makijażu, kto kreował wasz wizerunek?**

To była suma różnych pomysłów. Stylistka Aleksandra Laska zrobiła nam z tym mocnym makijażem pierwszą sesję i tak nam się to spodobało, że postanowiliśmy malować się również na scenę. Nie graliśmy muzyki punkowej, ale chcieliśmy wyglądać jak punkowcy, tylko w maksymalnie przerysowanej wersji. Ciuchy to już każdy sobie sam znajdował. Panas te swoje słynne kraciaste spodnie uszył po prostu z jakiegoś materiału, który dostał od mamy. Do tego nosił długi płaszcz z postawionym kołnierzem. W połączeniu z jego bardzo szczupłą twarzą wyglądało to bardzo rasowo i fotogenicznie. Dlatego dostał ksywę „Wytrych”. Ta jego sylwetka, ten zimny człowiek stojący na scenie, z rękoma w kieszeniach, kiedy śpiewał „Mogłaś moją być” – to robiło wrażenie.

## **Zwłaszcza jeśli zaciągał „po mazursku”.**

Z czasem się tego pozbył, ale na początku mieliśmy ubaw. Kiedy graliśmy jeden z pierwszych koncertów w jego mieście, w Olecku, to przyszła jego żona z dzieckiem. Siedziała w pierwszym rzędzie i gdy on zaczął śpiewać, krzyknęła: „O Jezus Maria!” i zakryła sobie oczy. To było rozbrajające. W zasadzie się przeraziła – wyszło pięciu facetów, w tym jej mąż, ojciec dziecka, wszyscy wymalowani jak kobiety. To musiał być dla niej szok.

## **Część ludzi nie rozumiała tego image’u, wyzywali was od „pedałów”.**

Często to słyszeliśmy. Ale w zasadzie to była zazdrość o to, że staliśmy się tak popularni. Inaczej tego nie mogę nazwać. Dzisiaj powiedzielibyśmy „hejt”. To często jest rodzaj zawiści. „O rany, moja dziewczyna się w nim kocha, to ja mu tutaj nawrzucam”. Gdy graliśmy koncert we Wrocławiu w Hali Ludowej, poleciało nawet parę kamieni. Jeden z nich uderzył Szlagowskiego w klatkę, aż przestał grać. Podniosłem ten kamień, przerwałem koncert. Podszedłem do mikrofonu i powiedziałem: „Słuchajcie, jeżeli tak nas kochacie, to my, kurwa, dziękujemy za taką miłość”. Pierdolnąłem tym kamieniem o scenę i dodałem: „W takim razie, kurwa, nie będziemy dla was grać”. I zesliśmy do garderoby. Zdecydowałem, że już nie wyjdziemy. Siedzieliśmy tam jakieś czterdzieści minut. Organizatorzy cały czas próbowali nas przekonać do powrotu, ale ja byłem nieugięty. „Nie, ja po prostu nie chcę. Ja sobie nie tak wymarzyłem życie, żeby ktoś, komu daję swoją energię, swoje serce i swoje pomysły, nas w taki sposób traktował”. Po czterdziestu minutach cała hala zaczęła krzyczeć: „Przepraszamy!”. Okazało się, że ludzie z widowni dorwali tych trzech czy czterech agresywnych kolesi i spuścili im lanie. Gdy usłyszałem to „Przepraszamy!”, to jeszcze odczekałem ze dwie, trzy minuty i mówię: „Panowie, idziemy na scenę”. Wyszliśmy i był szal, zagraliśmy koncert do końca w znakomitej atmosferze. Wtedy zdałem sobie sprawę z mojego błędu – na początku wydawało mi się, że wszyscy ludzie są agresywni. Potem się okazało, że to nie cała publiczność, tylko paru gnojków, którzy z zawiści przyszli, żeby pohejtować i narozrabiać. I podobna zasada panuje do dzisiaj. Zawsze w tłumie, czy to na koncercie, czy w internecie, znajdzie się paru

zadymiarzy, którzy zechcą napsuć ci krwi. Najlepszy sposób to ich olać. Nie karmić ich swoją uwagą.

### **Pewnie zdarzały się też i prowokacje?**

Oczywiście. W Hali Ludowej, ale na innym koncercie, milicja ustawiła szpaler pod samą sceną i biła ludzi. Mówię do publiczności: „Przepraszam bardzo, czy moglibyście na sekundkę odsunąć się od sceny?” Ludzie grzecznie się odsunęli, a ja powiedziałem: „A teraz chciałbym poprosić milicję, żeby wypierdalała”. I nagle zrobiła się totalna cisza. W końcu milicjanci grzecznie, jak mróweczki, wyszli. Musiałem się później ukrywać, bo dostałem sygnały, że milicja mnie szuka, że chce mi wtłuc.

### **Musiałeś się ukrywać również przed fanami?**

No chodzić po ulicach nie mogłem. Wynajmowałem mieszkanie w Warszawie, na Sadybie, na Jaszowieckiej, ale mogłem wychodzić tylko w nocy. Jechaliśmy ze znajomymi w dwa, trzy samochody do parku albo do lasu, żeby się przejść. Poza tym całymi dniami siedziałem w domu. Musiałem też co dwa tygodnie płacić za odnawianie ścian w moim bloku, bo klatka była wymalowana w serduszka, w kwiatuszki, w miłość, „kocham cię”, „I love you, Janek”. Tego typu rzeczy. Ale z sąsiadami bardzo dobrze żyłem. Oni sobie zdawali sprawę, jaka jest sytuacja. Mieszkania użyczył mi znajomy, pasierb Roberta Gadochy <sup>[32]</sup>. Kumplowałem się z nim wiele lat, później jeździł z nami jako kierowca. Taki przyjaciel zespołu.

### **Zmiana w twoim życiu przyszła bardzo gwałtownie. Nagle ze zwyczajnego muzyka stałeś się supergwiazdą. Jak się z tym czułeś?**

Jak w klatce, bo jak można się czuć? Nawet mieliśmy taki utwór *Fabryka małp*, do którego teledysk nakręciliśmy w warszawskim ZOO. Niedźwiedzia przenieśli do innego boksu i my kręciliśmy w jego klatce. To miało zobrazować naszą sytuację. Myśmy w zasadzie nie mieli życia. Ratowało nas to, że graliśmy bardzo dużo koncertów i non stop przemieszczaliśmy się z miasta do miasta. Czasami było tak, że zatrzymywaliśmy się na przykład w Hotelu Katowice i stamtąd jeździliśmy do różnych satelickich miejscowości na koncerty. Spędziliśmy

w hotelu tydzień czy dwa, jeżdżąc dookoła całego województwa. To samo było w Poznaniu. Cały czas byliśmy w drodze. Ale powroty czy wyjazdy na koncerty? Wtedy nie było ochrony, nie było tak jak teraz, że bus ze sprzętem wjeżdża do hali, za nim ja swoim samochodem, zamykają się wrota, idziemy prosto do garderoby, a nikt z zewnątrz nie ma tam wstępu, bo ochrona pilnuje. Wtedy, gdy odjeżdżaliśmy po koncercie czy przyjeżdżaliśmy do hotelu, to nie mogliśmy przejść, ludzie chcieli nas nosić na rękach. Kolejna rzecz, która pozwalała nam przetrwać to wszystko, to był alkohol. Nie ma co ukrywać, nie dałoby się tego na trzeźwo przejść.



Na planie teledysku do piosenki *Fabryka małąp*, klatka niedźwiedzia w warszawskim ZOO, 1984 r.

### **To był czas whisky czy wódki?**

Na samym początku była wódka, ale bardzo szybko weszła whisky. Jako szef zespołu zdecydowałem, że wódka jest agresywna i wódki nie pijemy. Odtąd mamy pić tylko johnniego walkera. Niektórzy w zespole marudzili: „Ale johnnie walker jest niesmaczny! Ja po nim

wymiotowałem!“. Wtedy odpowiadałem: „Nic mnie to nie obchodzi, wymiotuj jeszcze pięć razy, jesteś w Lady Pank, musisz się przyzwyczaić“.

### **Narzucałeś jakieś limity spożycia?**

Nie. Tutaj panowała wolność. Przed koncertem zawsze coś było, w garderobie zawsze coś było. Na scenie zawsze coś było. Po koncercie w garderobie zawsze coś było, po czym wsiadaliśmy w samochód i jechaliśmy do hotelu.

### **Ile koncertów zagraлиście w ciągu pierwszego roku?**

368. Kiedyś przez kilka dni jeździł z nami na koncerty pewien dziennikarz. Przebywał z nami cały czas. Potem napisał w gazecie: „Wsiadłem do samochodu ze wspaniałymi młodymi ludźmi, uśmiechniętymi, wesołymi, a po trzech dniach znalazłem się w fabryce małąp“. Napisał prawdę. Myśmy w trasie dziczeli. Było dużo alkoholu, szliśmy pełnym ogniem, w totalnym szwungu zabawowym. To nie było tak, że jedziemy na koncert, wracamy wieczorem, wypijemy sobie po jednym piwku, idziemy spać, bo rano znowu wyjeżdżamy. W ogóle nie było spania. Z jednego koncertu jechaliśmy na drugi, cały czas balując. Gdy wracaliśmy do Warszawy i mieliśmy kilka dni przerwy, mieszkaliśmy w hotelu Forum i tam do nas przyjeżdżali różni muzycy, artyści. Balanga trwała non stop.

### **Nie bałeś się, że to się źle skończy? Nie mówię o zdrowiu, ale jak na ciągłej bani zachować wysoką artystyczną formę?**

Nie myślałem: „O Boże, zniszczę sobie wątrobę albo trzustkę“. Czułem się wolny, szczęśliwy. Wiadomo, że z wiekiem organizm był słabszy, a człowiek chciał balować tak, jak balował za młodu. Wiedziałem, że po dwóch, trzech dniach takiego imprezowania będę się bardzo źle czuł, więc się zabezpieczałem. Gdy zaczynaliśmy w Warszawie, to w Gdańsku już czekał w gotowości lekarz, żeby dać mi szybką kroplówkę, która stawiała mnie na nogi.

### **A stymulanty? Dopalacze?**

Pojawiły bardzo późno. Przez wiele lat jedyną chemią, jaką w siebie wlewaliśmy, był alkohol. Te imprezy miały też pozytywny skutek, bo bardzo nas zbliżały do siebie, jako zespół. Poznawaliśmy się. Kapiszon jak się napił, to się darł, miał takie dziwne wojownicze okrzyki. Kiedyś pojechaliśmy do jakiejś stadniny, Kapiszon pijany wsiadł na konia na oklep i po chwili spadł. To był Dzik Zachód. Myśmy żyli jak amerykańscy muzycy, tylko że u nas w Polsce było dookoła szaro, więc sobie tę szarość dobarwialiśmy. Była w nas, na szczęście, adrenalina. Nie wiem, skąd braliśmy tę siłę, ale to była siła całej kapeli. Jeden drugiemu dotrzymywał kroku. Czasami jak jeden padał, to drugi go podnosił.

### **Dorobiliście się etykiety najbardziej niebezpiecznego zespołu w Polsce.**

Prawda, choć jak już wspomniałem, wiele z tych historii to nie było nasze dzieło, ale szło na konto Lady Pank. Nie chciałem tego odkręcać. Mówiłem: „Dobrze, niech będzie, im więcej, tym lepiej”. Ktoś wyrzucił przez okno obraz, który wisiał na ścianie, bo mu się nie podobał. Telewizor wyleciał, jakieś radio, zdarzyła się jakaś bójka czasami. Ktoś kogoś zaczepił, więc nie zostawialiśmy tego bez odpowiedzi. Bo w hotelach zatrzymywali się też ludzie, którzy nie za bardzo nas lubili. Chodziliśmy też do kurwidołków i tam się imprezowało. Zdarzało się, że gdy w hotelu były potańcówki albo wesela, to przychodziliśmy i mówiliśmy kapeli: „Zagrajcie nam swój najlepszy numer, bo chcieliśmy się trochę pośmiać”. Byliśmy okrutni. Po czym braliśmy od nich instrumenty i sami graliśmy utwór dla pary młodej. Większość gości była już tak porobiona, że pewnie na drugi dzień nic nie pamiętali albo myśleli, że im się to śniło. Kiedyś po koncercie na Śląsku dostaliśmy w prezencie od naszego fanklubu wielki tort. W hotelu zaczęliśmy się nim raczyć i w pewnym momencie podszedł do nas elegancko ubrany biznesmen z teczką, który powiedział, że uwielbia Lady Pank. Zaprosiliśmy go więc do wspólnego stołu, poczęstowaliśmy tortem i napoiliśmy wódeczką. Pan był tak zachwycony, że w pewnym momencie stracił rachubę nad wypitymi kolejkami i usnął. A my balanga w najlepsze. Zaczęliśmy rzucać się tym tortem i w pewnym momencie ktoś wpadł na pomysł, żeby temu uśpionemu nieszczęśnikowi zdjąć buty

i naładować do nich tortu. Potem nałożyliśmy mu buty z powrotem i sami poszliśmy spać. Rano w hotelu afera, bo panie sprzątaczkę jak zobaczyły salę po naszej imprezie, to odmówiły pracy. W tym momencie biznesmen się ocknął. Zaczęliśmy mu wmawiać, że to wszystko przez niego. „Widzisz, jaki byłeś niegrzeczny? My cię przyjęliśmy jak swojego, a ty tak narozrabiałeś i pewnie jeszcze nic nie pamiętasz!?” Facet był przerażony, chciał zapłacić za wyrządzone szkody, byle tylko nikt się o tym nie dowiedział. Innym razem Kapiszon pobił się z uczestnikami jakiegoś forum ekonomicznego, bo gdy chcieli wejść do windy, którą akurat jechał, zaczął się awanturować, że to jest prywatna winda i mają wypierdalać. W efekcie trafił na noc do aresztu, bo podczas szarpaniny wybił jednemu z delikwentów ząb. Zresztą nie był to ostatni raz, kiedy Kapiszona zwijała milicja. Kiedyś, po koncercie w Wałbrzychu, chłopcy z zespołu chcieli dokończyć alkoholową zabawę w hotelowej restauracji, do której nie chciano ich wpuścić, bo podobno nie było miejsc. Oczywiście chodziło o to, że byli już pijani. Kapiszon nie dał jednak za wygraną i próbował sforsować drzwi do knajpy. Pociągnął je w swoją stronę i wyrwał z zawiasów, a że były zrobione głównie ze szkła, to efekt był taki, jakby w hotelu wybuchła bomba. Na szczęście, kiedy już przyjechała milicja, grzecznie się do wszystkiego przyznał i udało się jakoś tę aferę załagodzić.





Ciągle w trasie.

**Częściowo można waszą popularność wyjaśnić tym, że nie pasowaliście do żadnego schematu znanego wcześniej w Polsce. Nie graliście punk rocka, nie graliście siermiężnego rocka unurzanego w bluesie, w klimatach heroinowych. Tworzyliście radiowe przeboje, ale to nie były banały o trzymaniu się za rękę, tylko przenikliwe komentarze dotyczące czasów, w których żyliście.**

Ja bym się posunął dalej – momentami są komentarzami ponadczasowymi. Czy to, co wtedy pisał Mogielnicki, przestało być dzisiaj aktualne? Czasami słyszę, jak ktoś mówi: „O Jezu, oni jeszcze żyją? Ile można grać *Mniej niż zero*?” No można, bo to *Mniej niż zero* jest aktualne cały czas. Bo ciągle trzeba przypominać ludziom, że są tacy, dla których inni znaczą mniej niż zero.

**Ten numer łączono ze śmiercią Grzegorza Przemyka<sup>[33]</sup>. Piosenka na Liście Przebojów Trójki dotarła bardzo wysoko, a pewnego dnia nagle zniknęła.**

Nie pisaliśmy tego numeru z taką intencją. Piosenka pojawiła się w radiu wiosną, to się złożyło w czasie. Na początku są słowa: „Myślisz może,

że więcej coś znaczysz/Bo masz rozum, dwie ręce i chęć/Twoje miejsce w tym kraju tłumaczy/Zaliczona matura na pięć". Cenzura zdjęła więc ten utwór z Trójki, ale powrócił na listę, kiedy Andrzej zmienił tekst na: „Twoje miejsce na Ziemi”. Mnie się wydaje, że ta zmiana wyszła na korzyść, bo tekst miał dotyczyć wszystkich ludzi, nie tylko u nas w Polsce.

### **Często miewaliście problemy z cenzurą?**

Mogiel czasami miał widzenia z cenzorami, którzy mówili na przykład: „Może, panie Andrzeju, by pan zmienił jakieś jedno słówko”. Ja z *Mniej niż zero* miałem taką sytuację, że w Poznaniu na koncercie Rock Arena przyszło do mnie dwóch panów w czarnych garniturach z teczkami i zapytali mnie, czy mogę ze mną chwilę porozmawiać. Weszliśmy do innej garderoby, w której byliśmy sami, wyciągnęli jakieś dokumenty i powiedzieli, że niestety, ale w tym mieście nie można zagrać utworu *Mniej niż zero*. Popatrzyłem na te dokumenty i mówię: „Okej. Nie ma problemu”. Wyszliśmy na scenę i pierwszy numer, jaki zagraliśmy, to było *Mniej niż zero*. Dalej też było zabawnie, choć już nie z cenzurą. Myśmymy wtedy tak dali w banię, że wyszedłem na scenę już lekko trącony. Gdzieś po trzecim numerze tak mnie siekło, a graliśmy chyba z osiem utworów, że kostka wypadła mi z ręki. Szukałem jej na kolanach, ale światło zaszuwało po podłodze, a ja tej kostki nie widziałem. Co ją znalazłem, to mi niebieskie zaświeciło i znów mi uciekła. Nagle: „Mam!”. Tylko że wtedy już graliśmy ostatni numer. Po tym koncercie wsiałem do taksówkarza, który jechał taką starą, rozklekotaną warszawą. I kupiłem od niego ten samochód. Potem zaprosiłem go do hotelowego baru, napiliśmy się i powiedziałem mu, żeby sobie zabrał ten samochód i zatrzymał pieniądze.



Na spotkaniu z fanklubem. Pierwszy z lewej: Andrzej Mogielnicki.

**Skoro stać cię było na taki gest i fantazję, musieliście już wtedy nieźle zarabiać.**

Z samych koncertów mieliśmy nieduże pieniądze. Nas tam dymali jak chcieli, bo pracowaliśmy przez Stołeczną Estradę, która miała swoje stawki. Każdy z muzyków zarabiał 500 złotych, a kierownik muzyczny 1500. Więc wymyśliłem tak, że jednego dnia ja jestem kierownikiem muzycznym, następnego dnia kierownikiem jest na przykład Szlagowski i dzieliłiśmy się między sobą, żeby każdy miał w miarę po równo. Natomiast najwięcej pieniędzy było ze sprzedaży gadżetów po koncertach. Mieliśmy takie plastikowe worki, którymi wynosiliśmy utarg. Produkowaliśmy na przykład swoje perfumy. Nie pachniały jakoś wybitnie, ale szły lepiej niż woda. W tamtym okresie sprzedaliśmy też chyba ze dwa miliony plakatów. Ogromnym samochodem przyjeżdżał taki koleś z Krakowa, który je robił i sprzedawał. Myśmy się z nim dogadali. I przychodziliśmy po koncercie do baru z sakwą pełną gotówki. Zresztą wielu muzyków nas za to nienawidziło, bo gdy my szastaliśmy forszą, oni musieli grzecznie stać w kolejce do kasy po skromną, ustawową wypłatę.

## **Wszystko wydawaliście od razu?**

Od razu może nie, ale wiesz... dużo szło.

## **Niczego nie odkładałeś?**

Zawsze wyznawałem zasadę: „Nie odkładamy, gramy, bawimy się”. Może to był błąd, bo mogłem dużo pieniędzy zaoszczędzić.

## **Mówisz o spotkaniach z cenzurą, opowiadasz o wybuchu stanu wojennego i twojej decyzji „zostaję i walczę!”, jak więc oceniasz z dzisiejszej perspektywy postawę Lady Pank? Walczyliście wystarczająco mocno?**

Oczywiście, że tak. Byliśmy maksymalnie przeciwni temu, co się działo, i walczyliśmy na swój sposób. Kiedyś wystarczyło, że biegałem po ulicach i tłukłem się z zomowcami. Ale gdy zaczęliśmy grać, to w tekstach Lady Pank była taka siła, taki przekaz, że ludzie w tym kraju szli razem z nami. Mogę śmiało powiedzieć, że jako zespół mieliśmy pewien wpływ na to, że komuna wreszcie padła. Co ciekawe, podobno sam Jaruzelski lubił Lady Pank. Powiedział mi to ktoś z ówczesnych kręgów władzy.

## **Jak się wtedy poczułeś?**

Uśmiechnąłem się, bo jak się miałem pocuć? Nigdy nie byłem człowiekiem, który się wypowiada na temat polityki. Starąłem się skupić na muzyce. I uważam, że poprzez muzykę można wyrazić wiele rzeczy. Moim instrumentalnym utworem z pierwszej płyty, *Zakłócenie porządku*, pokazuję, jak widziałem to, co się wtedy działo, chociaż nie pada w nim ani jedno słowo.

## **Wielu muzyków angażuje się politycznie. Nie mam na myśli takich postaci jak Liroy, Kukiz albo Cugowski, którzy aktywnie weszli do polityki, lecz dość liczne grono, które choćby w mediach społecznościowych na bieżąco komentuje ten kawałek rzeczywistości. Dlaczego milczysz o polityce?**

Chyba dlatego, że brzydzę się tym tematem. Uważam, że im mniej się będę polityką zajmował, tym mniej ochlapie mnie błoto, w którym ona

zawsze jest unurzana.

**Kiedy patrzyłeś na polską rzeczywistość lat osiemdziesiątych, gdy komuna się już chwiała, ale wciąż pokazywała pazury, czułeś, że to się niedługo skończy?**

Gdy tłukliśmy się z zomowcami na ulicach, gdy widziałem ludzi, którzy rzucają w nich doniczkami i krzesłami, narażając się na to, że za chwilę zaleją im mieszkanie albo do niego wpadną i ich spałują czy zamkną, to widać było, że jesteście siłą. Czuć było w powietrzu nadzieję. To się przełożyło na Lady Pank – gdy zaczęliśmy grać koncerty i nasze numery poszły w świat... *Mniej niż zero* to był total po prostu, ziemia się trzęsa, gdy graliśmy ten utwór, coś niewiarygodnego. Widziałeś w oczach ludzi pod sceną, jak oni pragną zmian. Myśmy ze sceny nie krzyczeli, jak punkowcy, „jebać komunizm!”, bo to było jasne. Był taki dowcip, że w elektrowni atomowej przychodzi sprzątaczką do pokoju generała i odkurzając biurko, niechcący naciska jakiś guzik. Po chwili słychać wielki wybuch. Wpada generał i mówi: „Poszła w piździec!” A ona: „Szto, ja?” „Niet, Italia!” Taki dowcip opowiadał mi generał, z którym piłem wódkę w Związku Radzieckim, gdy byłem tam z Nalepą. To dowodzi, że oni sami czuli koniec swojej potęgi. A propos tamtej trasy w ZSRR, przypomina mi się jeszcze, jak podczas lądowania na Syberii samolot wpadł w poślizg, zjechał z pasa i zaczął sunąć bokiem. Prawie zawadził skrzydłem o budynek terminala. Gdy piliśmy wódeczkę ze wspomnianym generałem, powiedziałem mu o tej sytuacji. A on na to w śmiech i mówi do mnie: „Słuszaj, młodyj dziełowiek, ty się niczego nie bój, słuchaj tylko silników. Jak słyszysz silniki, to się nic w samolocie nie stanie!” I faktycznie, ja do dzisiaj, gdy latam samolotem, słucham tylko silników. Nie boję się latać, ale od tamtego czasu, choć tyle lat minęło, zawsze zwracam uwagę, czy silnik jeszcze chodzi. Jak mi się czasami uszy zatkają i przez moment nic nie słyszę, to robię się nerwowy.



Poszukiwania muzyków do zespołu, piwnica klubu Rura, Wrocław 1982 r.

**Ciekaw jestem, jak z twojej perspektywy wygląda zestawienie koncertów Lady Pank z lat osiemdziesiątych z tymi, które gracie obecnie? Dziś ludzie idą na koncert trochę jak do kina, dostają swój spektakl, a potem wracają do domu. W tamtych czasach koncerty miały chyba większą wagę, to było zupełnie inne wydarzenie, namiastka wolności.**

Tak, ale to była również totalna ucieczka. Wzięcie gitary do ręki, stworzenie tego zespołu, to od samego początku była też moja ucieczka w coś lepszego niż zastana rzeczywistość. Powiem ci szczerze, że ja bez muzyki... nie wiem, jak bym sobie poradził na świecie. Daję ci słowo honoru, nie wiem, jak bym sobie poradził. Wiem, że to jest dla mnie stworzone. Wydaje mi się, że dlatego ludzie wtedy przychodzili na koncerty, bo były ich azylem. Nawet te listy, o których ci mówiłem, te tysiące listów miesięcznie, które dostawałem, pokazywały, jak wszystkim jest źle. A my przez półtorej czy dwie godziny na koncercie razem z publicznością wprowadzaliśmy się w trans, w stan szczęścia,

lewitowaliśmy w kolorowej bańce, unoszącej się nad głównym codzienności. A potem każdy z nas wracał do szarej rzeczywistości... Oczywiście bardzo dużo się od tamtego czasu zmieniło, Polska jest teraz innym krajem. Ale jedna rzecz mnie bardzo niepokoi: wtedy byliśmy jednością. Mimo że była komuna i syf, potrafiliśmy się jeden do drugiego uśmiechać, pomagać sobie, ten temu świnę ze wsi przywiózł, ten poczęstował papierosem, tamten zaprosił na telewizję. A teraz rządząca partia skłóciła nas, kurwa, na maksa. To jest przerażające i bardzo niebezpieczne.

**Podzielonym narodem łatwiej rządzić – wiedzieli to już starożytni władcy.**

Jasne, nie jestem naiwny, ale nie mogę nam wybaczyć, że tak dalece daliśmy się poróżnić, w dodatku małym ludziom, którym na niczym innym nie zależy, tylko żeby wszystko rozpierdolić, żeby utrzymać władzę. A jak to śpiewamy w piosence *Władza*: „Każda władza nam przeszkadza”. Pytałeś mnie, jak porównuję tamte czasy do obecnych. Mogę ci powiedzieć, że komuna była chujowa, ale wiadomo było, że wygramy. A dzisiaj nie mam takiej pewności. Wtedy my, będąc jedną siłą, mogliśmy rozwalić system. A teraz wygląda na to, że się sami porozwalamy.

**Wtedy był wspólny, jasno określony, zewnętrzny wróg. Łatwiej było się zjednoczyć, bo przynajmniej było wiadomo, kogo atakować. Teraz to my jesteśmy dla siebie nawzajem wrogami.**

Dlatego jeśli nic się nie zmieni, to prędzej czy później na ulicach poleje się krew. Bardzo bym tego nie chciał, ale trudno mi jest być dzisiaj optymistą.



Złota płyta za album *Miłość i władza*.



Myślisz może, że więcej coś znaczysz  
Bo masz rozum, dwie ręce i chęć  
Twoje miejsce na Ziemi tłumaczy  
Zaliczona matura na pięć  
Są tacy – to nie żart  
Dla których jesteś wart  
Mniej niż zero

*Mniej niż zero*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 8



*W którym spróbujemy uchwycić subtelny różnicę pomiędzy liderem i dyktatorem, a także postaramy się zgłębić dylemat, czy lepiej być zapamiętanym jako świetny artysta, czy jednak jako słaby polityk? Cofniemy się na chwilę do słusznie minionych czasów, kiedy peerelowska władza próbowała tępić rock'n'rollową rewolucję, odbierając artystom paszporty i zabraniając im picia szampana. Dowiemy się, dlaczego Jan Borysewicz nie założył tria z Markiem Surzynom i z Krzyśkiem Ścierańskim oraz jak doszło do tego, że nagrał płytę z Pawłem Kukizem, dlaczego Kukiz nie przyjechał na koncert do rodzinnego miasta Janusza Panasewicza i co sprawiło, że Borysewicz demonstracyjnie wymazał nazwisko Kukiza z okładki ich wspólnej płyty. Ruszymy też za ocean, żeby w kowbojskich butach i kapeluszach rozpytać, czy Jon Bon Jovi nie potrzebuje do zespołu kilku fajnych gości, i sprawdzimy, do czego prowadzą kłótnie o pieniądze. Napięcie będzie rosło do samego końca, kiedy to nasz bohater upada i już się nie podnosi.*

**Kiedy władza zorientowała się, jaką siłą jest Lady Pank, musiała się wam uważnie przyglądać. Czułeś, że jesteś inwigilowany?**

We Wrocławiu musiałem uciekać i chować się u znajomych, bo dostałem cynk, że dwóch czy trzech koleś po cywilnemu kręci się pod blokiem. Czasami byliśmy wzywani na milicję, ale to nie milicjanci z nami rozmawiali, tylko tajniacy ze służb, na zasadzie: „Nie dostaniecie paszportów, nigdy nigdzie nie wyjedziecie. Wasze granie się skończy. Pogracie jeszcze dwa, trzy miesiące, a potem was nie będzie”. A kiedyś od jakiegoś małolata usłyszałem na komendzie, że: „Kora nie będzie sobie szampana lała na scenie. Nie będzie piła i rozlewała fanom”. To ja go pytam: „Ile ty masz, człowieku, lat?” On mówi: „Trzydzieści”. Ja na to: „I ty się tak zachowujesz? Jesteś młody, powinienes wziąć szablę w dłoń i walczyć z tymi durniami, a co ty wyrabiasz?”

**I co ci odpowiedział?**

Cały czas stanowczo powtarzał, że: „Niedługo was nie będzie, tych wszystkich zespołów rockowych”. To nie byli ludzie, którzy potrafili myśleć za siebie, tylko automaty wyszczekujące instrukcje z góry. Dzisiaj jest tak samo.



Na okładce tygodnika „Razem”, 1985 r.

**Dostałeś kiedykolwiek propozycję, żeby się z władzą zblatować, podpisać papier, donosić na kolegów?**

Nie, nigdy nie było czegoś takiego. Ale kiedyś wezwali nas do Komitetu Centralnego partii. To był chyba 1985 rok. Byliśmy w Stanach, promowaliśmy naszą amerykańską płytę. Dawaliśmy tam dużo wywiadów, głównie dla amerykańskich stacji, ale też dla Wolnej Europy<sup>[34]</sup>. Miesiąc później miał się odbyć Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Moskwie i amerykańscy menedżerowie bardzo chcieli, żebyśmy tam polecieeli, bo to by była znakomita promocja. Gdy wróciliśmy do Polski, wezwali nas do KC – cały zespół, łącznie z Mogielnickim i menedżerem. Człowiek, który z nami rozmawiał, otworzył szafę i pokazał nam teczkę z dokumentami. To były te nasze wywiady, których udzielaliśmy w Stanach, wszystko, co tam mówiliśmy. Pytał, co zamierzamy robić w Moskwie i tak dalej. Więc mu powiedzieliśmy, że nic, po prostu grać. Ten człowiek nie był nachalny, ani nam nie groził, były ciasteczka, woda, niby sympatycznie. Chodziło o to, żeby nam pokazać: „Mamy was na oku, wiemy, co mówicie. Skoro chcecie jechać do tej Moskwy, to pamiętajcie, że nasze oko też tam sięga”. Nigdy nie miałem takiej sytuacji, żeby mi dawali jakiś gład do podpisania. Nie wiem, jak inni, ale nie podejrzewam, żeby któryś z chłopaków dostał. Mało tego, ja się nawet z jednym z tych ludzi z KC zakumplowałem. Czasami spotykałem się z nim na wódeczkę. Najczęściej widywaliśmy się w Wilanowie po dwudziestej drugiej, jak już nikogo nie było i knajpa się zamknęła. Ale tak towarzysko. Bo ja absolutnie nie pozwalałem na rozmowy o polityce. To był miły facet, który znał się na muzyce, fajnie się z nim o tym rozmawiało. Z jego ust nigdy nie padła propozycja, żeby donosić albo żeby coś podpisać.

**Jak w tamtym czasie traktowało cię środowisko? Lady Pank było dla wielu solą w oku, zazdrościli wam. Wcześniej zrekrutowałeś muzyków z Oddziału Zamkniętego, „ukradłeś” Mogielnickiego z Budki Suflera.**

Nigdy nie chciałem iść do celu po trupach. Złożyłem chłopakom z Oddziału propozycję, ale decyzja należała do nich. Mogli powiedzieć jak Kapiszon na początku, że nie chcą ze mną grać. Pewnie gdyby wiedzieli, co ich za chwilę czeka, toby się dłużej zastanawiali. Bo ja od razu narzuciłem pewne zasady. Panowie, teraz sesja zdjęciowa,

za chwilę zasuujemy na próbę, potem zapierdalamy w studio, żeby zrobić pierwszą płytę. Bardzo dużo od nich wymagałem. Tak ich katowałem, żeby obudzeni w środku w nocy wiedzieli, jak mają zagrać dany utwór.

### **To był moment, w którym zacząłeś stawać się dyktatorem?**

Ja bym siebie tak nie nazwał. Stawałem się liderem, który dokładnie wie: czego chce, co ma zrobić i jak tego dokonać. Tak samo prowadziłem ten zespół wtedy, jak prowadzę go dzisiaj. Bywam ciężki dla swoich muzyków, na pewno jestem bardzo wymagającym facetem i czasami z trudem znoszą moją krytykę. Bo bywam momentami wręcz agresywny. Nie mówię o rękoczynach, ale potrafię się wydrzeć. Gdy powiem coś komuś raz, to OK, powiem spokojnie. Drugi raz też powiem spokojnie. Ale jak mam to powiedzieć po raz trzeci, to już, kurwa, dostaję szału.

### **Co cię najbardziej irytuje u współpracowników?**

Że nie idą do przodu, nie ćwiczą tyle, ile powinni. Nie grają tak, jak powinno być, tylko trochę inaczej. A to już zupełnie rozwała system, który precyzyjnie buduję. Nie wiem dlaczego. Może im się nie chce? Jakieś powody pewnie mają, ale dla mnie nie ma rzeczy nie do zrobienia. Będę siedział tak długo, aż dopnę swego. I tego samego wymagam od ludzi, bo to jest tylko ich wola, żeby się przemogli, pokonali własne ograniczenia.

### **Nie lubisz słowa „dyktator”, chociaż właśnie podałeś jego książkową definicję: „ma być tak, jak ja chcę, i koniec”. To może słowo „perfekcjonista” będzie ci bardziej na rękę?**

Mnie nie chodzi o perfekcję, tylko o to, żeby ludzie przy mnie się cały czas rozwijali. Między zespołem, który grał w latach osiemdziesiątych, a zespołem, który gra w roku 2022, jest po prostu przepaść. Gdybym nie był wymagający, nie poszlibyśmy do przodu, a to by znaczyło, że nie przetrwamy nawet kilku lat.

### **A nie kręciło cię nigdy bycie w zespole bardziej demokratycznym, gdzie czerpiesz też z innych?**

Kiedyś próbowałem z Markiem Surzynem i z Krzyszkiem Ścierańskim zrobić trio i gdy zaczęliśmy grać, to się okazało, że każdy z nas ma swoje pomysły i wszystkie są fajne, ale jak zaczynamy je składać do kupy, to nic z tego nie wychodzi. Dyktator to jest taki ktoś, kto nic nie umie i chce, żeby inni robili za niego, kiedy on będzie tylko dyrygował. A ja potrafię wszystko zrobić sam i udowodniłem to wiele razy. Skoro mam taki talent, to dlaczego mam z niego nie korzystać? Nawet dzisiaj, przy ostatniej płycie, nagrywam na nowo z Ewą Bem utwór *Zawsze tam gdzie ty*, a na jego końcu sam gram na wszystkich instrumentach.

### **Czego konkretnie oczekujesz od swoich muzyków, jakie im stawiasz wymagania?**

Zawsze mówiłem, że moi muzycy mają fajnie wyglądać i trochę grać, a ja resztą się zajmę. Trochę oczywiście żartuję, ale zasadniczo najbardziej oczekuję od swoich ludzi tego, żeby nie stali w miejscu. Kuba Jabłoński <sup>[35]</sup> i Krzysiek Kieliszkiwicz <sup>[36]</sup> grają z roku na rok coraz lepiej. Ja coraz więcej od nich wymagam, ale oni wiedzą dokładnie, że ja to robię po to, żeby było lepiej. Czasami mówię wprost: „Nie wkurzajcie się na mnie, nie obrażajcie, albo nie gadajcie za plecami, bo to nic nie da, ja to robię po to, żebyście byli lepsi, żebyście mogli jeszcze lepsze numery zagrać, takie, które skomponuję w przyszłości”? I bardzo ich stymuluję do pracy, do grania. Wiesz, to jest całe moje życie. Lady Pank to nie jest jakiś wyglup, to jest poważny, profesjonalny zespół muzyczny, który ma za zadanie grać naprawdę fajną muzykę. I to robimy od wielu lat. Komponuję w taki sposób, że przynoszę zespołowi gotowca, czyli gotową linię gitary i basu, pokazuję, jak mają być zagrane bębny...

### **Jak to robisz? Bierzesz pałeczki do ręki?**

Pamiętaj, że mój pierwszy instrument to była perkusja. To mi bardzo pomogło w dobrym opanowaniu poczucia rytmu, co jest też bardzo istotne w grze na gitarze. Płytę *O dwóch takich, co ukradli księżyc* nagrałem sam: na perkusji, na basach, na gitarach, na klawiszach, na wszystkim.





Zawsze w dobrą stronę.

**Spróbuję to sobie wyobrazić. Przychodzisz na próbę, naciskasz play na magnetofonie i mówisz: „To jest skończony numer, uczymy się go”?**

Ponieważ kiedyś nie było takich wielośladow jak teraz, kiedy możesz przynieść na próbę już zmiksowany utwór, to miałem wszystkie partie instrumentalne nagrane po kolei, na magnetofonie. Siadałem za bębny i mówiłem: „Ty zagraj tak, ty na basie zagraj taką linię”. Wszystko zawsze było gotowe. Od muzyków wymagam tylko, żeby nam się to wszystko kleiło. Bo to jest najważniejsze – jak się te klocki nie skleją, jest rozpierducha. Jeden na przykład zagra źle na basie albo perkusista wykona uderzenie nie w tym miejscu i cały projekt się sypie. Na przykład z Kubą Jabłońskim miałem taką sytuację. Mówię do niego: „Kuba, jeszcze raz mi zagrasz przebitkę w solówce w *Titanicu*, to wejść na scenę i ci rozpierdolę te bębny”. I zagrał mi tę przebitkę. Wpadłem i rozwaliłem mu bębny na scenie. Nie całe, tylko przesunąłem werbel tak, że musiał wszystko od nowa poskładać. No nie można zagrać przebitki na perkusji w momencie, w którym ja gram solówkę na gitarze, bo robi się z tego bełkot. Rozumiesz? I też go prosiłem z piętnaście razy, żeby tego nie robił. A on dalej swoje. No to się doigrał. Mieliśmy takie spięcia, natomiast to już jest przeszłość, bo oni dokładnie wiedzą, o co mi chodzi. Z „Kielichem”, basistą, miałem bardzo poważną rozmowę. Był taki moment, że naprawdę chciałem zmienić basistę. Ale bardzo Kielicha lubię, więc dałem mu szansę i powiedziałem: „Kielich, masz brać gitarę do domu i na niej ćwiczyć. Ja chcę widzieć efekty”. Pokazałem mu parę konkretnych trików, jak powinien ćwiczyć na basie, i chłopak wziął to sobie do serca. Ale to zajęło parę lat. Nie da się tego zrobić w ciągu dwóch, trzech miesięcy. Ja nie tylko od nich wymagam, mam też cierpliwość, daję im czas. Kuba jest znakomitym perkusistą, a Kielich się bardzo wyrobił i teraz mam do niego pełne zaufanie. Od pewnego czasu mamy też dodatkowego gitarzystę – to taki nasz przyjaciel, Michał Sitarski. Gra z nami, ale nie jest członkiem zespołu. Ustaliłem, że twardy skład Lady Pank to: Janusz Panasewicz, Jan Borysewicz, Kuba Jabłoński i Krzysztof Kieliszkiwicz, czterech muzyków. Michał jako gitarzysta dobarwia pewne fragmenty, których ja nie jestem w stanie zagrać na koncercie na jednym instrumencie.

**Jak Edmund Stasiak na początku.**

Tak. Wziąłem go do Lady Pank, ale potem, po kilku jego zachowaniach, doszedłem do wniosku, że jednak tego nie chcę. Ile on ode mnie dostał: uczyłem go grać na gitarze, dałem mu swój instrument, a on zachował się wobec mnie bardzo nie w porządku. Na początku była miłość, a potem się okazało, że zaczął spiskować przeciwko mnie, chciał rozwalić zespół od środka. To było straszne. Szkoda gadać.

**W przyszłości kolejną osobą bliską ci muzycznie, która okaże się dużym rozczarowaniem, będzie Paweł Kukiz. Nagraliście razem dwie hitowe płyty, ale kiedy zagłosował w Sejmie za odebraniem koncesji stacji TVN24, co wielu odebrało jako zamach na wolne media, zareagowałeś bardzo gwałtownie.**

Zrobiłem rzecz, którą uważałem za słuszną. To, co Paweł zrobił w Sejmie, było poniżej pasa. Dlatego wykreśliłem go symbolicznie z naszej płyty *Borysewicz – Kukiz*. Teraz to jest moja płyta. Są na niej utwory, które nagraliśmy razem, więc siebie nie mogę z niej wykreślić. Ale chciałem w ten sposób pokazać niezgodę na to, co on zrobił.

**Pracowałeś z nim przez długi czas, znasz go dobrze, spodziewałeś się, że pójdzie w tę stronę?**

Wielokrotnie pokazywał mi, że nie można na niego liczyć. Na przykład gdy nagraliśmy tę płytę, która się bardzo dobrze sprzedawała, mieliśmy zakontraktowanych mnóstwo koncertów, a zagraliśmy może ze cztery, bo Paweł cały czas był w niemocy. Bardzo ważny koncert był w Olecku, w mieście Janusza Panasewicza. Prosiłem, żeby się zjawił, też nie dojechał. Było mi przykro i wstyd, że tak olał nas i publiczność. Akurat był z nami wtedy wokalista z Wrocławia, Mariusz „Georgia” Pieczara, który śpiewał chórki na tej naszej płycie, więc mówię: „Dawaj szybko, drukuj teksty, ucz się”. I nauczył się tekstów, przeprosiłem publiczność i zagraliśmy bez Pawła. I powiem ci, że bardzo dobrze to zostało przyjęte. Nie umiałbym tak zlekceważyć ludzi. Paweł zawsze był trochę nieobliczalny, ale nie przypuszczałem, że posunie się do czegoś takiego, jak to, co zrobił w Sejmie. To sprawiło, że dla mnie już nie istnieje.

**Jak doszło do tego, że zaczęliście razem nagrywać?**

Spotykaliśmy się gdzieś na trasach, był parę razy u mnie w domu towarzysko. W zasadzie to ja mu zaproponowałem współpracę, bo bardzo mi się podobają i jego wokale, i teksty, które pisze. Pomyślałem, że taka kombinacja Borysewicz – Kukiz będzie czymś fajnym. I wtedy była, bo ta płyta świetnie wyszła. To był wówczas naprawdę dobry muzyk. Ja się nie wtrącam w politykę, nie chcę, bo jakie rzeczy trzeba przez nią robić, to sam widzisz. Jednak można się wypowiadać inaczej. Po co mam mówić wprost o polityce, skoro Mogielnicki napisał takie utwory jak *Fabryka mała*, *Mniej niż zero* czy *Zamki na piasku*. Szkoda mi Pawła bardzo. On może mówić, co chce, ja nie przyjmuję od niego żadnych złych emocji, ale szkoda mi go, bo naprawdę mógł w muzyce jeszcze wiele fajnych rzeczy zrobić. Ale zostanie zapamiętany nie jako świetny muzyk, tylko jako słaby polityk, który w dodatku zdradził swoje ideały, bo śpiewał kiedyś przecież i o ZChN-ie, który się zbliża, i o wszystkim tym, za czym dzisiaj staje i za co ręczy, więc to jest wolta dla jego biografii fatalna. Nikt nie będzie wspominał jego numerów z Aya RL, z Emigrantami, z Piersiami czy ze mną. A to był przecież kawał zajebistej muzyki i żał mi, że to wszystko przekreślił.

**Wróćmy do Lady Pank. Zawsze sobie wyobrażałem, że najfajniejsze w zespole jest wspólne tworzenie, komponowanie, inspirowanie się nawzajem, artystyczne spory. Tymczasem ty, de facto, sprowadziłeś swoich kolegów do roli muzyków sesyjnych, którzy mają zagrać dokładnie te nuty, które skomponowałeś. Do czego w takim razie był ci potrzebny zespół, skoro mogłeś występować jako Jan Borysewicz z towarzyszeniem anonimowych sidemanów?**

Chłopcy dawali z siebie bardzo dużo, bo na przykład Szłaga miał charyzmę, Kapiszon tak samo. Wprowadzali fajny klimat do zespołu. Dawali swoją gigantyczną energię i to mi wystarczało. Muzycznie jednak... Gdybym miał być szczerzy... Gdybym teraz miał zakładać zespół, nie zatrudniłbym ani Szlagowskiego, ani Kapiszona. Mieli w sobie to coś, co mnie na początku urzekło i chciałem ich obecności w Lady Pank. Ale to nie byli muzycy, z którymi mógłbym się rozwijać. Ja bym już więcej z nich nie wycisnął.

**Jak twoja pozycja dykta... przepraszam, lidera w zespole, przekłada się teraz na finanse? Nie jest tajemnicą, że w Lady Pank nie dzielicie się kasą po równo.**

A niby dlaczego mielibyśmy się dzielić po równo? Czasy się zmieniły. Zespół istnieje wciąż głównie dzięki mojej pracy i determinacji i to ja jestem kompozytorem wszystkich utworów. Pokaż mi firmę, w której szef zarabia tyle samo, co pracownicy. Przystałem mieć w tej kwestii jakiegokolwiek skrupuły dość wcześnie. Pamiętam, jak w 1986 roku poleciliśmy do Stanów. Dostaliśmy tam diety. Ja tych pieniędzy dostałem trochę więcej. Chłopcy z zespołu przyszli do mnie z pytaniem, że skoro zgarnąłem więcej niż oni, to czy nie mógłbym im oddać części swojej puli. Powiedziałem: „To są pieniądze, które mi się należą i nie chcę z wami rozmawiać”. I poszedłem sobie. Oznajmiłem, że się zawijam i pojechałem do Nowego Jorku. To był pierwszy duży kryzys w Lady Pank. W Nowym Jorku miałem takiego przyjaciela jeszcze z Wrocławia, który chodził tam do szkoły muzycznej Berklee<sup>[37]</sup>, ale wtedy był akurat taksówkarzem. Razem bujaliśmy się po mieście, spędzaliśmy miło czas. Spotkałem bardzo fajnych ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłem i przyjaźnię się do dzisiaj. Miałem zamiar zostać i stworzyć coś poza Lady Pank. Jednak po tygodniu zadzwonił Janusz Panasewicz i powiedział, że on jednak chce być ze mną. Wtedy zaczął się prawdziwy cyrk, ponieważ my dwaj graliśmy z amerykańskimi muzykami jako Lady Pank w Cricket Club<sup>[38]</sup> u Leszka Świerszcza, a „buntownicy” też przyjechali do Nowego Jorku i grali z jakimś wokalistą amerykańskim.

### **Też jako Lady Pank?**

Jako LP-coś tam, to była komedia. Ale to nie miało racji bytu i szybko się rozsypało. W tamtym okresie w Stanach było zresztą więcej zabawnych sytuacji. Kiedy naszym perkusistą był już Jacek Gola<sup>[39]</sup>, on i Kapiszon za zarobione dewizy kupili sobie: buty kowbojskie, džinsy, skórzane płaszcze i postanowili zatrudnić się jako sekcja rytmiczna w Bon Jovi. Szukali domu Jona, żeby mu powiedzieć, że oni są lepsi. To mi się strasznie podobało, bo to był prawdziwy rock’n’roll.

**Zarówno Gola, jak i Kapiszon zostali na stałe w Stanach. Widywałeś się z nimi później, kiedy odwiedzałeś Amerykę?**

Z Jackiem, świętej pamięci, super mi się pracowało. Bardzo się lubiliśmy i traktowałem go naprawdę poważnie, bo to był świetny perkusista. Gdy przyjeżdżałem do Stanów, już z innym składem, zawsze było miło, wpadał na nasze koncerty. Spotykałem się z nim do końca, nawet wtedy, gdy już poważnie chorował i miał świadomość, że niedługo będzie się musiał żegnać z tym światem. Mimo to był bardzo pogodny. Z kolei Kapiszon został kierowcą ciężarówki, ale woził ze sobą gitarę basową, na wszelki wypadek. Kiedyś przyjechał na nasz koncert, więc zaprosiliśmy go na scenę, żeby gościnnie zagrał. Niestety był trochę podcięty, więc nie najlepiej to wyszło. Potem nasz kontakt się rozluźnił. Na każdy nasz koncert, gdy przyjeżdżaliśmy do Stanów, przychodził totalnie pijany i nie było z nim nawet o czym rozmawiać. On bardzo często, gdy wypije trochę alkoholu, jedzie jakimś jadem, wyzywa wszystkich, obraża na Facebooku. Przykre to bardzo.

**W materiałach archiwalnych i wywiadach, które czytałem, pobrzmiewa pretensja, że w waszym konflikcie nie chodziło tylko o kasę. Mściślawski i Szlagowski czuli się przez ciebie niewystarczająco docenieni. Padają sugestie, że oni bardzo dużo wnosili muzycznie i gdyby nie ich pomysły, to piosenki Lady Pank nie brzmiałyby tak dobrze.**

Nie zgadzam się z tym absolutnie. Wierz mi, że te wszystkie rzeczy, które ja układam, zawsze robię po swojemu, od A do Z. Niedawno nagrywałem dżingiel dla jakiejś firmy i w całości stworzyłem go sam – na perkusji, na basie, na gitarach. Firma go wypuściła i wszyscy fani piszą: „Jezus Maria, to jest prawdziwe Lady Pank. Niech Mogielnicki dopisze tekst, zróbcie z tego jakiś zajebisty kawałek”. To moja odpowiedź na twoje pytanie. Kapiszon i Szlaga wnosili do grania w zespole swoją fajną energię. Ale nie zgadzam się z tym, że muzycznie mieli jakiś wpływ na moje utwory.

**Co pozwoliło wam w tamtym czasie utrzymać kontakt z rzeczywistością? Przez cały czas byliście na haju koncertowym**

**i nieustającej bani alkoholowej, w jakimś swoim własnym, osobnym świecie.**

Od zawsze uwielbiam rock'n'roll, czyli to zabawowe życie, które dzieje się poza sceną. Natomiast wyraźnie rozgraniczałem balangi od muzyki. Dlatego znajdowałem czas na to, żeby się schować. Najczęściej wsiedałem w samochód i jechałem na dwa tygodnie na Mazury. Poznałem tam takiego człowieka, który miał dwa domki, jeden z nich wynajmowałem. Łowienie ryb, bez alkoholu, bez niczego i praca nad nowym materiałem. Mimo że my tyle balowaliśmy, ja równolegle, przez cały czas myślałem o tym, jak rozwijać zespół. Nie stanąłem w miejscu, gdy zrobiliśmy pierwszą płytę. Faktem jest, że w pewnym momencie było tego imprezowania za dużo i sam widziałem, że powinniśmy przyhamować. Zdarzały się takie sytuacje, że na przykład przyjeżdżaliśmy na koncert i nagle nam Kapiszon zniknął. Znajdowaliśmy go gdzieś na mieście, w jakimś barze, totalnie pijanego, więc nie tyle nawet trzeba go było przyprowadzić na scenę, co przynieść. Wtedy musiałem się zamieniać z Edmundem Stasiakiem – on grał na gitarze basowej, ja na prowadzącej, potem ja na basowej, a on na prowadzącej, i tak graliśmy koncert. Nie tylko Kapiszon wpadał w kłopoty. Szlaga też robił takie akcje, że w końcu karetka musiała przyjechać, bo już nie dawał rady z przemęczenia balangowaniem. Każdy miał swoje kiepskie dni. Ja uchodziłem za najtwardszego zawodnika, ale parę razy również padłem w boju na scenie. Kiedyś myślałem na przykład, że zrobię salto, ale już się nie podniosłem.

Zamienię każdy oddech w niespokojny wiatr  
By zabrał mnie z powrotem tam, gdzie masz swój świat  
Poskładałam wszystkie szeptki w jeden ciepły krzyk  
Żeby znalazł Cię aż tam, gdzie pochowałeś sny  
Już teraz wiem, że dni są tylko po to  
By do Ciebie wracać każdą nocą złotą  
Nie znam słów, co mają jakiś większy sens  
Jeśli tylko jedno, jedno tylko wiem  
Być tam, zawsze tam, gdzie Ty

*Zawsze tam – gdzie ty*  
(sł. J. Skubikowski)



# ROZDZIAŁ 9



*W którym najpierw zaświecimy w oczy czarnej panterze, potem zajrzemy do notesiku z adresami dziewczyn jeżdżących za zespołem, a następnie porozmawiamy o związkach. Tak, to skomplikowane, zwłaszcza kiedy jesteś facetem, który żyje dwa razy szybciej niż wszyscy. Co łączyło kobiety, z którymi wiązał się Jan Borysewicz? Co sprawiło, że to właśnie Małgosia okazała się tak wyjątkowa? Żeby nie zrobiło się zbyt słodko, będzie też o uszkodzonym ścięgnię dłoni, odmie płucnej, złamanym sercu i znakach wiszących człowiekowi przed oczami. Poznamy również największą wadę Jana Borysewicza i kilka jego głęboko skrywanych lęków, a wreszcie rozwikłamy pewną fenomenologiczną tajemnicę. Otóż z dźwiękami jest jak z kobietą – składa się je, dotyka, przytula, dba się o nie, a wtedy melodia jest taka, jak sama chce. I to jest bardzo podobne do miłości.*

**Wasze koncerty w latach osiemdziesiątych swoim rozmachem przyćmiły wszystko, co widziała dotąd polska publiczność. Na scenie pojawiła się nawet żywa pantera, a podczas wykonania *Fabryki małą* Panas huśtał się nad publicznością na linie.**

To było w Hali Gwardii, graliśmy po trzy koncerty dziennie, przez trzy kolejne dni, wyrabiając iście stachanowską normę. Z tyłu sceny, na podwyższeniu, stała duża klatka, a w niej siedziała pantera. W pewnym momencie reflektor miał być skierowany na nią i ona miała ryknąć „łauuu!”. Byłem przekonany, że gdy pantera nagle widzi światło, to tak właśnie reaguje, tymczasem później się okazało, że jej opiekun kłuł ją w tym celu szpikulcem w tyłek. Kiedy się o tym dowiedziałem, myślałem, że go stłukę. Zależało nam, żeby na naszych koncertach działy się różne niesamowite rzeczy, wyrrywające ludzi z peerelowskiej szarzyzny. Przy główkach od gitar mieliśmy, na przykład, takie metalowe zaczepy z zapalnikami. Podczas gry wystarczyło tylko docisnąć je kciukiem, żeby z instrumentu strzelały snopy iskier. Do dziś bardzo dbam o to, żeby występy Lady Pank były niezapomnianymi widowiskami, i ciągle chcę więcej. Nasz menedżer Maciej Durczak mówi: „Ja już nie wiem, jak ci dogodzić, bo co zrobię, to ty ciągle jesteś niezadowolony”. A ja tłumaczę: „Maciek, nie że niezadowolony, ale to już trochę ograliśmy, szukam czegoś nowego”. Zrobiliśmy więc dmuchane marchewki, które podczas numeru *Marchewkowe pole* wystrzeliwują do góry. A także wielkie balony, które rzuciliśmy do ludzi, żeby się nimi bawili. Niestety po chwili ich nie było, bo każdy wziął pod pachę jeden i zabrał do domu.

**A gdzie w tym wszystkim dziewczyny? Byliście pierwszym zespołem w Polsce, który miał własne groupies, a wasze sławetne imprezy rozlewały się po hotelowych pokojach, garderobach i autobusach.**

Nie, po autobusach właśnie nie. Nie miałem, jak gitarzysta Budki Suflera, notesu z imionami i kontaktami do konkretnych osób z całej Polski. Dla mnie to było dziwne, zbierać adresy dziewczyn i komuś je pokazywać. Nie pozwalałem, żeby obce dziewczyny jeździły z nami

w autokarze. Podróżowaliśmy „blaszakiem”, w którym poza zespołem, mogły być tylko bliskie osoby, na przykład dziewczyny muzyków. Kiedyś ktoś z ekipy technicznej przemycił dwie fanki tylnymi drzwiami. Kiedy się zorientowałem, kazałem je w połowie drogi wysadzić. Zostawiłem im pieniądze na taksówkę i pojechaliśmy. Zabieranie obcych dziewczyn było stanowczo zakazane, chociażby z tego względu, że nie chciałem, by to, co robimy w autokarze, wracając z koncertu, wychodziło na światło dzienne. Nie mogłem wiedzieć, czy któraś z nich nie okaże się dziennikarką albo prowokatorką podstawioną przez służby. Kiedyś sobie obiecałem, że nie będę nigdy ruszał fanek i trzymam się tego do dziś. Natomiast tych „innych” dziewczyn, o które pytałeś, było mnóstwo w każdym mieście.

### **W tamtym czasie byłeś singlem korzystającym do woli z tych uciech?**

Miałem wtedy stałą partnerkę, Honoratę. Ona miała córeczkę Patrycję, która jest ci może znana jako Pati Yang <sup>[40]</sup>. Do dzisiaj się z Pati bardzo kumpluję, jestem z nią w stałym kontakcie. Aktualnie mieszka w Stanach. Kiedy z nią gadam, bardzo miło wspomina dzieciństwo. Powiedziała, że zajęła się muzyką także dzięki mnie. Tak więc najczęściej na koncerty jeździłem z Honoratą. Dobrze się czułem, mając koło siebie bliską osobę. Żyliśmy jak normalna rodzina, prowadziliśmy dom. Dla niej jednak takie wspólne jeżdżenie w trasę wiązało się ze sporymi kosztami. Wokół Lady Pank kręciło się dużo fanek, które się we mnie kochały i były chorobliwie zazdrosne. Kiedyś na przykład zdarzyła się taka przykra sytuacja, że fanki rzuciły się na Honoratę i z zazdrości wyrwały jej garść włosów. Ona i jej mama regularnie dostawały listy oraz telefony z pogrózkami. Ja oczywiście uczuliłem naszych ochroniarzy, żeby jej dobrze pilnowali. Byłem z Honoratą przez pięć lat. Rozstaliśmy się pół roku po tej niesławnej sytuacji we Wrocławiu.

### **Jak ci się udawało łączyć ten rytm koncertów, wyjazdów, scenicznych szaleństw i używek z normalnym domem i rodziną?**

Miałem w życiu wiele partnerek i jedna wytrzymywała dłużej, inna krócej, bo ja naprawdę prowadziłem bardzo intensywny tryb życia. W zasadzie z każdą z kobiet, z którymi byłem, jeździłem na koncerty,

więc razem wracaliśmy do domu, rzadko się zdarzały jakieś ekscesy czy zdrady. Może dwa, trzy razy tak, ale ogólnie rzecz biorąc, starałem się być wierny. Miałem świadomość, że jestem trudnym partnerem, w każdym związku w pewnym momencie nadchodziło zmęczenie materiału. Moje relacje obiektywnie nie były długotrwałe – trzy czy cztery po pięć, sześć lat. I potem nagle coś się kończyło. Nie wiem, może to było spowodowane tym, że przy takim trybie życia, jaki prowadzę, wszystko za szybko się dzieje? Może u mnie rzeczywistość za oknem przelatuje dwa razy szybciej niż u innych, więc dla mnie sześć lat to było jak dla kogoś innego dwanaście? Nigdy nie ciągnąłem związków na siłę. Zawsze to ja byłem tym, który je kończył.

### **Czego poszukiwałeś? Domowego kokonu, do którego możesz wrócić i się zregenerować, czy ekscytacji, rock'n'rolla, towarzystwa do balang?**

Chciałem po prostu mieć przy sobie kogoś bliskiego, chyba to jest najważniejsze. Być z kimś, do kogo wracasz, z kim możesz porozmawiać, przytulić się, pokochać, ale też się pobawić. Najgorzej by było chyba w związku z osobą, która miałaby balować tak samo jak ja, to byłoby nie do zniesienia, bo nie miałbym żadnego wsparcia, jechałbym bez szansy na zatrzymanie się. Kobieta powinna umieć do mnie podejść i powiedzieć: „Janku, kochanie, może wystarczy, chodź, spędzimy sobie spokojnie czas”. Małgorzata jest pierwszą, która to zauważyła i o to zadbała. Ja od pięciu lat naprawdę prowadzę taki dobry, zdrowy tryb życia, z siłowniami, z rowerami i tak dalej. Dbam o kondycję. Robię to dla rodziny, dla córek. Robię to dla Małgosi, żeby mnie miała jak najdłużej, bo ta kobieta na to zasługuje, dała mi bardzo dużo miłości. Teraz na przykład graliśmy trzy koncerty i wracałem do niej z takim uczuciem, że gdy tylko przyjechałem w nocy, a ona już spała z dzieckiem w drugim pokoju, to po prostu ją ucałowałem w rękę i szedłem spać, żeby ich nie budzić. Właśnie po to są powroty. A są dużo przyjemniejsze niż kiedyś. Aczkolwiek gdyby w przeszłości z tamtymi kobietami nie było dobrze, tobym z nimi nie był, one wszystkie były ważne w moim życiu. To były bardzo różne osoby, ale jedno je łączyło – żadna nie potrafiła gotować. Żadna. Ale w związku z tym, że moja mama była

chora, to ja już jako dziecko się tego nauczyłem i potrafię zrobić w kuchni wszystko. Umieję przyrządzić bardzo dobre obiady: dzieciom gotowałem, dorosłym gotowałem, znajomym, jak były imprezy. Na święta robiłem uszka z grzybami, wszystko sam, ciasto, pierogi ruskie. Mógłbym zostać bardzo dobrym kucharzem, gdybym nie grał. A jeszcze jak się pichciło i wypięło przy tym pół szklaneczki whisky, to było szaleństwo – tu sałatka, tu jakieś różne cuda. Człowieku, ja robiłem bajkę z jedzenia!

### **Czyli jesteś po prostu urodzonym kompozytorem. Nieważne, czy tworzysz z dźwięków, czy z mięsa i warzyw.**

Naprawdę byłbym bardzo dobrym kucharzem. Musiałbym poświęcić na to czas, bo gotowanie to nie jest prosta rzecz, ale przychodzi mi to z wielką łatwością. Wczoraj na przykład miałem kilka wywiadów, pojechałem po tych wywiadach na bazar na Olkuską, kupiłem udka z kurczaka, ziemniaczki młode, marchewkę, koperek i ogórki na mizerię. Przyjechałem i pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, to umyłem ręce, wyjąłem rzeczy, które były potrzebne, włączyłem piekarnik, w międzyczasie położyłem kurczaczka na blat i za dziesięć minut już był w piekarniku. Potem obranie ziemniaków, pokrojenie, marcheweczka, kurczaczek przyprawiony, za pół godziny wrzuca się marchewkę, troszeczkę masełka się dodaje, potem ziemniaczki, w międzyczasie starta mizeria i za godzinę miałem cudowny obiad.

### **Masz jakąś swoją popisową potrawę?**

Kiedyś robiłem genialną kaczkę z jabłkami. Teraz mi się już nie chce. Ale pieczenie indyka z farszem, wątróbką, wiesz... Naprawdę potrafię takie rzeczy robić.



„Już jako dziecko nauczyłem się gotować i potrafię zrobić w kuchni wszystko. Na święta robiłem uszka z grzybami, wszystko sam, ciasto, pierogi ruskie?”

**Czy tę opiekuńczość wobec kobiet, której nauczyłeś się podczas zajmowania się mamą, przenosisz na swoje związki?**

Lubię mieć kogoś obok siebie, żeby o niego dbać. Zawsze to robiłem. Facetowi, z którym Honorata ma Pati, powiedziałem, żeby absolutnie nie płacił alimentów, że ja się wszystkim zajmę. Chciałem mieć bliską osobę, o którą mógłbym się starać, zapewniać jej szczęście. Bywam wręcz nadopiekuńczy i chciałbym dać jak najwięcej od siebie, czy czułości, czy poczucia bezpieczeństwa. Nie jestem egoistą. Rozpieszczam kobiety. Nie żałuję na nic, czegokolwiek by potrzebowały, nawet jak nie potrzebują, to im prostu to daję. Jedyne, czego mi zawsze brakowało i co nie zawsze potrafiłem dawać, to cierpliwość. Dużo rzeczy mnie drażniło i dalej drażni. Staram się, Marcin, naprawdę bardzo się staram, żeby być spokojnym człowiekiem, ale nie zawsze mi się to udaje. Jestem punktualny, nienawidzę się spóźniać, więc nie cierpię, jak ktoś inny to robi. Nawet te zwyczajowe piętnaście minut mnie drażni, ja przychodzę zawsze piętnaście minut przed czasem, żeby nie narazić człowieka na to, że będzie musiał na mnie czekać choćby minutę. Chciałbym mieć tę płynność w domu i w pracy i nie musieć się na nic denerwować. Gosia też ma bardzo silny charakter i czasami się przez to spinamy. Ale za każdym razem po pięciu, dziesięciu minutach, gdy nam przechodzi, mówię: „Gosia, to jest dobrze, tak ma być, my się siebie uczymy, następnym razem już takiego błędu nie popełnimy”. Człowiek się uczy przez całe życie, jak podchodzić do swojego partnera. Związek to dla mnie ciągle pisanie instrukcji obsługi do drugiego człowieka. Małgosia to osoba, co do której mam pewność, że chciałbym z nią być zawsze. Z poprzednimi kobietami może i tak było na początku, ale potem zaczynało mi czegoś brakować. A tutaj niczego takiego nie odczuwam. Jesteśmy razem piąty rok, spędzamy ze sobą każdy dzień i ja wciąż powtarzam, że jestem szczęściarzem, że taką osobę, po wszystkich swoich nieudanych doświadczeniach, w końcu znalazłem. To nie znaczy, że Małgosia jest chodzącym ideałem, bo nie da się znaleźć takiej kobiety, która by ci przypasowała w stu procentach. Zawsze trzeba w związku pójść na jakieś ustępstwa. Ale żeby była chęć na kompromisy, to najpierw gdzieś głęboko w tobie musi pojawić się pewność, że to jest ta właściwa osoba. Nie wiem, jak ci to lepiej wytłumaczyć. W moim związku jest teraz i miłość, i przyjaźń, i przede wszystkim zaufanie. To, na czym mi zawsze bardzo zależało – pewność, że jesteśmy razem. Pewnie każdy z nas tak ma, że jest z kimś i czasami się zastanawia:



„Kurde, ale czy ona na pewno mnie kocha? Czy ona na pewno będzie ze mną?”

**„A gdybym miał wypadek, czy ona przy mnie zostanie i będzie pchać mój wózek?”**

Tak, dokładnie, takie pytania sobie zadają. Czasami człowiek szuka takiego potwierdzenia, więc się rozmawia o tym z partnerką, dzieli się z nią swoją nieufnością, co de facto rujnuje związek, zamiast go wzmacniać. A z Małgosią mam pewność. Może chodzi o mądrość tej kobiety? Może o to, że ona jest tak mocno wykształcona, a ja nie? Że wie wiele rzeczy, których mogę się od niej nauczyć? Z drugiej strony ona też podziwiała to, co robię. Gdy ją poznałem, słuchała zupełnie innej muzyki niż moja. Była totalną fanką metalu. Kocha Metallicę. Jako dziecko uciekła z domu i pojechała stopem na ich koncert do Katowic. Teraz to się zmienia. Przy mnie zobaczyła, że muzyka nie ma granic. Że możesz słuchać klasyki i rapu, metalu i bluesa... Małgosia widzi, jak gram, jak pracuję, czasami wchodzi do mojego studia i mówi: „Jak ty to zrobiłeś?”. Albo słucha przez drzwi i gdy skończę, mówi: „Ale jak to jest możliwe, żeby tak pięknie zagrać?”. Ja jej tłumaczę, że z dźwiękami jest jak z kobietą – że je się układa, składa, przytula, dba się o te dźwięki. To jest bardzo podobne do miłości. Tylko że, widzisz, ja w muzyce idę cały czas do przodu, rozwijam się, chcę sprawić, żeby dźwięki były coraz fajniejsze, żeby coraz lepiej się kleiły, a z kobietami mi to nie wychodziło. Najczęściej to ja je zostawiałem i szedłem dalej. Myślałem, że może kolejny przystanek przyniesie coś ciekawszego. Po prostu seryjnie ćpałem te endorfiny, które wyzwalają się na początku każdego zakochania. Kiedy się kończyły, szedłem dalej, jak wampir szukający swojego eliksiru miłości. Ale zawsze starałem się być w tym uczciwy. Nie jestem takim człowiekiem, który bierze ślub, idzie do kościoła i mówi: „Będę z tobą po grób”, a potem zdradza. Mam mnóstwo przykładów na to, jak ludzie żyją ze sobą. Dziewczyna, która ma trzech, czterech kochanków i śmieje się, mówi, że dla niej to normalka. Kiedyś spotkałem kobietę, która mi zaproponowała seks. Mówię: „Przecież ty masz męża, przed chwilą z nim rozmawiałem”. A ona: „Co to ma za znaczenie? Ja go cały czas zdradzam”. Gdy słyszysz takie rzeczy... No, ja na pewno tego nigdy nie szukałem.

## **Czy twoje partnerki były zazdrosne o twoją sławę? O to, że non stop znajdowałaś się w centrum wydarzeń, a twoją pierwszą kochanką była muzyka?**

Nie, nigdy nie byłem w takim związku. Wręcz przeciwnie, moje partnerki zwykle trzymały się z boku, nie interesowały się tym, co się dzieje w mojej pracy. Żadna z kobiet, oprócz mojej Małgorzaty, nie interesowała się tym, jak gram na gitarze, nie prosiły, żebym pokazał, jak komponuję. Słuchały zupełnie innej muzyki. Natomiast Gosia mnie wypytuje o wszystko.

## **Typ naukowca, lubi mieć uporządkowaną wiedzę.**

Dokładnie. Jest świetnie wykształcona i ma wybitnie analityczny umysł, co czasami wychodzi w codziennym życiu. Bywa, że jej zwracam uwagę: „Czy mogłabyś to zrobić inaczej, na przykład tak?”, a ona mi odpowiada: „Czy ja ci mówię, jak się gra G-dur?”. Gdy chcę jej czasami coś podpowiedzieć, to okazuje się, że ona już to od dawna wie. Bycie z taką partnerką bywa wyzwaniem, ale ja zawsze chciałem mieć obok siebie osobę, która podąża przez życie w podobnym tempie, choć niekoniecznie tym samym torem. Gosia nie była moją fanką. Wprawdzie u niej w domu była muzyka, jej brat słuchał Lady Pank, jej koledzy i koleżanki byli fanami Lady Pank, ale ona sama nie. Mimo to dzisiaj potrafi mnie skrytykować i powiedzieć: „Ten numer mi się nie podoba”. Niekiedy, gdy coś skomponuję, przychodzi i mówi: „Ale to jest podobne do tego” i puszcza mi jakiś kawałek. Ja się wkurzam i odpowiadam: „Nie jest!”. A potem siadamy i dyskutujemy o muzyce. Uczę ją też, w jaki sposób można inaczej odbierać dźwięki. Większość ludzi słucha muzyki jako pewnej całości. A ja z każdego utworu potrafię wyseparować ścieżkę instrumentu. Słucham uderzeń perkusji, za chwilę wyrzucam perkusję, słucham, jak gra bas, za chwilę wyrzucam bas, słucham, jak gra klawisz i tak dalej. W naszym kraju jest taki problem, że ludzie są muzycznie niewydurowani. W szkołach muzycznych nie uczy się muzyki w odpowiedni sposób. Powinno się podawać muzykę różnorodną, nie tylko klasyczną. Jaki jest instrument narodowy w Polsce?

## **Pianino?**

A gdzie tam.

### **Skrzypce?**

Gęśle. Narodowym instrumentem kiedyś były gęśliki. A teraz nie ma instrumentu narodowego. W Stanach masz gitarę. Gitara jest w każdym domu. Jeśli chłopakowi wyjdzie gra na gitarze, to zakłada zespół i zarabia miliony. Nie wyjdzie – kończy szkołę, idzie na studia, zostaje lekarzem, a gdy zostanie lekarzem, to już ma pieniądze, wtedy zakłada sobie zespół, spotyka się z kolegami i gra dla przyjemności. Takiej tradycji u nas brakuje. Marzę o tym, żeby kiedyś to się zmieniło, i jeśli mogę tym, co robię, jakkolwiek przyłożyć do tego rękę, to jest dla mnie wystarczająca motywacja, żeby nigdy nie przestawać grać.

### **Dużo rozmawialiśmy o balangowym stylu życia, jaki prowadziłeś, a mało o kosztach, które się z tym wiążą. Kiedy poczułeś po raz pierwszy, że nie jesteś jednak nieśmiertelny?**

Dość późno. To był już 2006 rok – mieszkałem wtedy jakieś czterdzieści kilometrów pod Warszawą. Akurat był taki moment, że przez dwa tygodnie nie balangowaliśmy. Musiałem masę rzeczy pozafatwiać, uporządkować, więc wybraliśmy się ze znajomym do stolicy. Ja prowadziłem. Jeździłem wtedy lexusem LS400, nazywałem go „szumopon”, bo jedyny dźwięk, jaki było w nim słychać, to toczące się opony. Miałem wtedy ksywę „One Way”, bo zwykle prowadziłem auto na koncert w jedną stronę, a w drugą już kto inny, z wiadomych względów... W każdym razie podczas tej wyprawy do stolicy, gdzieś przy pomniku Lotnika, poczułem, jakby mi nagle odjęto lewą rękę, a na klatce piersiowej ktoś położył rozpalone żelazko. Powiedziałem do kolegi: „Marek, ty prowadź, coś się ze mną niedobrego dzieje, chyba mam zawał. Daleko jest do szpitala?”. „Parę ulic stąd jest szpital na Banacha”. „Jedź tam natychmiast!”. Wchodzę na izbę przyjęć, a tam dwie pielęgniarki się kłócą. A ja stoję, patrzę to na jedną, to na drugą i w końcu mówię: „Przepraszam, ale ja mam chyba zawał”. One po mojej twarzy zorientowały się, że nie jest dobrze. Natychmiast zrobiły mi EKG, pobrały krew. Gdy zobaczyły to EKG, to od razu morfina, na łóżko i do sali operacyjnej. Zrobiono mi koronarografię, nawet mam nagrany

z tego film. Dookoła były monitory, leżałem na łóżku, a lekarz przeciął mi skórę w pachwinie i przez to nacięcie wprowadził do tętnicy wziernik, który wygląda jak długopis. Przez niego z kolei włożył nitkę, która przekłuła zatkane miejsce. Widziałem to wszystko na monitorach, cały czas świadomy. Zamiast zemdleć ze strachu, ja zacząłem opowiadać kawały, a pierwszą rzeczą, o jaką zapytałem tego lekarza, było: „Przepraszam, ale czy ja jeszcze będę mógł pić?”. Czasami żartuję w takich ekstremalnych, bardzo złych sytuacjach, żeby nie wywoływać paniki u kogoś czy u samego siebie. Kiedy po tym zabiegu położyli mnie do łóżka, to leżałem na sali z facetem, który miał chyba wszystkie możliwe choroby. Codziennie przychodziła do niego rodzina z tortami i ciastkami, bo mieli piekarnię, a ja akurat nic nie mogłem jeść. Ale fajnie mi się z nim gadało. Natomiast to, co zobaczyłem, kiedy położyli mnie do łóżka, to krzyż wiszący na ścianie naprzeciwno.

### **Kolejny znak?**

Kiedy na niego spojrzałem, uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem na głos: „Dzięki!”. Miałem duże szczęście, bo gdybym pojechał do domu pod Warszawę zamiast do szpitala, który był obok, to różnie by mogło być. Zawsze, nawet jako dzieciak, miałem problem z lewą komorą serca, czasami robiono mi jakieś badania, mimo to biegałem sportowo, byłem w bardzo dobrej kondycji. Być może powodem tego zawału było to, że moja była żona zabrała wtedy naszą córkę Alicję i wyjechała z nią do Włoch. Bardzo to przeżywałem. Zrobiłem przerwę w balangowaniu, nawet papierosów nie paliłem. A natychmiast po zawale rzuciłem palenie całkowicie, z dnia na dzień. Lekarz mi powiedział, że ma takiego pacjenta, którego uprzedził, żeby nie palił papierosów, bo stenty lubią się zatykać. Ale ten człowiek nic sobie z tego nie robił i już jedenasty raz przyjeżdżał na kolejny zabieg. Powiedziałem więc, że nie będę tu jedenaście razy przyjeżdżał. Szkoda czasu.

### **Zacząłeś bardziej bać się o swoje życie po tej przygodzie?**

Raczej przekonałem się, że wcale nie jest tak łatwo umrzeć. Twoim największym wrogiem w ekstremalnych sytuacjach jest panika. Strasznie dużo ludzi umarło ze stresu. Mogli kogoś odratować, ale on się tak

zestresował, że po prostu nie dało rady, serce się zdusiło i koniec. Radzę wszystkim, żeby w momentach zagrożenia, bardziej siebie kontrolowali.



Rock'n'rollowy styl życia po 60.

**Przepraszam, ale chyba nie jesteś najlepszym przykładem samokontroli. Parę lat później, po zawale, miałeś na własne życzenie wypadek, który nieomal skończył się tragicznie.**

Gdzieś w jakimś brukowcu napisali, że dostałem nożem pod żebro za długi. Nie czytałem nigdy o sobie większej bzdury. Prawda była taka, że w pobliżu mojego domu pod Warszawą jechałem quadem i przy stu na godzinę, na skręcie w prawo, wywaliło mnie jak szmacianą lalkę. Poleciałem do rowu, a ten quad, ciężki grizzly 700, wpadł na mnie. Miałem rozerwaną wargę plus obustronną odmę płucną. Faktycznie, zrobiłem sobie krzywdę na własne życzenie, bo ścigałem się ze znajomym, który przede mną jechał samochodem, a że byliśmy wtedy po wspólnym grillu w lesie, to miałem też jakieś procenty we krwi. Nie ma co tutaj filozofować, zrobiłem straszną głupotę i zostałem za nią ukarany. Natomiast kiedy byłem w szpitalu, przyszedł jakiś dziennikarzyna i chciał mi zrobić zdjęcie, jak leżałem na łożku. Musiałem wstać, zamknąć drzwi i przytrzymać je, żeby nie włąził do środka. Wszystko to walcząc z potwornym bólem, kiedy każdy ruch wydawał się torturą. Ten człowiek widział, że jestem słaby i bezbronny, a mimo to próbował żerować na mojej krzywdzie. To jest przerażające skurwysyństwo. I potem poszła plotka, że dostałem nożem, bo on zobaczył tylko bliznę i wystającą z mojego boku rurę, którą odciągano płyn z płuc, więc resztę historii dorobił sobie sam.

**Do listy urazów, które cię spotkały, można też dopisać kontuzję ręki, przez którą prawie przestałeś grać na gitarze. Wtedy też pojawiły się plotki, że brałeś udział w jakiejś bójce i dostałeś nożem. Ostre narzędzia cię prześladują.**

Niestety, tutaj prawda też była trochę mniej spektakularna. We Wrocławiu w hotelu pokłóciłem się z Honoratą, z którą wtedy byłem. Trzymałem w ręku kieliszek wódki, który ścisnąłem w gniewie. Szkło pękło i przecięło mi ścięgno przy prawym kciuku. Myślałem, że to zwykłe skaleczenie, które szybko się zagoi. Na koncertach zawiązałem sobie ten kciuk bandanką, a że już wcześniej grałem samymi palcami, bez kostki, to nie było to dla mnie wielkim problemem. Ale po tygodniu pojechałem do lekarza, zrobili prześwietlenie i okazało się, że to ścięgno

mi „uciekło”? Żeby je odrestaurować, trzeba było z palca stopy wyciąć kawałek żyłki i uzupełnić w dłoni. Rokowania były takie, że po operacji i półrocznej rehabilitacji bez grania na gitarze odzyskam tylko trzydzieści procent sprawności. W dodatku to ściętno może ponownie „uciekać” i jeśli tak się stanie, to istnieje ryzyko, że dojdzie do zakrzepicy, a w efekcie do zawału. Zdecydowałem więc, że nie będę się ciął.

**Przypomina mi się Tony Iommi z Black Sabbath, który w wypadku stracił fragmenty dwóch palców, więc samodzielnie skonstruował protetyczne nakładki, w których musiał nauczyć się grać na nowo i przy okazji odnalazł swój charakterystyczny sound. U ciebie wypadek również spowodował zmianę brzmienia?**

Oczywiście, że tak. Zawsze chciałem na przykład grać takimi metalowymi nakładkami, które zakłada się na palce. Nawet już miałem przygotowany taki sprzęt i całkiem nieźle mi to wychodziło, ale po wypadku musiałem z tego zrezygnować. Rehabilitując się, wpadłem na taki pomysł: kładłem z tyłu prawą rękę, chowałem ją na przykład w spodnie, i grałem tylko lewą. To mi bardzo pomogło. Gitara musi być na wzmacniaczu, wtedy już samo pukanie dużo daje. Dużo ćwiczyłem właśnie samą lewą ręką i okazało się, że ona się tak wyrobiła, że gdy potem zacząłem używać obu, to grałem na przykład trzy dźwięki trzema palcami, a dziesięć dźwięków pukając po gryfie. Bardzo fajne rzeczy z tego wychodziły. Do dziś ten kciuk czasami mi dokucza, boli mnie przy zmianie pogody, drętwieje i wymaga specjalnego masażu. Takie memento czasów, które już dawno mam za sobą. Bo dziś, proszę pana, to ja raczej bardzo grzeczny jestem.

Ula models for top magazines  
See her smile in her pink limousine  
Queen of lipstick, shampoo and sun creams,  
She's the fun of every man's dreams  
She thinks she's ooh-la-la,  
But she's just la-de-da

*Minus Zero*

(sł. A. Mogielnicki, przeł. T. Wachtel)



# ROZDZIAŁ 10



*W którym wyczerpane koncertowym maratonem Lady Pank wraca do studia, żeby nagrać swój drugi album, i okazuje się, że inaczej niż na debiucie, nie każdy numer stanie się wielkim hitem. Tymczasem zespół rusza za ocean i naprawdę ma szansę, żeby podbić tamtejszy rynek. Wtedy pojawia się pewien językowy problem... Mogielnicki i Borysewicz zgadzają się, żeby ich najważniejsza pieśń, wielki rockowy hymn, protest song tamtego pokolenia, stał się opowieścią o przypadkowej dziewczynie, która podróżuje różową limuzyną. I rzeczywiście, kiedy lądują na nowojorskim JFK, czekają na nich limuzyny, a ludzie mówią im „chłopie, ty za chwilę staniesz się sławny”. Kolorów na ulicach jest więcej, niż kiedykolwiek byli sobie w stanie wyobrazić, a dodatkowo na Manhattan przyjeżdża różowy czołg. Po chwili na planie teledysku ustawia się kolejka ludzi poprzebieranych w polskie stroje. Jest wśród nich Małgorzata Potocka przebrana za Chinkę. I tak chłopaki z peerelowskiego blokowiska dają się omamić amerykańskim producentom, księgowym i piarowcom. Tam – w wolnej, zdawałoby się, Ameryce – odkrywają, co to naprawdę znaczy wolność. Wtedy przychodzi Madonna i proponuje Lady Pank wspólną trasę, a Janek jej na to: „Dziewczyno! Z czym do ludzi?”. Pakują się więc i jadą do Japonii, gdzie Borysewicz spotyka dwóch takich, co rozumieją złożoność zagrywki basu w Mniej niż zero bardziej niż ktokolwiek inny.*

**Po gigantycznym sukcesie pierwszej płyty i kilkunastu wyczerpujących miesiącach, spędzonych na koncertowaniu i balangowaniu weszliście do studia. Jak duża presja towarzyszyła powstawaniu drugiego albumu – *Ohydy*?**

Nie starałem się prześcignąć utworów z pierwszej płyty. Zależało mi na tym, żeby się rozwijać. Nie myślałem o oczekiwaniach publiczności, tylko o własnych wymaganiach wobec siebie. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że po intensywnych wydarzeniach związanych z debiutem nie czułem się trochę wypalony. Dziś wiem, że w tamtym czasie powinniśmy byli zrobić sobie przerwę, zamiast dosypywać węgla do i tak już bardzo rozpędzonego pociągu.

**Na *Ohydzie* odeszliście od brzmienia kojarzącego się z The Police. Porównania do zespołu Stinga zaczęły was męczyć?**

To wynikało z moich poszukiwań, cały czas w gitarze czegoś szukałem. Nie czystego brzmienia, tylko żeby była bardziej „płynąca”. W trakcie nagrywania debiutu tak się złożyło, że polubiłem zespół The Police i polubiłem też tę barwę, którą sobie znalazłem w gitarze, a którą wykorzystywał wtedy również Andy Summers<sup>[41]</sup>. Ale to nie miało nic wspólnego z naśladownictwem. Wiesz, w historii rock’n’rolla zagrano już chyba każdą możliwą kombinację akordów, więc na uparte go możesz próbować udowodnić, że wszystko jest podobne do czegoś, co już istniało. Ale moim celem było poszukiwanie własnego brzmienia i to się chyba udało. Gdy usłyszysz moją gitarę, to powiesz, że Janek Borysewicz gra, a nie, że The Police.



Okładka pierwszej płyty Lady Pank, od lewej: Edmund Stasiak, Paweł Mściński, Jan Borysewicz, Jarosław Szlagowski, Janusz Panasewicz.

**Druga płyta nie przyniosła tylu hitów, co debiut. Miałeś przez moment poczucie, że przeżywałeś twórczy kryzys?**

Owszem, pod względem liczby przebojów nie przebiliśmy pierwszej płyty. Miało na to wpływ wiele czynników. Po pierwsze, jak już powiedziałem, byliśmy wtedy mocno wyeksploatowani przez koncerty i przemęczeniu. Po drugie, numery na *Ohydzie* wcale nie są jakościowo gorsze od debiutu, ale pierwsza płyta pojawiła się na rynku w szczególnym momencie. Panowała wtedy muzyczna posucha, a ludzie byli bardzo wygłodniali, wypatrywali czegoś nowego, co w dodatku oderwie ich od codziennej, szarej beznadziei i doda odrobinę otuchy, chęci do życia. Wstrzeliliśmy się w to z naszą muzyką idealnie i sami byliśmy zaskoczeni

skąłą efektu, który wywołała. Nigdy później w historii Lady Pank nie spotkały się już w jednym miejscu te wszystkie wektory, które katapultowały nasz debiut na nieziemską orbitę. Poza tym ja myślę o naszym graniu w trochę szerszej perspektywie. Wydawanie płyt to jedno, ale prawdziwym żywiołem Lady Pank zawsze były koncerty i starałem się, żeby na każdym albumie znalazły się przynajmniej dwa, trzy numery, które mogłyby na stałe wejść do naszego koncertowego repertuaru. Pokaż mi dziś w Polsce drugi taki zespół, który nagrał ze czterdzieści płyt i potrafił z nich wykroić zajebisty materiał na trzy- czy nawet czterogodzinny koncert? Dzięki temu, że mamy tych piosenek tak dużo, możemy za każdym razem zmieniać listę kawałków, które zagramy, bawić się budowaniem dramaturgii w zależności od nastroju sali, tasować te numery jak talię kart. To jest dla mnie miara prawdziwego sukcesu Lady Pank, a nie to, czy kolejne płyty przebiły popularność debiutu, czy nie. Zwłaszcza że to jeszcze nie jest przecież koniec. Moja głowa przez cały czas pracuje. Bardzo w to wierzę, i mocno trzyma mnie to przy życiu, że jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa, że jeszcze coś się fajnego wydarzy w muzyce. Że coś wielkiego skomponuję.

**Od lat wielu polskich artystów – muzyków, aktorów i nie tylko – ma kompleks Ameryki, próbują podbijać tamtejszy rynek, z różnym skutkiem. Wystarczy epizod w zagranicznym filmie albo na zagranicznej płycie. Tymczasem Lady Pank już w 1985 roku, krótko po wydaniu *Ohydy*, naprawdę mogło mieć Amerykę u swoich stóp. Kto wpadł na pomysł eksportowania was za ocean?**

To był moment, kiedy zachodni świat za sprawą Solidarności, Lecha Wałęsy oraz Jana Pawła II zaczął przyglądać się Polsce. Można powiedzieć, że nasz kraj stał się na swój sposób modny. Szybko pojawili się więc ci, którzy chcieli tę koniunkturę wykorzystać i sprowadzić do Ameryki jakiś zespół zza żelaznej kurtyny. W związku z tym w Warszawie, za pośrednictwem Grześka Kuczyńskiego, menedżera zespołu Azyl P, pojawili się ludzie z Londynu, którzy działali na zlecenie amerykańskiej wytwórni MCA. Wzięli na celownik nas i Republikę, jeździli za nami na koncerty. Wtedy często graliśmy wspólnie. Po paru

tygodniach zdecydowali, że chcą nas, i zaczęły się rozmowy o nagraniu płyty anglojęzycznej.

### **I tu był kłopot, bo żaden z was nie mówił dobrze po angielsku.**

Myśmy nawet zaczęli robić sobie lekcje angielskiego, ale to wszystko było za mało. Przekonaliśmy się o tym, gdy dojechaliśmy na miejsce i trzeba było rozmawiać. Muzycznie zespół był bardzo dobrze przygotowany i uważam, że zrobilibyśmy tam karierę. Ale to był tylko jeden z problemów. Kolejnym był przekład tekstów Mogiela. Gdyby te piosenki zostały przetłumaczone tak, jak Jędrus je napisał na płytę, tobyśmy mieli Amerykę u stóp. Ale już podczas nagrywania albumu Amerykanie stwierdzili, że nikt nie zrozumie polskiego kontekstu. Był wtedy w Polsce taki człowiek, Tom Wachtel, który wspólnie z Andrzejem przygotował tłumaczenie tych tekstów. Trochę je pozmieniali; w niektórych sens został zachowany, ale na przykład *Mniej niż zero* całkowicie przeinaczyli. W pierwotnym zamyśle to nie miała być zwykła piosenka, tylko manifest, numer do wyżycia się dla autora, który ma coś do powiedzenia. A Andrzej akurat miał. I nagle ten tekst został zmieniony w piosenkę o jakiejś dziewczynie, która jedzie różową limuzyną. Tragedia. Dzisiaj, gdy patrzę na to z perspektywy, myślę, że nasza zgoda na to była chyba największym błędem.

### **Byliście w zespole jednogłośni co do tego, że chcecie próbować kariery w Ameryce, czy ktoś miał wątpliwości?**

Pamiętam, jak spotkaliśmy się z tymi londyńskimi pośrednikami w hotelu Forum w Warszawie. Gadamy, gadamy i w pewnym momencie zesliśmy z Andrzejem na dół, stanęliśmy na ulicy i zaczęliśmy się głośno zastanawiać – jechać czy nie jechać? I w końcu Mogiel mówi: „Słuchaj, całe życie marzyliśmy o tym, żeby pojechać do Ameryki, może nam się już nigdy nie uda. Wiesz, jak my żyjemy w tym kraju. Zróbmy to, kurwa”. I klamka zapadła.



Na scenie Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, od lewej: Paweł Mściński, Edmund Stasiak, Janusz Panasewicz, Jan Borysewicz, 1985 r.

**Jednym z pierwszych przejawów waszej aktywności za oceanem było nakręcenie teledysku do piosenki *Mniej niż zero* na ulicach Nowego Jorku. Utwór został przemianowany na *Minus Zero*, a klip zrealizował bardzo znany reżyser polskiego pochodzenia, zdobywca Oscara Zbigniew Rybczyński. Jak ci się podobała jego wizja waszej muzyki?**

To było kompletnie surrealistyczne. Zbyszek wymyślił sobie, że postawi różowy czołg na Manhattanie, obok stół, na nim kiełbasa i kolejka Polaków ubranych w te nasze „ludowe” stroje. Każdy podchodzi i węża tę kiełbasę, a potem czołg rozgania wszystkich. Dla mnie wszystkie aluzje w tym teledysku były czytelne, ale myślę, że dla przeciętnego Amerykanina całość kompletnie nie miała sensu. Kto z nich wiedział, że czołg jest aluzją do stanu wojennego, a w Polsce brakuje kiełbasy w sklepach? Miałem piękną rozmowę z Rybczyńskim. Opowiedział mi, że chciałby, żebym ja tę kiełbasę wziął do ręki, ugryzł kawałek i ona będzie mi wypadła z ust i potem z powrotem do nich wpadała. Powiedziałem, że czegoś takiego nie zrobię: „Wiesz co, ja się będę wstydził, że moja siostra to zobaczy. Weź kogoś innego, nie z zespołu. Nas lepiej w ogóle w takie rzeczy nie mieszaj, pokaż nas jako muzyków”

I wtedy się okazało, że Małgośka Potocka, partnerka Grzesia Ciechowskiego, była w Stanach. Ona w tym teledysku jest przebrana za taką jakby radziecką Azjatkę, ma na sobie różnorodne ubrania wojskowe z komunistycznych krajów. I to ona głównie je tę kiełbasę. A z czołgiem to była niesamowita historia. Wojsko nie chciało wypożyczyć sprzętu do teledysku i okazało się, że jest dwóch koleś, którzy mają w Stanach kolekcję prywatnych czołgów. W tamtych czasach była wojna w Afganistanie i jeden radziecki czołg sprowadzili sobie z tego Afganistanu w częściach.

### **Na potrzeby amerykańskiego rynku nagraliście pierwszą płytę z tekstami po angielsku. A czy muzycznie coś się na niej zmieniło?**

Po nagraniu płyta pojechała do masteringu do Anglii i tam została zupełnie inaczej zmiksowana. Nasz debiutancki album był lekki, rześki, było w tej muzyce dużo powietrza, a Anglicy dowalili ciężkim basem tak, że nie byłem w stanie rozpoznać w tym brzmienia Lady Pank. Kiedy pierwszy raz to usłyszałem, pomyślałem: „Kurwa, co to jest?”. Te podbite werble, stopy, basy, wszystko zostało spłaszczone i zmienione w złą stronę. Byłem zdruzgotany. Już wtedy wiedziałem, że popełniliśmy kolejny błąd i nic z tego na dłuższą metę nie będzie. No ale poleciliśmy do tych Stanów. Wylądowaliśmy na JFK, przeprowadzili nas bez kolejki, bo chyba wzięli nas za jakiś inny, znany zespół. Gdy przechodziliśmy koło wszystkich tych osób, które wysiadły z samolotu, zauważyłem, że co krok na ziemi leżało jakieś jedzenie. Ludzie je wyrzucali, ponieważ nie wolno było przewozić mięsa, a oni zabierali wiktuały z Polski dla swoich rodzin. W dobrej wierze to robili. Przychodził celnik i mówił: „Jeśli ktoś ma jedzenie, to wyrzucać”. Więc cały hol był w tych kiełbasach, parówkach i szynkach. Nas przeprowadzono bocznym wejściem, pamiętam dokładnie, że zobaczył nas taki młody chłopak ze służb porządkowych i poprosił, żebyśmy zrobili sobie z nim zdjęcie, ponieważ on uważa, że my będziemy za chwilę sławni. Podstawili nam dwie limuzyny, to było bardzo duże przeżycie dla zespołu. Część z nas siedziała w jednej limuzynie, część w drugiej. Gdy tylko wsiedliśmy do samochodów, każdy z nas dostał płytę analogową – tę naszą amerykańską – zapakowaną w folię, i kasetę, też w folii. To było



ogromne wzruszenie, wszyscy mieli łzy w oczach. Wyjechaliśmy z podziemnego parkingu z lotniska i jechaliśmy z Nowego Jorku do New Jersey, bo tam mieliśmy hotel. Byliśmy lekko zszokowani tym, co widzieliśmy po drodze.

### **Ameryka okazała się nie taka, jak ją sobie wyobrażałeś?**

Wręcz przeciwnie! Wydała mi się nawet lepsza niż ta, którą widziałem na filmach. Zachłusnąłem się nią. Przede wszystkim wszędzie widziałem kolor. A ja je uwielbiałem! Kiedy mocno pobalangowałem, zakładałem pstrokate rzeczy, jak papuga, i gdy w Polsce szedłem ulicą, to choć wszystko naokoło było szare i brudne, ja tego nie widziałem. Tworzyłem sobie swój własny kolorowy świat. Może to jest banalne, ale to mi poprawiało humor w tym kraju. Naprawdę tu było strasznie. Ale pamiętam z tamtych czasów, że Polacy się mocno ze sobą trzymali. Wszyscy byli dla siebie mili, a w stanie wojennym to już w ogóle, naprawdę można było liczyć na człowieka, na każdego, nawet na obcych. Ludzie byli dla siebie mili i wiadomo było, że za chwilę pierdolnie ta komuna, bo nikt nie wygra z takimi ludźmi. A teraz? Kolorów jest więcej, a ludzie się nienawidzą jak psy. Trochę w niewłaściwą stronę się to potoczyło. Strach cokolwiek powiedzieć. Tak więc moje pierwsze spotkanie z Ameryką było bardzo pozytywne, radosne. Dopiero później zacząłem na ten kraj inaczej patrzeć. Na przykład puste działki, których nikt jeszcze nie kupił i nikt nie dba o nie, więc wyglądają strasznie. Albo domy, które nie są domami, tylko jakimiś kartonowymi pudłami. Wszystko z wierzchu wygląda ładnie, ale gdy się rozpędzisz, to wylatujesz na zewnątrz z całą boczną ścianą. Jak dobrze policzyć, to z przerwami mieszkalem tam kilka lat, więc zdążyłem tę prawdziwą Amerykę trochę poznać. Zdałem sobie sprawę z tego, że tam wszystko jest na teraz. Ludzie kupują domy, mieszkają w jednej dzielnicy i nagle te piękne domy, piękne drogi niszczej, więc wszyscy przenoszą się do następnej dzielnicy, a do starej przychodzą najbiedniejsi mieszkańcy, którzy wszystko jeszcze bardziej rozpieprzają, bo nie stać ich na remonty. I tak się to kręci. Wszystko, co się tam dzieje, jest jakby sztuczne. Masz dom na chwilę, potem go zmieniasz, wyjeżdżasz w inne miejsce. Bardzo dużo ludzi mieszka w przyczepach. Spotkałem Polaków, którzy mieszkali

w samochodach. Mieli takie małe wany, w środku łóżko. Pracowali normalnie, jechali tym samochodem do pracy, a potem parkowali nim u znajomych pod domem albo pod knajpą i tam spali. Amerykański sen nie wszystkim się ziścił. Oczywiście poznałem też bogatych ludzi, którzy założyli firmy sprzątające domy, supermarkety. Zaprzyjaźniłem się z gościem, który nic nie robił, tylko jeździł i odbierał pieniądze. Po latach wypuściłem z nim płytę CD, jedną z pierwszych w Polsce, więc było to duże wydarzenie.

### **Tę z małpą na okładce?**

Dokładnie. Wynajęcie tego zwierzaka kosztowało czterysta dolarów, jednak gdy przyszło do robienia zdjęć, małpa nie chciała wziąć płyty do łap. Posmarowaliśmy więc tę płytę miodem dla zachęty i dopiero wtedy udało się ustrzelić fotkę, która trafiła na okładkę. *Fabryka małp*, po prostu. W pewnym sensie – symbol tamtego okresu Lady Pank, kiedy naprawdę potrafiliśmy i lubiliśmy ostro fikać. Ale to już przeszłość.

### **Kiedys podczas wywiadu dziennikarz zapytał Lou Reeda<sup>[42]</sup>, który też miał w życiu okres ostrego fikania: „Na czym dzisiaj lecis, Lou?”, a on odpowiedział: „Lecę na życiu”. Ty teraz masz taki moment?**

Tak. Z dawnych czasów szalonego balangowania pozostały wspomnienia, które są czasami niesamowite, czasami mrozące krew w żyłach. Ale taki byłem, tak chciałem żyć. Może muzyk rockowy jest w ten sposób skonstruowany, że inaczej nie może? Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym być grzeczny, wstawać rano, jechać na koncert samochodem, czytać książki. Wyjść na scenę i miło zagaić: „Dzień dobry, nazywamy się Lady Pank i zagramy dla państwa naszą najnowszą płytę”. Rock’n’roll to nie księgowość. Gdybym ja był takim liderem, który mówiłby: „Panowie, od dzisiaj nie pijemy i koniec”, to nie wiem, czy robiliśmy taką muzykę, czybyśmy z takim jajem przeszli przez życie. Wiesz, jaką piękną rzecz widzę na koncertach, gdy wychodzimy na scenę? Ludzie, którzy nas oglądają pierwszy raz, i ci, którzy już nas widzieli setki razy, uśmiechają się, gdy zobaczą nasze gęby. My im się kojarzymy z czymś fajnym, z tą całą otoczką, z aferami, wiedzą, że tacy jesteśmy. Dlaczego kocha się łobuziaków? Dlatego, że robią to, co chcą, a nie to, co powinni. Nie będę

się z tego tłumaczył – byłem i nadal jestem wesołym człowiekiem. Najbardziej mnie cieszy, że kiedy przestałem pić, nie zrobiłem się zgorzkniały. To jest dla mnie ważne, bo znam kolegów, którzy przestali pić i nie da się z nimi gadać. Może muzyka, którą gram, daje mi takiego kopa? Pamiętam wspólny koncert, który graliśmy kiedyś na Helu z Grześkiem Ciechowskim. Mieszkaliśmy w superhotelu. Przeszedłem do baru, wziąłem kubeł do lodu, wlałem butelkę johnniego walkera, coca-colę, wrzuciłem trochę lodu i zacząłem to pić. W pewnym momencie Grzesiek do mnie podchodzi i mówi: „Dasz łyka??” A ja: „Kurwa, nie mogłeś wcześniej powiedzieć??” Bo wypięłem całe. To było po koncercie, musiałem zrzucić z siebie ciśnienie, bo jednak wyjście na scenę i robienie atmosfery, wymienianie się energią z ludźmi, wyzwalają we mnie taką adrenalinę, że nawet gdy coś mnie bolało albo gdy miałem złamany palec, to nic nie czułem. To są tak silne emocje. I kiedy schodziłem ze sceny, jak taki byk rozjuszony, to co miałem zrobić? Musiałem po prostu w tę płachtę czerwoną zajebać.

**Wracając do Ameryki – przewidziałeś, że to się nie uda, że tracisz kontrolę nad własnym zespołem? Że ktoś inny próbuje szyc wam buty, które do was nie pasują?**

Szybko zorientowałem się, że Amerykanie chcą formatować Lady Pank na swoją modłę, zupełnie nie rozumiejąc istoty tego zespołu oraz polskiego kontekstu, w którym wyrosliśmy. Na przykład robiliśmy w Kalifornii materiał do „Playboya” i fotografowali nas z deskami surfingowymi, co nie miało żadnego sensu. Wozili nas do fryzjera i zmieniali fryzury, chcieli, żebym wyglądał inaczej. Nawet pojawiła się propozycja, żeby zamienić Panasa na jakiegoś amerykańskiego wokalistę. Czułem, że ktoś mi zabiera moją wolność. Co z tego, że zabrali mnie do Kentucky Fried Chicken i codziennie dostawaliśmy po kubełku kurczaków, o których w Polsce można było tylko pomarzyć? Co z tego, że będę w Ameryce i zostanę gwiazdą, skoro ktoś będzie decydował, jakie mam mieć włosy, jakie mam dźwięki zagrać? Nie! Wolność polega na tym, że grasz to, co chcesz, i to jest właśnie najpiękniejsze. Jestem od czterdziestu lat z Lady Pank na scenie, czyli robię rzeczy, które są w jakiś sposób ponadczasowe, mam tego świadomość. Zawsze

wiedziałem, że jeśli będę robił to, w co mocno wierzę, to moja twórczość przetrwa. A jeżeli będę się rozdrabniał, to zginę. Wiesz, ile jest osób, które by powiedziało: „Dlaczego nie zagrałeś tutaj tak? A tu mogłeś zagrać tak. A może tu krócej, a może tu dłużej”. Ja takie rzeczy na początku, gdy założyłem zespół, słyszałem non stop. I potem w ogóle przestałem się spotykać z innymi zespołami na trasach, bo te ich rady to był bełkot, słuchać się tego nie dało. Moją jedyną radą dla wszystkich jest: róbcie swoje i się nie przejmujecie, jak ktoś wam mówi, że to jest złe czy słabe.



Wśród fanów, lata 80.

**To paradoks, że wyjechaliście ze zniewolonego kraju komunistycznego do oazy wolności i w tej oazie chcieli wam zabrać wolność.**

Właśnie dlatego bez emocji jeździłem na te wszystkie wywiady i promocje, a gdy wróciliśmy do Polski, byłem za tym, żeby tego nie kontynuować. Przez dwa tygodnie pobytu w Stanach najbardziej podobało mi się to, że spotykałem bardzo wielu muzyków, których



**godzin, według ścisłego harmonogramu. Próby, wywiady, promocje, a do tego menedżerowie i doradcy próbujący z was wystrugać coś, czym nie chcecie być.**

To chyba było dla mnie najtrudniejsze. Bo ciężko pracować, to my potrafiliśmy, ja nie miałem z tym problemu. Tak jak mówisz, w Polsce wszystko robiliśmy sami. Z Mogielnickim i menedżerem Wojtkiem Kwapiszem siedzieliśmy w trójkę i wymyślaliśmy. Sami zamawialiśmy w drukarni plakaty, sami składaliśmy plastikowe żyłetki z logo Lady Pank, które przypinało się do ubrań, sami konstruowaliśmy te zapalniki, zamontowane przy główkach gitar, co zresztą było bardzo niebezpieczne, mało nam palców nie pourywało. Myśmy naprawdę czasami sporo ryzykowali, żeby urozmaicić koncerty. Malowaliśmy się sami... Mieliśmy jedno pudełko z jakąś czarną mazią, robiliśmy sobie nią brwi, od naszych dziewczyn pożyczaliśmy czerwone pomadki, którymi się smarowaliśmy. A to wszystko tylko po to, żeby ludziom było bardziej kolorowo. Bo wszędzie był totalny syf. Nawet dzisiaj rozmawiałem o tym z moją Małgorzatą. Wszedłem rano do sklepu i kupiłem sobie bułkę, krakowską kiełbasę, żółty ser i zrobiłem sobie kanapkę. I mówię do Gosi: „Gosia, ty wiesz, że w tamtych czasach, jak myśmy grali koncerty i cały czas się piło, to nie było tak jak teraz, że kanapki, herbata, jakieś ciastka w garderobie. Nic nie było. Wracając w nocy do hotelu, gdzie room service’u też nie było, trzeba było kupić jakieś jedzenie, a jedyne miejsce na zakupy to był dworzec, jakkolwiek dworzec w jakimkolwiek mieście. I na tym dworcu sprzedawali kanapki bez masła z krakowską i z plastrzem sera i to było pycha”. A wracając do twojego pytania – w Polsce, gdzie było jedno radio, nie mieliśmy tylu wywiadów, ile w Stanach w ciągu tych dwóch tygodni. Udzieliliśmy ich chyba z trzysta i to był jakiś koszmar. Musisz w tym wszystkim uczestniczyć, jeżeli chcesz tam wejść na szczyt. Uważam, że my moglibyśmy to zrobić, gdyby nie dwie rzeczy, o których wcześniej mówiłem: język i to, że teksty zostały przetłumaczone w taki, a nie inny sposób. Trochę żałuję, że Andrzej zgodził się pracować z Tomem Wachtelem. Mało tego, jak wróciliśmy ze Stanów, to Amerykanie dali nam „do pomocy” muzyka od Springsteena, u którego ja też swoją drogą nagrywałem. I nagle on skomponował utwór dla mojego zespołu; wtedy to już się zaczęło robić

naprawdę niefajnie. To był świetny facet, nic do niego personalnie nie miałem, ale pomyślałem: „Co jest, kurwa, to mój zespół, ja sam potrafię komponować, nie zgadzam się na to”. Myślę, że ten gość na długo zapamiętał swój czas w Polsce, bo był z nami chyba przez trzy tygodnie. Jeździliśmy do studia na Wawrzyszew, a potem wracaliśmy przez taką melinę, gdzie kupowaliśmy cztery słoiki kompotu gruszkowego i sześć butelek wódki. On z nami mieszkał, więc musiał też z nami pić. Tyle że dość szybko odpadał, a my walczyliśmy dalej. Pamiętam, że któregoś ranka schodzi ten typ na dół, totalnie skacowany, i widząc, że my wciąż się nie położyliśmy, mówi: „*What the fuck?!*”. Popatrzyliśmy tylko na niego bez słowa, odwróciliśmy się, rozlaliśmy po lufie i kontynuowaliśmy rozmowę. Widocznie inna kultura pracy. On tego nie mógł znieść, następnego dnia zadzwonił do Stanów, poprosił o bilet na samolot i się pożegnaliśmy.

**Z perspektywy czasu nie żałujesz, że jednak się z tą Ameryką nie udało? Że mogliście tam zrobić więcej? Mielibyście otwarte wszystkie drzwi.**

Nie. Dla mnie najważniejsza była i jest moja wolność. Nie oddałbym jej nawet za cenę kariery w Ameryce czy gdziekolwiek. To jest trochę tak, jak kiedyś reżyser, z którym robiłem teledysk, powiedział do mnie: „Jan, a mógłbyś przytrzymać w ten sposób gitarę?”. I ja nagle jestem z instrumentem w pozycji, która jest zupełnie nienaturalna, nigdy tak gitary nie trzymałem, w życiu bym tak nie zagrał nawet jednego dźwięku. To jest przykład na to, że zmienianie na siłę czegoś, co jest twoje, nie ma żadnego sensu. Dobrze się czułem w Ameryce, gdy przyjeżdżałem tam co jakiś czas, ale potem wracałem do Polski. Przymyślałem z kraju, gdzie były piękne ciuchy, koncerty, samochody, wszystko fajnie, a na Okęciu wsiadałem do taksówki, w której gość miał radio z jednym programem, jarał w tym swoim aucie papierosa, spoglądał na ciebie smutno, a potem dojeżdżałeś do domu, sklep był zamknięty, wokół cisza, niczego nie było, nic się nie działo, pełna beznadzieja. A jednak, z jakiegoś powodu, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby stąd gdzieś na stałe wyjechać. Bo tu jest ta moja wolność.

**Po zakończeniu amerykańskiej przygody i powrocie do Polski musieliście zrobić ukłon w stronę towarzyszy z KC, którzy zezwolili wam na ten wyjazd, i pojechać w drugą stronę – na występy do ZSRR.**

To był tylko jeden koncert, na festiwalu młodzieży. Amerykanom zależało, żebyśmy tam pojechali. Nie chcieli, by w Polsce utrudniano nam ewentualne kolejne wyjazdy do USA. Uznali, że jeśli w ten sposób okażemy dobrą wolę, to wszyscy na tym skorzystają. Na festiwalu było wielu polskich artystów, między innymi zespół Vox. Jeden z muzyków tego zespołu miał złoty łańcuszek i bał się go przewieźć. Zaproponowałem, że zrobię to za niego. Wziąłem go i wrzuciłem sobie w gacie. Przechodzę przez cło, celnik się pyta, czy mam coś do oclenia, a ja: „U mienia złote jajca”. Potem w samolocie ten muzyk postawił mi bardzo dobrą buteleczkę wódki i wypiliśmy ją wspólnie na pokładzie.





Warsztaty w ramach Akademii Jana Borysewicza.

**Nie powiodła wam się kariera w Ameryce Północnej, ale za to odnieśliście sukces w Ameryce Południowej. Wasza anglojęzyczna**

**płyta przygotowana na Stany, zatytułowana *Drop Everything*,  
 namieszła na listach przebojów w... Brazylii.**

W Brazylii na murach podobno jeszcze niedawno było powypisywane *Mniej niż zero*. Kazik z Kultu opowiadał, że widział takie graffiti, gdy byli tam na koncertach. W każdym razie tej anglojęzycznej płyty sprzedano się bardzo dużo, bo ukazała się na całym świecie. Nawet egzemplarze z pieczątką *Not for sale*, które były przeznaczone do promocji, odnajdowały się potem w sklepach. Wiem, że wiele osób może nie rozumieć, dlaczego nie poszliśmy za ciosem i nie próbowaliśmy wtedy robić na siłę kariery za granicą. Ale ja zawsze starałem się patrzeć dalej, do przodu. Jak wtedy w Holandii, gdy nie skorzystałem z zaproszenia Alexisa Kornera i nie pojechałem na koncerty, bo uważałem, że jestem za słabym gitarzystą. Nie żałuję tej decyzji. I tak samo jest ze Stanami. Absolutnie nie żałuję, że tak się stało. W dłuższej perspektywie to mogłoby zabić Lady Pank, bo ten zespół nie był gotowy na próbę ulepienia z niego czegoś, czym nigdy nie był.

**Prowadząc bujne, koncertowe życie, zwiedziliście kawałek świata.  
 Stany, Związek Radziecki, potem pojawiła się Japonia. Do dziś Kraj  
 Kwitnącej Wiśni wydaje się Polakom bardzo egzotycznym miejscem,  
 więc w latach osiemdziesiątych musiał się wam jawić niczym z innej  
 planety.**

Było tam niesamowicie czysto. Powiedziałem o tym przewodnikowi, który z nami jeździł, a on mówi: „Jak to czysto? – i podniósł z ziemi jednego peta. – To straszne, zobacz, co znalazłem!” Na to ja: „Rany boskie, człowieku, przyjeźdź do nas!” Mieszkałem w hotelu, naprzeciwko którego znajdowała się miniaturowa wieża Eiffla. Wyszliśmy z Mogielem przejść się po uliczkach i w pewnym momencie przechodziliśmy obok stacji benzynowej, na której w ogóle nie było dystrybutorów. Mówię: „Jak oni, do cholery, tankują?” Okazało się, że gdy podjeżdżał samochód, to z góry zjeżdżał taki wężyk, łąpało się go za wlew i wkładało do baku. Dużo było śmiesznych sytuacji. Mogiel chciał sobie kupić napój w automacie i nie mógł się doczekać, aż puszka wypadnie, bo chyba go suszyło, więc włożył rękę do środka i po chwili dosłownie dostał po łapach, a ktoś po drugiej stronie go opierdolił po japońsku.

Aż ukucnąłem ze śmiechu! Graliśmy tam na bardzo fajnej imprezie, która nazywała się Tokyo Music Festival. Pierwszy raz zobaczyłem taki totalny profesjonalizm. Mieliśmy przez tydzień próby, każdy zespół dostał swoje osobne studio, robili z nami nagrania, do tego garderoby na kółkach z ciuchami, w które nas od razu przebierali. Scena była ruchoma, podzielona na podesty, każdy zespół miał swój i gdy jeden kończył grać, to na drugim podeście czekał już kolejny. Scena się obracała i kolejni artyści wjeżdżali. Dostałem tam nagrodę dla najlepszego kompozytora za utwór *Mniej niż zero*. Wręczono mi na scenie kopertę z kartką, która rozłożyła się do samej ziemi. Tekst po japońsku, a na samym dole wielki napis: „500 000”. Niestety nie dolarów, tylko jenów, co na tamte czasy dawało równowartość jakichś czterech tysięcy dolarów. I tak całkiem przyzwoita suma. Dostałem od nich jeszcze dwa zegarki Seiko, damski i męski. Damski dałem Honoracie, z którą wtedy byłem. Ten swój gdzieś mam, jest na nim wygrawerowane *The Best Composer Tokyo Music Festival*. Po festiwalu zespół Miami Sound Machine<sup>[47]</sup> zorganizował imprezę. Całą noc balowałem na niej z Kathleen Turner<sup>[48]</sup>. Na koniec dała mi swój numer, ale nigdy z niego nie skorzystałem, bo w sumie po co miałbym jej głowę zawracać jakimiś telefonami? Następnego dnia z Andrzejem Marcem, promotorem koncertowym i ówczesnym menedżerem Pawła Kukiza, pojechaliśmy do miejscowego ZAiKS-u, który się nazywa JASRAC, po odbiór tych pieniędzy. Byłem na strasznym kacu. Do pomieszczenia weszło dwóch Japończyków – wyższych ode mnie, po metr osiemdziesiąt. A Marzec: „Kurwa, skąd tacy wysocy się wzięli w Japonii?”. W pewnym momencie drzwi się otwierają i tyłem wchodzi zgarbiona kobieta, niesie tacę z herbatami. Stawia ją przed nami i wychodzi, również tyłem. Marzec znów się dziwi: „Kurwa, to oni tu tyłem chodzą?”. Po chwili jeden z Japończyków mówi, że jest pod wielkim wrażeniem tego, jaki zrobiłem podział rytmiczny w *Mniej niż zero*. Faktycznie, tam jest takie specyficzne wejście basu. Przez jakiś czas nie wykonywaliśmy tego utworu, bo mieliśmy basistę, który nie potrafił wejść w utwór. Mnie nagrody nigdy nie cieszyły, nie łechtały, bo mam ich bardzo dużo, ale wyróżnienie z Tokio ma dla mnie szczególne znaczenie właśnie z powodu tych dwóch Japończyków, którzy zwrócili uwagę na szczegół w mojej

kompozycji. Mało kto go zauważa. Tego numeru się słucha, śpiewa się tekst i koniec. A on jest muzycznie trochę pozakręcany i ma to wejście „pod włos”, jak się u nas mówi. Fakt, że ci Japończycy to docenili, jest dla mnie bardzo ważny. Wracając po spotkaniu do hotelu, przechodziliśmy obok sklepu z elektroniką, Japonia wtedy z niej słynęła. Był tam taki robot, kosztował chyba trzy i pół tysiąca dolarów. Mogłes zaprogramować tak, że podjeżdżał do lodówki, otwierał ją, robił ci drinka i przywoził do łóżka. I na zasadzie żartu mówię: „Jaki czad, ja to chcę!”. Ale po chwili pomyślałem sobie, że zamiast wydawać kasę na kolejną głupotę, podzielę te pieniądze z mojej nagrody pomiędzy chłopaków z zespołu. Nie musiałem tego robić, ale miałem chyba jakąś chwilę słabości.



Wywiad dla stacji ABC przed klubem Park, 1982 r.

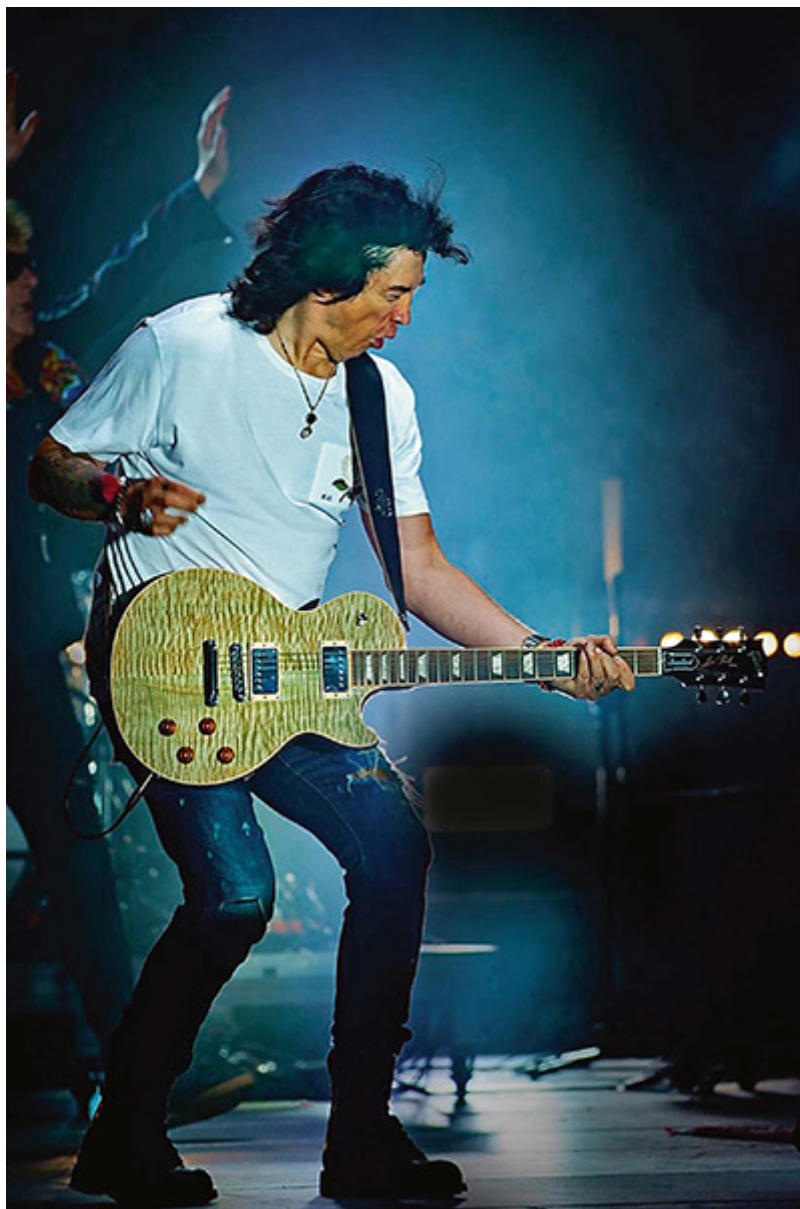


Polskie media o występie na festiwalu w Tokio.

**W dość krótkim czasie mogłeś zobaczyć z bliska dwie zupełnie różne kultury. Byłeś i w Stanach, i w Japonii, po czym wróciłeś do Polski, gdzie przemysł muzyczny właściwie nie istniał, panowało piractwo i wolna amerykanka. Nie miałeś poczucia, że pewne rozwiązania ze Stanów czy z Japonii można by do Polski zaimportować, coś poukładać inaczej? Było to dla ciebie jakąś inspiracją, jeśli chodzi o budowanie kariery zespołu?**

Oczywiście, że tak. Ja bardzo przeżywałem ten festiwal, to, jak został zorganizowany. I potem rozmawiałem z ludźmi, którzy robili festiwale w Sopocie czy w Opolu, o tych rozwiązaniach, które tam widziałem. Na przykład wjeżdżające na scenę podesty – nasi też zaczęli to robić, ale w Japonii to było dopracowane precyzyjnie, jak w zegarku. Sztab ludzi przy tym działał. U nas do dzisiaj tego nie ma. Ja mam w tej chwili świetny management, Maćka Durczaka, który bardzo dobrze zajmuje się zespołem, już pięć lat ze sobą pracujemy. I Maciek czasami rozkłada ręce, mówiąc: „Jan, wymagasz ode mnie tyle, ale my już więcej naprawdę nie

możemy zrobić, naprawdę się nie da”. Bo to też jest kwestia pieniędzy. U nas przez wiele lat organizowane były darmowe imprezy miejskie i to mocno popsuło rynek. No, wyobraź sobie, jak U2 czy Stonesi jadą do Tarnowa zagrać, kurwa, miejską imprezę za darmo, to kto potem pójdzie na ich biletowany koncert w tym samym mieście? Już nikt. W naszym kraju w latach osiemdziesiątych nie było nikogo, kto by kompleksowo, na skalę całej Polski, potrafił zająć się koncertami. To się dzieje dopiero teraz. Na przykład koncert Dawida Podsiadły i Taco Hemingwaya na Stadionie Narodowym pokazał, że można u nas zorganizować tak gigantyczne wydarzenie na światową skalę. I wtedy człowiek może spokojnie sobie pracować rok czy dwa, a nie zapierdalać po 300 koncertów w roku, jak myśmy to robili. Gitarzysta od Davida Bowie<sup>[49]</sup> opowiadał mi, że Bowie brał za koncert 100 000 dolarów, a on dostawał 400. Powiedziałem mu, że jest nienormalny, skoro się na to zgodził. Na co on odpowiedział: „Do cholery z tymi pieniędzmi, grałem koncerty z zajebistym koleśkiem i występowałem dla stu tysięcy ludzi. To było przeżycie i nikt mi tego nie zabierze. Ale jak ty mówisz, że grałeś 300 koncertów w roku, to ty jesteś nienormalny”. Pomijając fakt, że my się na tych koncertach fajnie bawiliśmy, to jednak przydałaby się wtedy taka osoba albo nawet kilka osób, które by były przy zespole i powiedziały: „Panowie, zatrzymajcie się, kurwa, to nie jest tego warte, zróbcie sobie przerwę od grania, od balangowania, od tego wszystkiego, jedźcie sobie gdzieś na wakacje, za trzy miesiące się spotkajcie, usiądźcie, zróbcie nowy materiał, niech to trwa rok, dwa”. My nie mieliśmy na to szans, nikt wtedy na rynku nie myślał w ten sposób. I to nawet nie chodziło o jakąś pazerność, bo myśmy zarabiali gówniane grosze. Jedyne większe pieniądze, które zarabialiśmy, to z własnego merchandisingu, z tych wszystkich plakatów, koszulek, żyletek... Ale na dobrą sprawę to też nie były żadne kokosy, tylko pieniądze, które można było przepić w jeden wieczór. A poza tym nic nie dało się kupić, bo w sklepach nic nie było. Za taki worek kasy ze sprzedaży pamiątek po koncertach mogliśmy sobie kupić w Peweksie najwyżej trzy butelki whisky. Legendy o naszych rzekomych fortunach były więc wysane z palca. Ale zgodnie z moją zasadą – niczego nie dementowaliśmy. Pozwalałem Lady Pank obrastać różnymi mitami, bo na tym też polega rock’n’roll.



Przystałem wierzyć już  
Ból i piach  
Piach w oczy dzień za dniem  
Tak się bałem, że  
W tym świecie nie ma jej  
Że miniemy się jak sny we mgle  
Na planecie tej  
To, co mam, to, co mam świętego  
Tego mi nie zabierze nikt  
Tobie nic, tobie nic do tego  
Jestem tu, jeśli chcesz się bić

*To co mam*  
(sł. M. Dutkiewicz)



# ROZDZIAŁ 11

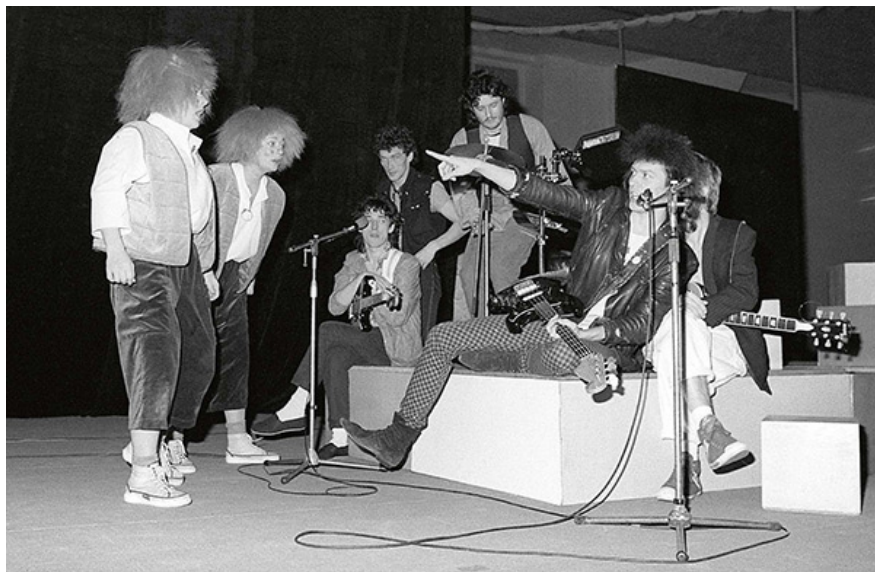


*W którym przeżyjemy najbardziej dramatyczny dzień w historii Lady Pank. Zanim napiszą o tym wszystkie gazety i zanim powiedzą o tym w wiadomościach we wszystkich dwóch programach telewizji oraz czterech programach Polskiego Radia, milicja posadzi Jana Borysewicza na dołku z pedofilem. A kiedy gitarzysta wyjdzie na wolność, stanie w tym samym miejscu, w którym kiedyś stał jego brat, Andrzej. I to mógłby być koniec tej opowieści. Ale los daje czasem drugą szansę tym, których kocha. Borysewicz ukrywa się pod kocem w samochodzie swojej dziewczyny, a ona odwozi go w bezpieczne miejsce, tam, gdzie może przeczekać do amnestii ewentualną milicyjną prowokację. Władzom jest przecież bardzo na rękę, że wreszcie się doigrał. Przestaje brać instrument do ręki. Nie może patrzeć na gitarę, ale wtedy, w radiowej audycji, Wojciech Mann i Zbigniew Hołdys puszcza ją Wciąż bardziej obcy i mówią na żywo, na całą Polskę: „Janku, nie poddawaj się”. Nadchodzi amnestia. Przed budynkiem sądu czeka na Borysewicza tłum. Jan wraca do domu, wylewa do kanalizacji całą wódkę, sięga po gitarę i w ciągu dziesięciu dni pisze dziewięć nowych piosenek. Są tak samo dobre, jak te z pierwszej płyty.*

**Kilka bardzo intensywnych lat wypełnionych koncertami, wyjazdami, nadziejami i rozczarowaniami. To musiało doprowadzić do kryzysu.**

Ja bardzo doceniam to, że się nam z Panasem udało przetrwać to całe szaleństwo. Nigdy nie jest tak, że człowiek sobie idzie, tra la la la, i żadnego dołu przed nim nie ma. Każdy musi się kiedyś w taki dół włądować, wcześniej czy później. Myśmy trochę takich dołów w życiu zaliczyli, ale wydaje mi się, że wszystkie sprawy między nami, także pozamuzyczne, były potrzebne, żeby się czegoś o sobie nauczyć. Działy się rzeczy, które się nie powinny dziać, na przykład agresywne zachowania w hotelach, gdy nam coś nie pasowało. Wszystko było dobrze, gdy się człowiek bawił i klepali go po plecach. Ale ktoś, kto jest totalnie rozbawiony, ktoś, kogo głowa nie pracuje właściwie, nie do końca rozumie, co się dzieje, gdy nagle przegina i ludzie już nie za bardzo chcą to akceptować. I nie rozumie, że swoim zachowaniem przestaje już innym dawać radość, a zaczyna sprawiać przykrość. Na odrzucenie zaczyna reagować agresją i koło się zamyka. Pytasz o pierwszy poważniejszy kryzys wynikający z przemęczenia? Jeśli chodzi o zespół, to był moment, kiedy dostałem propozycję zrobienia muzyki do filmu rysunkowego *O dwóch takich, co ukradli księżyc*. Zaproponowałem to chłopakom, a oni mi powiedzieli, że mają to gdzieś i chcą jechać na wakacje. No to mówię: „OK. To w takim razie ja sobie sam poradzę”. Wziąłem samochód, jakąś starą nysę, spakowałem perkusję, wzmacniacz, gitarę, gitarę basową, klawiszę i zawiozłem to wszystko do studia Tonpressu na Wawrzyszew, do firmy, która nam wydawała wtedy płyty. Nagrałem wszystkie instrumenty sam. Zrobił się z tego wielki hit. Kiedy film wszedł do kin, ludzie walili drzwiami i oknami. Jan Kobuszewski był narratorem, a Dorota Stalińska i Ewa Szykulska podkładały głosy Jacka i Placka. Chłopcy z zespołu zdążyli w międzyczasie odpocząć i wspólnie przygotowaliśmy przedstawienie, które graliśmy między innymi w Sali Kongresowej, na ekranie leciał kawałek filmu, Dorota i Ewa coś do tego opowiadały, myśmy grali jeden utwór, potem one znowu gadały, znowu obraz z filmu i tak dalej. To się

cieszyło bardzo dużym powodzeniem. Postanowiliśmy, że oprócz tych dwunastu koncertów, które zagraliśmy w Kongresowej i paru innych halach, wyruszymy z tym przedstawieniem w trasę po Polsce. Najpierw jednak zaproszono nas na koncert z okazji Dnia Dziecka we Wrocławiu, gdzie mieliśmy zagrać kilka utworów ze spektaklu... I tu pojawił się kolejny kryzys. Wynajmowałem wtedy dom w Pruszkowie. Chłopaki z zespołu przyjechali po mnie dwiema taksówkami, a u mnie oczywiście, chyba od tygodnia, trwała balanga. Na koncert dojechaliśmy już wszyscy wstawieni i przez całą drogę było dalsze picie. W hotelu we Wrocławiu każdy poszedł do swojego pokoju, żeby wziąć prysznic, przebrać się, ale chwilę później już siedzieliśmy na dole w restauracji, przy barku, więc cały czas ta maszyna balangowa działała. I w takim stanie, ledwie trzymając pion, ruszyliśmy na koncert, do mojej dzielnicy zresztą, na Sępolno, na Stadion Olimpijski. Wyszliśmy na scenę w stanie kompletnego braku kontaktu z rzeczywistością...



Podczas prób do spektaklu muzycznego dla dzieci pt. *Jacek i Placek, czyli Lady Pank w poszukiwaniu Krainy Leniuchów*. Od lewej: w roli Placeka Dorota Stalińska, w roli Jacka Ewa Szykulska, obok muzycy Lady Pank: Jan Borysewicz, Janusz Panasewicz, Andrzej Dylewski, Paweł Mściński. 1986 r.

**To był 1 czerwca 1986 roku. Tę datę pamięta chyba każdy, kto żył w tamtych czasach, nie tylko fani Lady Pank. Głównym tematem w każdej gazecie i programie telewizyjnym był Jan Borysewicz, który pokazał dzieciom ze sceny przyrodzenie. W Polskim show biznesie nie było wcześniej większego skandalu. Co tam się właściwie wydarzyło?**

Mieliśmy dobre humory, trochę się nie za bardzo trzymaliśmy na nogach, ale to było granie z playbacku – taki był wymóg – więc nie musieliśmy się zbytnio wysilać. Wyszedłem na scenę uśmiechnięty, radosny, rozbawiony. Scena znajdowała się dosyć daleko od publiczności. Wszystko przebiegało normalnie. I w pewnym momencie, chyba po drugim utworze, zauważyłem po lewej stronie kilku kolesi, bardzo agresywnych, którzy pokazywali „faki” w moją stronę. Wkurwiłem się na to strasznie. Pomyślałem, że nie pozwolę, żeby jakieś gnojki ubliżały nam bez żadnego powodu. Ale nie wiedziałem, co zrobić, żeby wyrazić swoje niezadowolenie. To nie było tak, że chciałem wobec tych wszystkich ludzi i dzieci się obnażać. To był efekt mojej niezgody na to, że ktoś chce bezmyślnie zniszczyć coś dobrego, co pragnę przekazać ludziom. Oczywiście gdybym był trzeźwy, tobym machnął na to ręką, co zresztą wiele razy robiłem w takich sytuacjach. Ochroniarzy zawsze prosiłem, żeby nie zachowywali się agresywnie w stosunku do ludzi, którzy są wobec nas nie w porządku. Ale wtedy alkohol, niestety, wydobyl ze mnie zachowanie, którego nigdy wcześniej nie przejawiałem. Nie jest prawdą, jak o tym pisali, że „pokazałem dzieciom przyrodzenie”. Nie ściągnąłem spodni. Rozpiąłem rozporek z takim gestem, że szczam na tę garstkę hejterów. To było skierowane wyłącznie do nich. Oczywiście zaczęła się cała afera, bo potem jeszcze zszedłem ze sceny i podszedłem do tych ludzi, awanturując się: „No, chodźcie, frajerzy!” Pamiętam, że podbiegli do mnie milicjanci i złapali mnie z obu stron, Kapiszon zbiegł ze sceny i uderzył jednego z tych gliniarzy, czapkę mu zrzucił, więc zrobiła się z tego poważna zadyma. Chłopaکی zostali na miejscu, a mnie zawieźli na plac Grunwaldzki do aresztu.



Tatuaż jednego z fanów.

**W gazetach pisali, że wśród widzów wybuchła panika, ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Fani chcieli cię bronić przed milicją, żeby cię**

**nie zwinęła, więc wywołałaś pandemonium. A jeszcze na to wszystko patrzyła twoja córka Joanna, która była pod sceną.**

Tak, totalne piekło, wiem. Przepraszałem za to nie raz, to był wypadek przy pracy, zupełnie niepotrzebny... Zamknęli mnie w areszcie przejściowym, w jednej celi z kolesiem, który był podejrzany o gwałt na jedenastoletniej dziewczynce. Koszmar. Milicjant, który zawiadywał na tej komendzie, powiedział: „Panie Janie, pan się nie martwi, wszystko będzie dobrze”. Ale cały czas dostawał telefony, żeby mnie nie wypuszczać. Powiedziałem zespołowi, żeby wracali do Warszawy. W końcu, po paru godzinach ten milicjant powiedział: „Niech pan zadzwoni do ojca, niech przyjedzie z dowodem, wypuścimy pana”. Ojciec przyjechał. Pamiętam, że kiedy wyszliśmy z aresztu na ulicę, zapytał: „Synu, co się tam stało?”. A ja mówię: „Wiesz co, tato, ty idziesz tam, a ja idę tam, OK?”. I tak się wtedy zakończyła nasza rozmowa. Nie miałem ochoty z nim dyskutować, słuchać umoralniających przemówień. Pojechałem do moich znajomych muzyków we Wrocławiu. Miałem u nich nocować, ale troszeczkę doszedłem do siebie i postanowiłem w nocy wracać do Warszawy. Zamiast tego zszedłem na dół, stanąłem w bramie, oblałem się kanistrem benzyny i chciałem się podpalić. Naprawdę. Tak mi się zrobiło wstyd. Potem pomyślałem, że mój brat popełnił samobójstwo, i rzuciłem tę zapalniczkę. Dwa samobójstwa w jednym domu – to za dużo. Myślę, że w pewnym sensie Andrzej uratował mi wtedy życie. Tak czy inaczej, swoim zachowaniem wyrządziłem sobie i zespołowi dużą krzywdę. Straciliśmy kontrakty, straciliśmy trasę, którą mieliśmy zagrać. Przez wiele lat ta sytuacja kładła się na nas cieniem. A jednak, przewrotnie, mam w sobie pewną wdzięczność, że do tego wszystkiego doszło. Bo ten moment we Wrocławiu podziałał na mnie jak hamulec bezpieczeństwa. Jakby ktoś pociągnął za niego w ostatnim momencie, żebym nie zajechał za daleko i nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy.

### **Jakie były dalsze konsekwencje twojego wybryku?**

Kiedy trochę ochłonąłem, zamówiłem dwie taksówki: w jednej bagaże, w drugiej ja. Pojechałem do Pruszkowa, gdzie wynajmowałem dom. Oczywiście skontaktowałem się z prawnikami z Wrocławia, którzy mi

powiedzieli, że skoro milicja mnie wypuściła, to może być tak, że będą chcieli zrobić pokazówkę i ukarać mnie publicznie. W ogóle były takie zamiary, żeby to zrobić na Stadionie Olimpijskim przy ludziach. Jak podczas średniowiecznego linczu. Prawnicy poradzili mi, żebym koniecznie udał się do szpitala psychiatrycznego na Sobieskiego, żeby zrobić badania i przeczekać, a oni będą kontrolowali sytuację. Jeździłem tam codziennie na kilka godzin i każdego dnia przychodziła milicja, sprawdzając, czy tam jestem. Kiedy z dziewczyną, z którą wówczas byłem, wyjeżdżaliśmy samochodem z domu z Pruszkowa i jechaliśmy na Sobieskiego, to brałem ze sobą koc i się nim przykrywałem, żeby mnie nikt nie widział. Tak jak rozmawialiśmy wcześniej, to było dla mnie bardzo silne tąpnięcie. Ja sobie nie mówiłem: „O, było kapitalnie, zrobiłem świetny numer, wiesz, rock’n’roll”. Mnie samemu się to nie podobało, moja reakcja na zachowanie tej garstki ludzi, którym dałem się sprowokować – to nie było w moim stylu. Później bardzo tego pilnowałem i pilnuję do dzisiaj, żeby się nie dać sprowokować.

**Czym w twojej ocenie ten incydent różnił się od wcześniejszych rock’n’rollowych ekscesów, że aż tak mocno się tym przejąłeś?**

W Lady Pank wcześniej wszystko robiliśmy razem i w jakimś stopniu się nawzajem chroniliśmy, także przed samymi sobą. Jeżeli widziałem, że kolega jest bardziej nawalony i robi jakiś dym, to łagodziłem sytuację. A tutaj moja indywidualna akcja pogrzyżyła cały zespół. Czułem wstyd i ciężar z tym związany. Pierwszy raz w życiu odłożyłem gitarę i powiedziałem, że nie będę więcej grał. Miałem tak przez jakieś trzy miesiące. W tym czasie, gdy jeździłem na Sobieskiego, dostawałem tabletki uspokajające. Ale oczywiście ich nie brałem, miałem cały worek tych tabletek.





Publiczność zawsze daje moc, koncert w Gdańsku.

**Zdiagnozowali ci jakąś chorobę czy chcieli po prostu wpisać do papierów, że odbyłeś leczenie i dzięki temu nie pójdziesz siedzieć?**

O to chodziło, jeździłem tam na życzenie prawników. Przypuszczali, że będzie amnestia, która może mnie objąć, dlatego uznali, że powinienem ten okres gdzieś przeczekać. Ukrywać się nie mogłem, boby mnie ścigano, więc wymyślili patent ze szpitalem. I faktycznie tak było, że gdy przyjechałem na sprawę do Wrocławia, to amnestia mnie objęła. Pamiętam, że gdy wyszedłem z sądu na ulicę, było tam pełno ludzi, którzy skandowali i bili brawo. Fani bardzo mi w tamtym okresie pomogli dzięki temu, że byli ze mną, czułem ich wsparcie. Od tego czasu sporo się u mnie zmieniło. Jak już mówiłem – ja z perspektywy czasu uważam, że ta afera musiała się wydarzyć, była jakimś znakiem. My mogliśmy skończyć dużo gorzej, naprawdę. Nie mieliśmy żadnych hamulców. Jest wiele takich sytuacji w życiu, które się po prostu musiały wydarzyć. Tak samo jak z tym zawałem, przez który z dnia na dzień rzuciłem palenie. Nawet to, że spotkałem na swojej drodze Małgorzatę, najważniejszą partnerkę, z jaką byłem w życiu, jest pewnym znakiem na mojej drodze. Bo to jest osoba, dla której wiele potrafię poświęcić.

A ja zawsze byłem troszeczkę zbuntowany i nie zgadzałem się na pewne rzeczy. Nikt mi nic nie mógł powiedzieć, ja decydowałem sam i koniec. A między nami jest partnerstwo. Tego się człowiek też musi nauczyć, nie ma znaczenia, ile będzie miał lat. Czasami mówię Gosi: „Wiesz co, wydaje mi się, że myśmy musieli się spotkać”. To był zupełny przypadek, ale jesteśmy razem już ponad pięć lat i od tego czasu prowadzę totalnie inny tryb życia, do którego też musiałem przywyknąć. To nie było wcale takie proste. Rezygnowanie z rzeczy, które się robi przez całe życie, może mieć katastrofalne skutki. Kiedyś lekarz powiedział Lemmy’emu z Motorhead, że nie może z dnia na dzień odstawić amfetaminy, bo po kilkudziesięciu latach brania dla organizmu to może być taki szok, że po prostu wykituje.

**Po wrocławskiej aferze zespół na pewien czas właściwie przestał istnieć. Jak to przyjęli pozostali muzycy z Lady Pank? I jakie konsekwencje wyciągnęła wobec was tak zwana władza?**

Powiedziała, że zespół ma się rozwiązać, a ja odparłem: „Rozwiązać możecie sznurówki od moich butów, a nie zespół”. Zespołowi powiedziałem, że potrzebuję czasu, że na razie niech zaczepią się gdziekolwiek. Miałem wtedy okres wstrętu do gitary. Bo przez pewien czas uważałem, że przez ten rock’n’roll, przez to wariactwo, przez muzykę straciłem kontrolę nad sobą. I nie ukrywam, że zwałem to trochę na gitarę. Ale bardzo się pomyliłem, bo to w zasadzie była tylko i wyłącznie moja wina. I gdy po trzech miesiącach zdałem sobie z tego sprawę, to wzięłem instrument do ręki, szedłem do piwnicy – tam, gdzie kiedyś robiliśmy próby – usiadłem i chyba w dziesięć dni zrobiłem całą płytę *Tacy sami*. Zwołałem chłopaków, przyjechali, materiał był już gotowy i wtedy powolutku zaczęliśmy pracować. Weszliśmy do studia i wszystko zaczęło się z powrotem odbudowywać. Ale to nie był łatwy okres. Pamiętam, że gdy byłem taki totalnie zdołowany, chyba trzeciego dnia po moim powrocie z Wrocławia, w radiu usłyszałem Wojtka Manna i Hołdysa, którzy puścili utwór *Wciąż bardziej obcy* i powiedzieli: „Jan, bierz gitarę do ręki i graj, nie poddawaj się”. Powiedzieli to w radiu, na żywo. Totalnie się wzruszyłem, dodało mi to trochę otuchy. Wtedy wysyłałem też listy do różnych instytucji, z którymi pracowałem,

na przykład moje przeprosiny wisały w ZAiKS-ie. Po jakimś czasie, jak zaczęło się uspokajać, zaczęli przyjeżdżać do mnie – ja co niedzielę robiłem takie spotkania „Niedziela u idola” – Staszek Sojka, Kora, Grzesiu Ciechowski z Małgosią Potocką. W tym domu w Pruszkowie był ogród, siedzieliśmy tam, jakieś jedzonko, szampan i tak dalej. Więc powoli się odbudowywałem. Dużo się wtedy zmieniło, Marcin, bardzo dużo. Zacząłem mieć zupełnie inne spojrzenie na wszystko, co robiłem. Trochę czasu musiało upłynąć, żeby wrócić na ten tor, na którym byłem, zakładając zespół.

**A co ci wtedy chodziło po głowie? Jakie miałeś przemyślenia związane z tą zmianą w życiu? Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu spotkałeś się tak na poważnie z rzeczywistością, na zasadzie: ja też popełniam błędy, które mają poważne konsekwencje.**

Nie wiedziałem, że to mną tak tępnie, bo będąc wtedy we Wrocławiu na scenie, byłem przekonany, że robię dobrze, bo sprzeciwiam się hejtowi, który spotyka nas dlatego, że jesteśmy Lady Pank i jesteśmy popularni. Natomiast sam fakt, że w ogóle to zrobiłem... to nie było w moim stylu. Iść do nich po koncercie i się napięrdalać, to byłoby w moim stylu. Ale nie w taki sposób. Dlatego to mną tak wstrząsnęło. Z dzisiejszej perspektywy widzę jeszcze jeden aspekt tamtej sytuacji. Muzyka rockowa to jest bunt, który trzeba z siebie wyrzucić. Kiedy zacząłem pracować z Mogielnickim, on mi zastąpił wariactwo swoimi tekstami, wystarczyło wyjść na scenę i śpiewać te numery, bo były tak mocne, z takim przekazem, że naprawdę czułem totalną radość z tego, co robię. One były dla mnie wentylem bezpieczeństwa. Ale rock'n'roll nie bierze jeńców, zbiera się żniwo tego, co się robi. Nie znam żadnej autentycznej kapeli, która zawsze jest grzeczna, nawet Beatlesi rozrabiali. Hendrix, Stonesi, Bowie, Joplin, Morrison... ta lista jest bardzo długa. Wielu z nich miało na koncie dużo większe wybryki od mojego. Ja tu się absolutnie nie wybielałem. Wielokrotnie siedziałem w jakichś aresztach: w Londynie, w Warszawie ze trzy razy. Nie byłem świętoszkiem. Wydaje mi się, że to wszystko jest wliczone w rock'n'roll. Ta sytuacja z Wrocławia też, ale źle ją zniosłem. Moja mama, która była już wtedy przykuta do łóżka, przytuliła mnie i powiedziała: „Synku, przepraszam cię bardzo,

może to moja wina". Ona mnie przeprosiła, a nie na odwrót. To mnie kompletnie rozjechało.



Nagranie programu *Szansa na sukces*, od lewej: Grzegorz Ciechowski, Małgorzata Ostrowska, Renata Przymyk, Krzysztof „Kasa” Kassowski, Jan Borysewicz. 1997 r.

## **Czy po tej aferze postanowiłeś coś na stałe zmienić, czy powoli, kiedy sprawa cichła, zacząłeś wracać do dawnego życia?**

Odmieniło się tyle, że cały czas był alkohol. To wyglądało w ten sposób, że wstawałem rano, nalewałem sobie wódkę do szklanki i wypijałem. Honorata, z którą byłem, po jakimś czasie zaczęła robić to samo. Któregoś dnia rano schodzę na dół, a tam cztery butelki wódki. Chciałem sobie nalać i w pewnym momencie myślę: „Kurwa, dosyć tego, dosyć tego!”. I wziąłem te cztery butelki wódki, wylałem do zlewu i powiedziałem: „Honorata, nie schodź na dół”. A na dole miałem próby. „Nie schodź, dopóki ja sam stąd nie wyjdę”. I zacząłem komponować płytę *Tacy sami*. Wtedy właśnie zauważyłem, że niektóre rzeczy tak naprawdę wcale nie dzieją się przez muzykę, tylko głównie przez wódkę. To musiało się zmienić. Dlatego na jakiś czas wywaliłem alkohol z życia.

## **Po kilku miesiącach przymusowej hibernacji wróciliście z Lady Pank na scenę. Pamiętasz pierwszy koncert po „zmarłychwustaniu”?**

To było w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu, pamiętam, że było full publiki. A najbardziej rozbawiło mnie to, że strasznie dużo ludzi w ostatnich rzędach miało lornetki. Na każdym koncercie, czy na stadionach miejskich, czy w jakichś salach, widziałem te świecące oczka. Czyli ktoś jeszcze liczył, że może coś tam się wydarzy. Że coś się powtórzy i jeszcze sobie popatrzą. Na tym pierwszym koncercie w Zabrzu ludzie mnie znakomicie przyjęli. Zaśpiewałem *Obcego*, wszyscy płakali i ja się porzycałem. To był przełomowy moment. Jak już ten koncert poszedł, to znaczyło, że mieliśmy rozgrzeszenie, co było dla nas bardzo ważną rzeczą, bo wcześniej nie wiedzieliśmy, jak będzie dalej z koncertami, czy będziemy zapraszani, czy organizatorzy będą nas chcieli? A może dostawali jakieś sygnały, żeby nas nie zapraszać? Wiesz, takie myśli. Teraz też – jest pandemia, więc się zastanawiasz, czy ludzie będą kupowali bilety na koncerty, czy będą na te koncerty przychodzili, czy będą się bali? O takich rzeczach się myśli. A okazuje się, że fani nadal przychodzą i przyprowadzają następne pokolenia, choć wiedzą o naszej przeszłości, o mojej przeszłości. Tego się nie da ukryć. Zwłaszcza że za każdym razem, gdy wydaję swoją płytę solową czy jakąś inną, to od razu media skwapliwie przypominają nam dawne grzechy. Zawsze

musi pojawić się jakieś zdjęcie nawalonego Panasa, nieważne, że sprzed dwudziestu lat. Albo kolejne odgrzanie afery z Wrocławia. To się nigdy nie skończy. W mediach dzisiaj chodzi o to, żeby się słupki zgadzały. I dziennikarze mówią mi to prosto w oczy: „Jan, sorry, musieliśmy wywlec ten Wrocław, potrzebujemy tego do słupków, żeby więcej ludzi to przeczytało, bo ich samo to, że wydałeś płytę, nie interesuje”

**Aktor Alec Baldwin przypadkowo zastrzelił na planie kobietę. Straszna tragedia. Ale kiedy o niej czytasz, to pod spodem masz od razu historie o tym, jak kiedyś kogoś pobił, jak się upił i coś krzyczał, jak go policja złapała za przekroczenie prędkości. Rzeczy zupełnie niezwiązane z tą tragiczną sytuacją. W ten sposób tworzy się kontekst do rozkręcania hejtu. W twoim przypadku ostatnio często wyciągano sprawę związaną z oskarżeniami o wyłudzenie podatku VAT i posługiwanie się fałszywymi fakturami.**

To żenujące. Przecież każdemu może się w życiu noga powinąć. Nie jestem wyjątkiem. Nie mogę w tej chwili zbyt wiele mówić o tej sprawie, bo postępowanie jest w toku, natomiast jestem w niej drobną płotką, która przez swoją niewiedzę i zaufanie niewłaściwym ludziom sprowadziła na siebie kłopoty. Ciekawe, że temat wypłynął kilka dni po tym, jak publicznie odciąłem się od Pawła Kukiza po jego skandalicznym głosowaniu za ustawą medialną w Sejmie... A wracając do nakręcania hejtu na ludzi znanych, to nie jestem wyjątkiem. Zobacz, teraz co drugi dzień ktoś jest w mediach z czarnym paskiem na oczach. Nie ma dnia, żeby kogoś znanego nie wywlekli na ten medialny rynek i nie robili spektaklu z publicznego linczu. Jak w średniowieczu. Najgorsze jest to, że dziennikarze sami wszystkich tych celebrytów, artystów, aktorów wynieśli na piedestał, a teraz im dopierdalają. To nie jest w porządku, bo my jesteśmy tacy sami, jak wszyscy inni. Każdy z nas ma prawo popełniać błędy i je naprawiać. Tymczasem robi się wszystko, żeby nie dopuścić do takiego publicznego rozgrzeszenia. Żebyś musiał przez całe życie cierpieć za to, co zrobiłeś kilkadziesiąt lat wcześniej i wydawało ci się, że dawno to odpokutowałeś. To nieludzkie. Do tego nasz dzisiejszy rząd skutecznie nas skłócił, nie tylko między sobą, ale też

ze wszystkimi dookoła. Czekam z niepokojem na to, co będzie dalej, według mnie to bardzo niebezpieczna sytuacja.

### **Czego się teraz najbardziej obawiasz?**

Wojny. Za naszymi granicami już się dzieje bardzo niebezpiecznie. *[Rozmawiamy w październiku 2021 roku, na kilka miesięcy przed atakiem Rosji na Ukrainę – M.P.]*. To, co ten rząd zrobił, jest dla mnie dramatem dla Polski. Ja tak podzielonego kraju w życiu nie widziałem. W stanie wojennym myśmy się spotykali sąsiad z sąsiadem, ten temu załatwiał mięso ze wsi, tamten benzynę. Byliśmy przyjaciółmi jako naród, gdziekolwiek pojechałeś, wszyscy z otwartymi rękoma, „Potrzebujesz czegoś? To jak nie masz, ja ci mogę dać”. Teraz jest inaczej, boczmy się na siebie, kłócimy. To wszystko wina polityków, którzy zniszczyli największą siłę Polaków – naszą solidarność. Nie jestem w stanie im tego wybaczyć.



Z Panasem, na koncercie w Zabrze, 1987 r.

**Wspomniałeś wcześniej, że po śmierci brata obiecałeś sobie, że pójdziesz na pielgrzymkę do Częstochowy. Czy wrocławska afera i związane z nią poczucie winy przyspieszyły realizację tej obietnicy?**

Tak było. Rozstałem się wtedy z Honoratą i byłem już z nową partnerką. Wspólnie ustaliliśmy, że idziemy. Część grupy szła drogą katowicką, a my wybraliśmy dłuższą i trudniejszą trasę, przez lasy, pola, piaski. Trzeciego dnia dochodzimy do postoju, nagle patrzę, w rowie leży facet, nawalony, z rowerem. W pewnym momencie ubija się w naszą grupę i idzie z nami do tego postoju, do którego zostały jeszcze ze dwa kilometry. Okazało się, że on co roku tak robił: upijał się, dojeżdżał na rowerze spod domu do tego samego miejsca, dołączał do pielgrzymki i szedł dwa kilometry do najbliższego celu. To była jego pokuta. Taka tradycja. Bardzo mnie to rozbawiło. Czwartego dnia przechodziliśmy przez jakiś las, dookoła nic nie było widać, żadnych budynków i nagle pojawiło się parę osób z koszami, w których niesli paluszki. Okazało się, że za lasem była fabryka i pracownicy przynieśli pielgrzymom całe kosze paluszków. Panowała naprawdę fajna, wesoła atmosfera.

**Dokleiłeś sobie brodę i założyłeś ciemne okulary, żeby nikt cię nie poznał i nie zaczepiał?**

Przed pielgrzymką ściąłem włosy, włożyłem ciuchy w brązowych kolorach, których nie cierpię, bo wydawało mi się, że wtedy nikt nie zwróci na mnie uwagi. Ale oczywiście mnie poznali, choć nikt z tych ludzi przez całą pielgrzymkę nie dał mi odczuć, że wiedzą, kim jestem. Rozumieli, że ja jestem tutaj po coś, i nie chcieli mi zawracać głowy. Natomiast pierwszego dnia przyszedł do mnie ksiądz i zapytał: „Bracie Janie, może gitarka?”. Ja mówię: „Broń Boże, ja tu jestem incognito i bardzo proszę, żebyśmy więcej już takich rozmów nie odbywali”. Bo ja tego nie robiłem dla Kościoła, tylko dla siebie i dla Andrzeja. Poza tym dołożyła się ta sprawa z Wrocławia i chciałem sobie na spokojnie przewietrzyć głowę. To było naprawdę duże przeżycie, bo wokół mnie szli ludzie zupełnie inni od tych, których wcześniej znałem. Na przykład człowiek z żoną i małym dzieckiem, które ciągnęli za sobą w wózku na kółkach zrobionym z desek. Nie było łatwo samemu przejść tę pielgrzymkę, a co dopiero jeszcze targać jakiś wózek. Chyba piątego albo



szósteo dnia musiałem kawałek drogi przejechać na śmieciarce – na takim samochodzie z otwartą budą bez plandeki – bo już nie dawałem rady iść, zresztą nie tylko ja. Szósteo czy siódmego dnia musieli mi skalpelem przecinać bąble na stopach. Człowiek, który to robił, powiedział, że nie ma dobrych butów na pielgrzymkę i że to wszystko jest chyba tak skonstruowane, żeby poczuć jakąś dolegliwość, odbyć pokutę. Jak już wcześniej wspominałem, była tam starsza kobieta w ręcznie uszytych kapciach, targająca przez piaski dwoje młodych ludzi. Ona mi się od razu skojarzyła z moją mamą, która była cudowną kobietą. To też jakiś znak, że Bóg mi pokazał osobę podobną do mojej matki. Mało tego, jak Jan Paweł II był w Polsce, to na filmie widziałem, jak ta kobieta się z nim witała. Ona jest dla mnie bardzo ważną postacią, pojawiła się w zasadzie znikąd, ale też nie uważam, żeby to był przypadek, że spotkałem ją na tej pielgrzymce. A gdy doszliśmy do Częstochowy, to już nie było takiego spacerku jak przez całą drogę, tylko zaczął się sprint. Wszystkie grupy, które się zbierały z całej Polski, z różnych stron, chciały jak najszybciej już na tę Jasną Górę się dostać. I wszystkie te grupy zasuwały, która pierwsza, na wyścigi. A potem staliśmy w kolejce, żeby wejść przed obraz Matki Boskiej, i wtedy rozdałem chyba z 500 autografów. Ludzie zaczęli do mnie podchodzić, życząc mi szczęścia, żebym się niczym nie martwił, że wszystko będzie dobrze. Z takim przesłaniem, jakby chcieli dodać mi siły i energii, żebym walczył dalej o siebie. Tak jak wcześniej mówiłem – Polska w tamtym czasie naprawdę miała ludzką twarz. Na tej pielgrzymce nie było podziałów, wszystko było takie czyste. Każdy z tych ludzi na pewno miał jakieś swoje wady, coś tam przeszkobał, tak samo jak ja, jak każdy, ale byliśmy w tym razem, solidarni.

**Myszę, że po latach pewnego oderwania od rzeczywistości ważne było też to, że poczułeś się przez chwilę zwyczajnym człowiekiem wśród zwyczajnych ludzi. Nie gwiazdą na scenie, tylko prostu Jankiem.**

Kiedy wróciliśmy do Warszawy, to jeszcze przez jakiś rok na ulicy, w sklepach słyszałem: „Dzień dobry, bracie Janie?”. Nie „panie Janie?”. W banku, sklepie jubilerskim, w restauracji, kawiarni – spotykałem

bardzo wielu ludzi, którzy byli na tej pielgrzymce. Trochę się na niej oczyściłem, to mi dodało nowej energii. Tak jakbym stare rzeczy zostawił za sobą. I zacząłem działać z nową energią. Ale gdybyś mnie dziś zapytał, czy poszedłbym jeszcze raz, to powiem, że nie. To jest bardzo duże wyzwanie i trzeba być świadomym tego, co się robi. Trzeba mieć na to wielką siłę.

**Mówiłeś, że od tej sytuacji, gdy umarła twoja mama i ksiądz nie chciał jej pochować, byłeś na bakier z Kościołem. Czy po pielgrzymce coś się zmieniło? Wzmocniło to w jakiś sposób twoją relację zarówno z instytucją Kościoła, jak i z samym Bogiem?**

Czuję obecność jakiejś nadprzyrodzonej siły w moim życiu, w znakach, które dostaję. Musi być coś, co nas stworzyło, ale co to jest? Nie mam zielonego pojęcia. Jeśli nazwiemy to Bogiem, to ja w tym Bogu pokładam nadzieję, mam do niego respekt. Natomiast nie mogę powiedzieć tego samego o Kościele. Jakiś rok później zostałem zaproszony przez moją przyjaciółkę do kościoła na Żoliborzu, do księdza, na zakrystię. Poszedłem tam z czystym sercem i z jak najlepszymi intencjami, spodziewając się spotkania kogoś, kto przypomni mi o pięknych przeżyciach z pielgrzymki, jakoś je ugruntuje. Tymczasem ksiądz wyjął litrową flaszkę wódki, a kiedy powiedziałem, że nie mam ochoty na alkohol, rzucił: „Johnny, pij i nie pierdol!” Potem, już trochę nawaleni, poszliśmy do kościoła, chodziliśmy po piwnicach, wpadliśmy na jakąś trumnę. To był koszmar – z pielgrzymki, z czystego świata trafiłem w totalne piekło. Bywałem w kościele w święta, bo tak się utarło, czasami lubiłem wejść do środka, posiedzieć sobie w ciszy, pomedytować. Ale w pewnym momencie to się ucięło i w ogóle przestałem chodzić. Gdy moja córka Alicja była mała, uczyła się w katolickiej szkole w Warszawie. To ją potwornie zraziło do tej instytucji, więc poczułem, że dwie osoby w rodzinie doświadczające podobnego uczucia nie mogą się mylić. Jeżeli już wchodzę do kościoła, to wtedy, gdy wyjeżdżam za granicę i zwiedzam zabytki, natomiast nie ma to nic wspólnego z tak zwanym praktykowaniem wiary. Bo do tego Kościół jest mi niepotrzebny.

**Powiedziałeś, że na tę pielgrzymkę umówiłeś się z Bogiem po śmierci Andrzeja. Kiedy los zabiera ukochanego brata czy mamę, wiele osób odwróciłoby się od Boga, mówiąc z wyrzutem: „Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego mnie skrzywdziłeś?”.**

To jest dobre pytanie. Bóg nie ma nic wspólnego z tym, że ktoś umiera. Jeżeli w coś wierzysz, to nawet przez śmierć kogoś bliskiego nie można tego skreślić. Ja na przykład nie boję się śmierci. Wiem, że ona nadejdzie i każdego z nas to czeka. Jeden odchodzi wcześniej, drugi później. Gdy mój brat odebrał sobie życie, myślałem, że wolałbym umrzeć pierwszy, naprawdę. Chociażby z tego egoistycznego powodu, że po jego śmierci było mi strasznie ciężko. Bardzo to przeżywałem i to moje cierpienie... nie wiem, czy nie było gorsze niż śmierć. Ale nie miałem żadnych pretensji do Boga. Bo z jakiej racji? Może też dlatego, że moja mama bardzo wierzyła; czasami prosiła mnie, żebym czytał jej Biblię. Myślę, że nie ma co obwiniać Boga, bo my, ludzie, sami decydujemy o tym, jakie życie wybieramy. Bóg ci nie mówi: „pij” albo „nie pij”, sam wybierasz. Ja nie poszedłem do kościoła i nie zapytałem Boga, czy mogę zostać rock'n'rollowcem i czy mogę balować. Natomiast twoje pytanie jest bardzo ważne, bo do Boga nie miałem pretensji o to, co się stało. Bardziej miałem pretensje do mojego ojca.

### **Dlaczego?**

Dlatego, że nie dopilnowałem pewnych rzeczy, a nie musiało dojść do takiej tragedii, mówiłem już o tym wcześniej. Teraz mój ból się troszkę zaciera, ale przez wiele lat bardzo często Andrzeja miałem w głowie, tak jakbym z nim chodził cały czas i rozmawiał. Ale po jakimś czasie po prostu nie chciałem już myśleć o złych rzeczach. Ja nauczyłem się tak działać, że to, co złe, zostawiam za sobą, żeby nie zwariować. Tym bardziej że zajmuję się czymś, co ma sprawiać ludziom radość. W tamtych czasach bardzo często ludzie stali pod sceną i krzyczeli: „Janek, uśmiechnij się”. Widzieli mnie czasami smutnego. Poza tym ja miewam takie zawiechy, że się zamyślę nad czymś na koncercie i dopiero za chwilę wracam. To są właśnie te bolące zadry, które gdzieś we mnie głęboko siedzą. To są moje przeżycia, których nie da się tak do końca wypieprzyć w powietrze.

**Masz wokół siebie mnóstwo ludzi, znajomych, fanów. Ale czy dziś, zwłaszcza kiedy odciąłeś się od dawnego trybu życia, co zawsze weryfikuje grono znajomych, masz jakichś prawdziwych przyjaciół?**

Nielicznych, ale ja nigdy nie chciałem mieć wielu przyjaciół. Nigdy nie chciałem mieć przyjaciela, na którego mogę liczyć, bo według mnie to nie jest przyjaźń. Przyjaźń jest bezinteresowna, a w tych czasach coraz trudniej o nią. Poza tym jestem typem samotnika, lubię przebywać w ciszy po tym całym zgiełku, który panuje w moim życiu. Teraz, kiedy jest u mnie, nazwijmy to, ta „czystość”, nie potrzebuję takiego szumu, łążenia, spotkania się. Mam paru przyjaciół, z którymi raz na jakiś czas się zdzwaniam, raz na jakiś czas się widzimy, ale nie są to takie znajomości, które by polegały na tym, że codziennie z tymi osobami rozmawiam.

**To są ludzie z branży?**

Jeden jest biznesmenem, drugi ambasadorem, trzeci moim przyjacielem od dziecka. Zresztą nawet gdy balowałem bardzo mocno, to też nie przebywałem w dużym gronie, nie dopuszczałem obcych ludzi do towarzystwa, tylko tych, z którymi dobrze się znałem. A jeżeli już byli jacyś obcy, to tylko na chwilę. Uciekam od ludzi. Robię swoje, czyli gram i zmykam do domu. Kiedyś grałem koncert i balowałem całą noc, następnego dnia znowu koncert, do hotelu i znowu całą noc balanga. Kiedyś mówiłem też, że organizmowi trzeba przypierdolić, bo łaski nie robi, aż w końcu to on mi przypierdolił – zawał serca. No i pomyślałem: „Aha, to teraz będziemy rozmawiali inaczej”.



Sesja do albumu *Kawa i dym*.

W moich snach wciąż Warszawa  
Pełna ulic, placów, drzew  
Rzadko słyszysz tu brawa  
Częściej to drwiący śmiech  
Twarze w metrze są obce  
Bo i po co się znać  
To kosztuje zbyt drogo  
Lepiej jechać i spać  
Wszystko byłoby inne  
Gdybyś tu była, ja wiem  
Nie tak trudne i dziwne  
Gdybyś tu była, ja wiem

*Stacja Warszawa*  
(sł. A. Mogielnicki)

# ROZDZIAŁ 12



*W którym przeglądamy zdjęcia z Florydy i obracamy się wśród znajomych Franka Zappy i Iana Andersona z Jethro Tull. Potem okazuje się, że Red Hot Chilli Peppers szukają nowego gitarzysty i pragną Janka, ale Borysewicz nie chce być po prostu gitarzystą w jakimś zespole, bo posmakował już, co to znaczy komponować. Nie odmawia za to czego innego – trochę trawy, pół tabletki ekstazy oraz kokainy, po której musi zmienić mieszkanie i przyjaciół. Dowiemy się też, jakiego koloru nogi mają ci, co po pejotlu stoją w łodzi, do ilu da się policzyć, kiedy zamykasz oczy, prowadząc samochód po autostradzie, i o kilku innych sprawach, których nie należy robić w domu. Jan wyzna również, co daje człowiekowi siłę, żeby mógł porzucić wszystko, co złe: papierosy, alkohol, prochy, nawet smutek. Tą magiczną mocą okaże się wzięcie w ramiona córki Alicji. Wówczas nasz bohater zrozumie, że od tej pory wszystko będzie już całkiem inne, bo Bóg, który kiedyś odebrał mu kogoś bliskiego, teraz wyrówna z nim rachunki. A na drugą nóżkę – będzie to też rozdział, w którym Jan odpowie na najtrudniejsze z pytań, jakie padają w tej książce.*



## **Rock'n'roll nie jest dla dzieci. Ty przez wiele lat byłeś „wierny” alkoholowi. Kiedy pojawiły się inne substancje?**

Zawsze uciekałem od narkotyków, w ogóle mnie to nie kręciło. Gdy zapaliłem trawę, to w ogóle nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, więc od razu ją skreśliłem. Takie rzeczy nie dla mnie, bo lubię mieć kontrolę nad tym, co robię. Kiedyś na jakiejś imprezie koleś mi coś wsadził pod język. Natychmiast to wyplułem, a on podnosi z ziemi i mówi: „Co ty robisz, człowieku?! To przecież LSD!”. Odparłem, że ja takiego gówna nie biorę. Albo kiedyś graliśmy koncert w Spodku i poznałem ludzi z miasta. Dali nam tabletkę ekstazy. Przełamałem ją na pół i wzięliśmy z Panasewiczem. Dostaliśmy takiego odlotu na tym koncercie, że tylko myśmy się świetnie bawili, a towarzystwo w ogóle nie kumało, o co chodzi. Kiedy ze Spodka jechaliśmy do hotelu w Rybniku, Panas wyjął butelkę ballantine'a, którą zaczęliśmy rozpracowywać. W pewnym momencie patrzemy, a na niebie jakiś totalny odlot – tęcze, łuny, iluminacje. Panas mówi: „Jan, widzisz to?” A ja: „Kurwa, widzę, ja już dziś więcej nie piję!”. Myśleliśmy, że alkohol nam się zmieszał z ekstazy i dostaliśmy totalnego odjazdu. Potem się okazało, że to było otwarcie nowej stacji benzynowej i odbywał się pokaz laserów.

## **Pamiętasz pierwszy raz, kiedy spróbowałeś kokainy?**

To było w okolicy płyty *Na na*, miałem czterdzieści lat. Zatrudniałem menedżera, który po koncercie w Gdańsku zawiózł mnie do pewnego człowieka z Trójmiasta. On nas tym poczęstował. Pamiętam, że mieszkałem w Grand Hotelu. Nie spałem wtedy całą noc, miałem oczy jak lornetki, siedziałem do świtu na balkonie i patrzyłem, jak nade mną zapierdalają mewy. Ja jestem człowiekiem zabawowym, dynamicznym, który myśli i działa szybko, więc koks idealnie się w to wpisał. Nie dość, że mnie podkręcał i zamieniał noc w dzień, to jeszcze mogłem dzięki niemu więcej wypić. Wszedłem w tę kokainę świadomie i z premedytacją, na zasadzie, że teraz mam wolne i robię sobie totalną balangę. No ale okazało się, że zaczęła się jazda bez trzymanki. Pojawiło się wokół mnie jakieś dziwne towarzystwo, które nic nie wносиło

do mojego życia, ale mnie przygnębiało. Bardzo różni ludzie – dzieciaki z dobrych domów, jakiś chuligan, kobitka, która prowadziła swój biznes, politycy. Jedyne, co nas łączyło, to wspólne branie koksu, nic więcej. To trwało tygodniami. Przyszedł moment, że przestałem jeździć na koncerty, tylko imprezowałem z tymi pseudoznajomymi. Totalne zatracenie. Zespół występował beze mnie, oczywiście za moją zgodą. Na gitarze grał za mnie Piotrek, który jest u nas człowiekiem od nagłośnienia. Normalnie dostawałem pieniądze za koncerty, na które nie jeździłem, więc mogłem ćpać bez przerwy.

### **Fani nie mieli problemu z tym, że na koncertach nie ma Borysewicza?**

Mieli duży problem. Ja też miałem duży problem, ale w ogóle o tym nie myślałem wtedy. Musisz pamiętać, że ja zawsze lubiłem ryzyko i jazdę po bandzie, jak kamikadze. Na przykład czasami jadąc samochodem, zamykałem oczy. Oczywiście na prostej drodze, gdy widziałem, że nie ma żadnego zagrożenia, nie ma samochodów. Sprawdzałem, ile mogę wytrzymać i liczyłem: raz, dwa, trzy, cztery... Nie bałem się rzeczy, które innych przerażały. Na przykład alkoholu. Kiedy pierwszy raz napiłem się whisky, to dwa tygodnie wymiotowałem, tak było mi niedobrze. A potem tak się rozsmakowałem, że piłem jak kompot. I nie żałuję tego, bo przeżyłem piękne balangi, wspaniałe chwile. Ale kokaina to był stracony czas. Bo z tego okresu nie mam żadnych fajnych wspomnień.

### **Kiedy rozmawiałem z Johnem Frusciante, powiedział, że po odejściu z Red Hot Chili Peppers u szczytu ich popularności z premedytacją zaczął brać heroinę i świadomie wpadł w nałóg. Mówił, że to dla niego była forma ucieczki od świata blichtru, sławy, ciągłych koncertów, bycia na świeczniku, utraty prywatności. Czy twoje wejście w kokainę było podobnie umotywowane?**

Potrafię zrozumieć Frusciante. Tak, w tamtym okresie byłem wszystkim przemęczony: graniem, jeżdżeniem na koncerty. Może moja głowa tak to sobie poukładała, że kokaina miała być jakimś rodzajem ucieczki? Szybko się okazało, że jest odwrotnie, że jestem jak chomik w kołowrotku. Wszystko mnie zaczęło drażnić, już nie było o czym z tymi ludźmi

rozmawiać, to był totalny bełkot. W pewnym momencie powiedziałem sobie: „Janek, co ty, kurwa, robisz? Stop. Najważniejsze w twoim życiu są granie, komponowanie i zespół”. I po prostu któregoś dnia wywaliłem koks, pozrywałem wszystkie kontakty z tymi toksycznymi osobami, przeprowadziłem się. Koniec. Postanowiłem zacząć wiele rzeczy od początku. Zatrudniłem wtedy Maćka Durczaka, nowego menedżera, i powiedziałem: „Maciek, daję nam pięć lat na to, żebyśmy przywrócili zespół do świetności. Ja siedzę i komponuję, a ty idź i rób swoje”. Dość szybko sprawy wróciły na dobrą drogę. Przez te wszystkie lata, często to powtarzam, balansowaliśmy na krawędzi i naprawdę to się mogło źle skończyć. Skończyło się jednym zawałem i bolącym biodrem, więc uważam, że wziąłem się w garść w odpowiednim czasie. To, co chciałem zrobić w swoim życiu, to przejść rock’n’rollowe szaleństwo. I wyszedłem z tego w zasadzie bez szwanku.



Spodek – sold out.

**Wracając na chwilę do Red Hot Chili Peppers – miałeś szansę zastąpić w tym zespole Johna Frusciante. Jak do tego doszło?**

Miałem kiedyś dwóch menedżerów, jednego w Polsce, drugiego w Stanach. Mieszkał na Long Island. Po koncertach, gdy graliśmy w USA, jeździłem do niego. Szukaliśmy wokalistów, chciałem też coś w Stanach zrobić, dla kogoś komponować. Właśnie wtedy z Red Hot Chili Peppers odszedł Frusciante i szukali muzyka na jego miejsce. Przygotowaliśmy więc nagranie w różnych stylach i wysłaliśmy do nich. I gdy wracałem do Polski, przysłała wiadomość, że chcą umówić się ze mną na przesłuchanie. Ale nie pojechałem.

### **Dlaczego? Przecież Red Hoci to światowa gwiazda!**

I co z tego? Przecież byłbym u nich takim gitarzystą jak w Budce Suflera, to też była gwiazda. A ja to, co mam do powiedzenia, chcę wyrażać własnymi kompozycjami. Ja bym się u kogoś innego uduślił. Nawet u Red Hot Chili Peppers.

### **Spróbowałeś kiedyś czegoś cięższego niż kokaina?**

Nie, daj spokój. Opowiadałem ci już historię, jak umarł Rysiek „Skiba” Skibiński, który jednego dnia grał z nami na scenie, a następnego już nie żył, bo przedawkował heroinę. Powiedziałem sobie, że ja takich rzeczy nigdy w życiu nie wezmę. Poza tym nie kręciły mnie substancje, po których ma się jakieś odloty. Znajomi opowiadali, że po pejotlu mieli takie a takie wizje, na przykład stoją na łożu i nagle patrzą, a ich nogi są całe zielone. To ja mówię: „Po cholerę mam to brać, czy ja potrzebuję mieć zielone nogi? Jak będę chciał, to mogę sobie pomalować”. Więc pejotlu nie spróbowałem. Poza tym nie traktowałem kokainy jak narkotyku. Myślałem o niej jak o lekarstwie. Po niej w ogóle nie czułem bólu, mogłem walić pięścią w stół, złamać go i nic. Po koksie się po prostu non stop gadało, piło i dzięki temu przedłużało sobie imprezę. Kiedyś czytałem, że Inkowie mieli najszybszą pocztę na świecie. Jeden człowiek dostawał woreczek liści koki i biegł pięćdziesiąt kilometrów, padał, potem następny zaczynał biec i w ten sposób robili dwa tysiące kilometrów. Tak sobie wiadomości przesyłali.



Z Panasem na jednej z sesji.

**Niektórym się wydaje, że po kokainie stają się bardziej kreatywni i zyskują niemal nadprzyrodzone możliwości. Potwierdzasz?**

To jest oszustwo, bo człowiekowi się wydaje, że może więcej i zaczyna mówić więcej, a nagle się okazuje, że mówi cały czas to samo. Przychodzą nowi ludzie, a ty dalej mówisz to samo. Ja to wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że to nie ma najmniejszego sensu. Zwłaszcza że coraz częściej musiał pojawiać się lekarz, żeby mi robić odtruwanie. Już miałem tego dosyć. Szczęście w nieszczęściu, że sięgnąłem po koks jako dojrzały człowiek, bo gdybym zaczął jako młody chłopak, to podejrzewam, że mógłbym się wykończyć. A z tą niby-kreatywnością to jest tak, że ja nawet po alkoholu, a co dopiero po kokainie, nie brałem się za komponowanie. W ogóle nie dotykałem instrumentu. Dla mnie to by była potwarz dla gitary, że dotykam jej w takim stanie. Dla mnie instrument to świętość. Dlatego były trzy dni imprezowania, dzień odpoczynku i dopiero potem przez tydzień siedziałem w studio i komponowałem numery. Wszystkie moje utwory zostały zrobione

z czystą głową. Może kiedyś, raz, próbowałem coś nagrać po trawie, ale tego się później słuchać nie dało. A twarde narkotyków nigdy nie brałem. Nie dlatego, że się boję, tylko dlatego, że nie kumałem tego zanieczyszczania krwi po to, żeby złapać jakiś odłot. Uważam, że to, co robią narkomani, to jest jakaś rozpacziwa uciezka.

### **Ty też zawsze uciekałeś w balangę.**

Tak, ale to było na wesoło, to było uciekanie do ludzi, a oni uciekali na smutno, w swoją głowę. Kiedyś przyjechał ze Stanów do Polski pewien biznesmen. To były początki kapitalizmu w Polsce, lata dziewięćdziesiąte. Poznaliśmy się w Harendzie. On podszedł do mnie i zapytał: „Czy można tu gdzieś załatwić kokainę?”. Powiedziałem mu: „Pewnie, że tak, tamten człowiek ma”. Zakumplowałem się z tym biznesmenem, trzy czy cztery razy był u mnie w domu, wynajmowałem wtedy mieszkanie na Koszykowej. Za pierwszym razem rozmawialiśmy, słuchaliśmy muzyki. Pokazywałem mu album ze zdjęciami, które zrobiłem, gdy byłem na Florydzie, on ten album przeglądał. W pewnym momencie patrzy, na zdjęciu jest wystawa, a na niej różne dziwne przedmioty, na przykład pies zrobiony z kapsli, bardzo drogi. I ten człowiek mówi: „To galeria mojej mamy”. Drugi raz zjawił się miesiąc po tym pierwszym spotkaniu i mówi, że jego matka przyjeżdża następnego dnia i czy nie mógłbym mu pożyczyć 300 dolarów, bo on wszystko wydał. Wiadomo, na co wydawał... A potem wziął na łyżeczkę jakąś substancję – nie wiem, co to było – podpałił i powiedział: *See you later*. Ja gadam do człowieka, a jego nie ma. Po prostu go totalnie odcięło. To było przerażające. Po dwunastu minutach nagle potrząsnął głową i mówi: „O, już jestem z powrotem”. Powiem ci, że nawet się cieszę, że zobaczyłem to na własne oczy. Utwierdziłem się w przekonaniu, że takie rzeczy mnie zupełnie nie interesują. Jego odcięło w sekundę. Wyobraź sobie, co się musiało dzieć w jego głowie. Potem przyjechała ta jego mama. Mówię: „Weź ją ze sobą i wpadnijcie na próbę”. Okazało się, że mamusia kumplowała się kiedyś z Frankiem Zappą i była dziewczyną Iana Andersona z zespołu Jethro Tull. Taka historia, która zaczęła się od głupiego albumu i zdjęć z Florydy... Jakiś czas później przenieśli tego faceta do Jugosławii i potem już nie miałem

z nim kontaktu. I chwala Bogu, bo po tym, co zrobił u mnie w domu, nie chciałem mieć z nim już więcej do czynienia.

**W jaki sposób udało ci się wyjść z kokainowego nałogu? Byłeś na jakimś odwyku?**

Nie. Ja z dnia na dzień rzucałm rzeczy. Jeżeli jestem świadomy problemu i mam sprawę ułożoną w głowie, to nie mam z tym najmniejszego problemu. Tak było z papierosami, tak było z kokainą. Z dnia na dzień powiedziałem „do widzenia” i koniec. Nie ma takiej możliwości, żebym zapalił papierosa, nie ma takiej możliwości, żebym wziął jakikolwiek proszek. Mało tego, zawsze uciekałem też od leków przeciwbólowych. Nawet gdy coś mnie boli, to wolę to naturalnie wyleczyć, w sensie sprawdzić, co mi jest, czy to trzeba rozmasować, czy potrzebne są ćwiczenia. Bardzo rzadko boli mnie głowa. Jeżeli już, to najczęściej od razu piję szklankę wody, bo uważam, że za mało się nawodniłem.

**Czyli aktualnie nie pijesz alkoholu, zero kokainy, zero fajek, zero czegokolwiek. To czym się teraz znieczulasz?**

Życiem rodzinnym z moją kobietą, z Małgorzatą. Ona jest absolutną przeciwniczką alkoholu. W naszym domu w ogóle go nie ma. Ja bardzo ją szanuję i nie do pomyslenia jest dla mnie, żeby ją w jakikolwiek sposób zawieść. Tak samo jak i moją córkę Alicję – też bym chciał, żeby była dumna z taty. Mam nadzieję, że tak jest. Czuję satysfakcję, że dałem radę. Bo dziś mogę nakręcać się moją pracą, którą uwielbiam. Zresztą widzisz, jak to traktuję. To jest moje życie. Cieszę się tym, że mogę wyjść na spacer na Pola Mokotowskie z pieskiem albo pojeździć z Gosią na rowerach. Bardzo lubimy wyjeżdżać do Hiszpanii czy do Rzymu, połączyć po fajnych miejscach, pochodzić do muzeów. Takie jest moje dzisiejsze życie, ja się do niego uśmiecham, trochę z ironią, mówiąc sobie czasami w myślach: „No, Janek, kto by się spodziewał, że skończysz jak wzorowy aniołek? Ale to życie mi bardzo pasuje, bo nic mi nie przeszkadza, a kiedyś wszystko mi przeszkadzało. Na niczym nie mogłem się skupić, bo cały czas byłem albo zajęty, albo odpoczywałem, albo balowałem, to było nie do zniesienia. Trzeba było zrobić jakiś radykalny krok. I dziś mam totalny święty spokój. Mogę śmiało wykasować

z telefonu „doktor Szczecin” czy „doktor Wrocław”. Nie jestem jednak świętoszkowatym hipokrytą, który teraz będzie się zarzekał, że już nigdy nie wypije drinka albo nie zrobi jakiejś głupoty. Za dobrze siebie znam, żeby w tej dziedzinie składać ostateczne deklaracje.

**Dlatego na wszelki wypadek telefony do doktorów wciąż są w pamięci telefonu.**

Na razie są, chociażby ze względu na to, że ostatnio pokazywałem chłopakom, bo mi nie wierzyli. Poza tym myślę, że wielu tych lekarzy już ma inne numery telefonu. Nie wiem, dawno nie sprawdzałem. Wiesz, co mnie najbardziej przeraża, gdy widzę kolegę, który kiedyś pił, a teraz nie pije? Ciężko się z nim rozmawia, bo on nic nie chce powiedzieć, jest zamknięty. A gdy wypije drinka, od razu zaczyna gadać. Nie za bardzo to rozumiem. Ja mam cały czas energię i siłę, pogodę ducha. Od dziecka zawsze rano wstawałem uśmiechnięty. Oczywiście były też momenty, kiedy wstawałem bardzo smutny, ale przez większość życia miałem pozytywne nastawienie. Nawet gdy działo się coś złego, zawsze starałem się szukać wyjść, które by mnie nie dołowały, tylko pozwoliły rozwiązać sytuację i sobie z nią poradzić.





Robocze studio w mieszkaniu, 1986 r.

### **Masz po prostu silny instynkt życia.**

Plus potrzebę podążania szczebelku po szczebelku do góry, widzę to po sobie, po tym, jak grałem na przykład dziesięć lat temu, a jak gram teraz. To jest diametralna różnica. Mówię nawet o sprawach technicznych. Gdy znajdziesz swoje brzmienie, to już jest wielki wyczyn, ja to brzmienie mam, jestem rozpoznawalnym gitarzystą. Ale cały czas idę dalej, szukam nowych rozwiązań, zmieniam sprzęt w studio. Chcę z gitarą współpracować. Jakieś piętnaście lat temu Wojtek Pilichowski <sup>[50]</sup> przywiózł mi ze Stanów płytę CD z nagraniem dwugodzinną audycją radiową, w której była muzyka rockowa – przez dwie godziny na żadnym nagraniu nie było ani jednej gitary, same klawisze, sama elektronika. Czyli coś się takiego wydarzyło w muzyce po latach dziewięćdziesiątych, że zaczęto wypierać gitarę. Ale tak się nie da. To jest tak samo jak z prohibicją. Prohibicja się nie sprawdziła i wyparcie gitary też się nie uda. Uważam, że to jest najpiękniejszy instrument, jaki został stworzony, i można go pięknie eksploatować, bawić się nim, układać

harmonię, dźwięki. Oczywiście to nie jest łatwe, żeby zrobić muzykę stricte elektroniczną, też trzeba mieć sporo w głowie. Ale uważam, że jest jej za dużo.

**Był jednak taki moment, kiedy Lady Pank próbowało eksperymentować z elektroniką, zrobiliście przecież płytę *W transie* z tanecznymi remiksami.**

Wtedy wchodziło techno i chciałem spróbować, jak brzmiałyby nasze numery w takich wersjach. Płyta wyszła fajnie, choć od razu wiedziałem, że to będzie jednorazowa sprawa. Wykorzystywaliśmy na koncertach loopy zrobione przez Wojtkę Olszaka<sup>[51]</sup> w studio i dokładaliśmy je do *Zamków na piasku*, *Mniej niż zero* czy *Zostawcie Titanica*. Brzmiało to niesamowicie. Teraz wróciliśmy do surowego grania starych numerów. Kiedy zapraszam na scenę Marcina Nowakowskiego z saksofonem i Wojtkę Olszaka na piano, to nawet ich proszę: „Ale schodźcie ze sceny na stare numery, żeby były grane tak, jak kiedyś nagrywaliśmy je w studio”. Koncerty są dla mnie bardzo ważne, może nawet ważniejsze niż płyty. Bo my gramy dla ludzi i ludzie w pewnym stopniu współtworzą ten zespół. Jeżeli jakikolwiek utwór ma się stać hitem, to żadne radio nie jest do tego potrzebne, fani sami wybierają. Podam ci przykład. Na płycie *Tacy sami* jest utwór *Mała wojna*. Kiedyś po koncercie w Ameryce podszedł do mnie facet i zapytał, dlaczego tego nie gramy, bo to jest genialny kawałek. Dzięki temu człowiekowi po powrocie do Polski zrobiłem nową wersję i wciągnęliśmy *Małą wojnę* na setlistę. I teraz jest petarda. Fani uwielbiają ten numer. Ludzie czasami nam piszą, że chcą na koncertach taki utwór albo taki i my się do tego dostosowujemy. Ale niekiedy sam widzę, że jakiś numer nie cieszyłby się powodzeniem, bo go spróbowałem zagrać i zobaczyłem, że to nie ma sensu. Zaczęliśmy na przykład grać *Zakłócenie porządku*, ale przestaliśmy, bo mnie ręka zaczęła boleć. Nie wiem, jak ja to kiedyś grałem. Kiedy na nowo rejestrowałem ten utwór na płytę *LPI*, musiałem go nagrywać z przerwami. To jest tak szybko grane, że nawet nie jestem w stanie tego zaśpiewać, więc zrezygnowaliśmy. My mamy na tyle dużo materiału, że możemy robić roszady w repertuarze. Duże grupy fanów jeżdżą za nami od sezonu do sezonu. Są na każdym występie, więc muszę

raz na jakiś czas coś zmienić w setliście. I potem mówią: „O, dzisiaj była *Ohyda*!”. Obecnie gramy koncerty po dwie godziny, czyli dłużej niż kiedykolwiek. Teraz mam do tego power, nie jestem przemęczony, tylko chcę robić to, co sobie wymarzyłem. Nie potrzebuję niczego w siebie wlewać ani niczego wachać. I to jest fantastyczne. To jest wolność, to jest moje życie, ja mogę decydować, co z nim robię. Sprawia mi radość, że ja podejmuję decyzje, że coś zaczynam albo coś kończę, tak jak z papierosami, z alkoholem, z kokainą. Dla mnie to nie były trudne decyzje, ale nie podejmowałem ich, dopóki nie okazywało się, że oprócz mnie samego to niszczy jeszcze bliskich mi ludzi. Skończyłem z kokainą nie dlatego, że myślałem o sobie, tylko o bliskich, o ludziach, z którymi pracuję.



Wierni fani przed koncertem na wrocławskim rynku.

**W którym momencie szczególnie poczułeś, że możesz stracić coś ważnego? Taki życiowy punkt zwrotny, po którym już nic nie było takie samo?**

Narodziny mojej córki Alicji. Od razu zdałem sobie sprawę, że ona jest dla mnie ważnym, cudownym zjawiskiem. Pamiętam, jak ją odbierałem

ze szpitala, jak ją niosłem na rękach do samochodu i myślałem, że to jest coś, czego nie mogę zostawić, nie mogę tego zniszczyć, muszę się zajmować Alicją do samego końca, do kiedy tylko będę mógł. A w takich sytuacjach, jak te z kokainą, nie byłem w stanie tego zrobić.

### **Kim jest mama Alicji?**

Nie chcę za dużo mówić o Patrycji ani w ogóle o kobietach, z którymi kiedyś byłem, z szacunku do nich. One mają teraz swoje życia i może nie chcą być wciągane w moje sprawy czy w tę książkę. Chociaż mogę powiedzieć, jak się poznaliśmy, bo to była dość zabawna historia. Byliśmy z Lady Pank na koncercie w Jeleniej Górze i po koncercie poszliśmy do lokalnej dyskoteki. Była tam dziewczyna, która mi się strasznie spodobała, blondynka, miała na głowie czerwoną bandanę. Podszedłem do niej i powiedziałem, że jeżeli jest prostytutką, to ja mam w tym hotelu wspaniały apartament i możemy spędzić fajną noc, a jeżeli nie, to żeby pozwoliła mi ze sobą porozmawiać. Ona wstała i mówi: „Nie jestem prostytutką, ale jak chcesz ze mną porozmawiać, to proszę, usiądź”. I tak się zaczęło. Przez kilka lat tworzyliśmy normalną rodzinę, prowadziliśmy wspólny dom, Alicja chodziła do szkoły. W końcu nadszedł jednak taki czas, że graliśmy z Lady Pank bardzo dużo koncertów, rzadziej bywałem w domu. Któregoś dnia wróciłem z trasy i nikogo w mieszkaniu nie zastałem. Patrycja i Alicja zniknęły. Nie zostawiły żadnej wiadomości, nie mogłem się z nimi skontaktować. Okazało się, że Patrycja zabrała dziecko i wyjechała do Włoch. Przez dwa tygodnie nie miałem kontaktu z córką. A ja ją uwielbiam, jest szczególnie osobą i nie ma dnia, żebym z nią nie esemesował albo nie porozmawiał przez telefon. I nagle się okazuje, że zniknęła bez śladu. To było straszne, potworne. Chodziłem po ścianach, miałem ciągłe napady paniki, nie potrafiłem sobie ze sobą poradzić. Wtedy pojechałem do, już nieżyjącego, znakomitego psychiatry Darka Wasilewskiego. Przepisał mi jakieś lekarstwo, które brałem przez rok, i to był jedyny raz w moim życiu, kiedy musiałem w ten sposób doprowadzić się do równowagi. Darek to był wybitny lekarz. Ja lubię szybko załatwiać sprawy, ale gdy do niego przychodziłem po receptę, to on mnie sam prosił: „Janie, zostań jeszcze trochę, pogadamy, tak się fajnie z tobą rozmawia”. Było mi bardzo

miło, że on w taki sposób poprawiał mi nastrój, który był wtedy bardzo kiepski. Ale ja też często pomagałem ludziom, jak psychiatra, bo gdy ktoś do mnie dzwonił z totalnym dołem, to potrafiłem mu poświęcić mnóstwo czasu. Wielu osobom pomogłem samymi rozmowami, starałem się pokazać, że problemy, które mają, nie są żadnymi problemami w porównaniu do tego, co inni ludzie czasami przechodzą. Wydaje mi się, że w taki sposób powinno się na to patrzeć. Tylko wampirom energetycznym nie poświęcałem swojego czasu. Zawsze od takich ludzi uciekałem.

### **Co sprawiło, że Patrycja postanowiła wyjechać akurat do Włoch?**

Bo poznała tam mężczyznę. Najprostsze wytłumaczenie. Do Włoch jeździliśmy razem na wakacje, potem ona jeździła sama, gdy ja byłem na koncertach. Aż pewnego dnia postanowiła zabrać nasze dziecko i się przenieść.

### **Jaka jest teraz twoja relacja z córką?**

Codziennie rozmawiamy, Alicja przylatuje do mnie albo ja do niej. To jedyny możliwy układ, bo inaczej ona musiałaby się przeprowadzić do Polski albo ja do Włoch. Dzisiaj jestem już dużo spokojniejszy, bo Alicja ma dwadzieścia cztery lata, jest dorosłym człowiekiem, chociaż dla mnie nadal jest dzieckiem i cały czas do niej mówię „niunia malutka”. Więc trzymam rękę na pulsie, pilnuję, żeby nic złego się jej nie działo, ostrzegam przed różnymi sytuacjami. Jestem bardzo zadowolony, bo ma narzeczonego, naprawdę fajnego chłopaka – Włocha, który skończył prawo. Są razem już kilka lat i bardzo bym chciał, żeby byli ze sobą już zawsze. Gdy na nich patrzę, przypominają mi o dużym spokoju, który zawsze chciałem w życiu mieć, a nie miałem. Tylko z drugiej strony to nie jest mój temperament, nie potrafiłbym tak żyć. Ja zawsze musiałem być w żywiole, cały czas musiało się coś dziać. I nadal musi. Teraz mam sześćdziesiąt sześć lat i wciąż to lubię. Niedawno jechałem samochodem na koncert do Zamościa, dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Nagle nawigacja mi pokazuje, że będę za wcześnie, że zamiast na szesnastą dojadę na piętnastą piętnaście. Zwolniłem więc i jechałem sto dziesięć. Myślałem, że oszaleję. Gdy dojechałem na miejsce, byłem tak zmęczony,

jakbym jechał, kurwa, dziesięć godzin. Wyobrażasz sobie? To jest najlepszy przykład tego, jakim jestem człowiekiem. Jestem jak bateria, która nie może się rozładować.



Z córką Alicją w studio Polskiego Radia na Woronicza.

## **Wysłałeś Alicji swoje piosenki? Ona jest twoją recenzentką czy muzyka nie za bardzo ją interesuje?**

Gdy jestem bardzo zadowolony, podekscytowany czymś, co zrobiłem, to jej wysyłam. Alicja czasami komentuje: „Ale super”. A czasami, gdy mi nic nie odpowiada, to znaczy, że nie było dobre. Ale ja tak samo robię, gdy ktoś mi wysłał jakieś nagranie i mówi: „Zobacz, jakie fajne zrobiłem”. Nie wiem, co mam odpowiedzieć. Czuję, że ktoś jest przejęty tym, co stworzył, i co mam mu napisać? „Stary, to jest kiepskie”? Teraz jestem ostrożniejszy. Kiedyś potrafiłem powiedzieć od razu: „Weź to pomaluj na zielono i wypierdol w trawę, bo to jest do niczego”. Byłem bardziej bezpośredni i nawet jeżeli komuś to nie pasowało, i mógł się poczuć urażony, to waliłem prosto z mostu, bo chciałem w ten sposób skłonić człowieka, żeby coś zmienił. Czasami robiłem to naprawdę w dobrej wierze, ale też w taki sposób, że ludzie odbierali to na zasadzie „ale cham!”. A mi chodziło tylko o to, żeby pokazać, że droga, którą dany człowiek idzie, jest niedobra.

## **Ktoś przynosił ci swoje dziecko, a ty mówiłeś: „Kurwa, jakie brzydkie”. Wiesz, jak człowiek wtedy reaguje... Co dało ci najmocniejszy impuls do zmiany swoich zachowań? Narodziny dziecka? Świadomość, że możesz ranić ludzi?**

Przede wszystkim chciałem zmienić niektóre rzeczy, ponieważ mnie samego denerwowały. Nad paroma jeszcze muszę zapanować i pewnie będę się z tym mierzył już do końca. Na przykład ze swoją porywcznością. Drugi powód to odpowiedzialność za Lady Pank. Bardzo dużo zaryzykowałem, zakładając ten zespół, i nie pozwolę, żeby to się rozpieprzyło. Prowadzenie firmy to wielka sztuka: zarządzanie marką, ludźmi, trwałością tego procesu. Czasami wyprowadza mnie to z równowagi, niestety. Nie mam spokojnej głowy, żeby sobie na luzie siedzieć i pracować nad muzyką, bo idę do studia i za chwilę dostaję telefon, że trzeba wyjaśnić tę sprawę, tamtą sprawę, jeszcze inną, i mijają trzy dni, a ja przez ten czas nie nagrałem ani jednej nuty.

## **Powiedziałeś, że gdy urodziła się Alicja, to zapanowała jasność, jakiej wcześniej nie doświadczyłeś. Ale przecież miałeś już starszą**

**córkę – Joasię. Mówiłeś mi już, że kiedy się urodziła, było za wcześnie, żebyś mógł być świadomym ojcem. Ale potem, gdy stałeś się bardziej dojrzałym facetem, mogłeś tę więź odbudować. Tak się jednak nie wydarzyło. Dlaczego?**

Starałem się, naprawdę, ale nie wyszło nam stworzenie tej relacji. Ona jest moją córką, ale naprawdę nie jestem w stanie zapanować nad tym, że to jest... Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Marcin, to jest trudny temat. To jest dla mnie bliska, ale jednocześnie obca osoba, rozumiesz? Ja nie wychowywałem tego dziecka, bo ona została przy matce. Spotkałem ją po latach, gdy miała czternaście lat, była totalnie zagubionym dzieckiem, otoczonym niewłaściwymi ludźmi, którzy sprowadzali ją na złą drogę. Chciałem ją wysłać do jakiejś szkoły z internatem, do takich sióstr zakonnych, bo widziałem, że to dziecko jest w rozsypce. Ja się też do tego przyczyniłem, bo po tej mojej wrocławskiej aferze ona nie miała łatwo. Zapytała mnie wtedy: „Tatusi, czy ja bym nie mogła zmienić nazwiska? Bo mi wszyscy dokuczają w szkole”. Nie potrafiłem wówczas dać jej siebie, za dużo rzeczy się zbiegło w tamtym czasie i sam potrzebowałem odpoczynku. Może dlatego dziś tak trudno mi o tym mówić, bo wiem, że jako ojciec po prostu nie dałem wtedy rady. A potem, kiedy Aśka dorosła, nie widać było, że łączy nas jakaś więź. Nasze spotkania były jak spotkania kumpli, a nie rodziny.

**Masz teraz stały kontakt z Joanną, podobnie jak z Alicją?**

Raczej sporadyczny, jakieś tam życzenia sobie wysyłamy na święta... Ja zresztą Aśce w pewnym momencie powiedziałem, że ona ma mieć swoje życie. Jest dorosłą osobą, ma swoje dzieci i nie chciałbym, żeby mnie obarczała winą za to, że nie jestem blisko. Tak się niestety czasami w życiu dzieje.

**W 2013 roku Joanna została skazana na dwa lata więzienia za umawianie bogatych klientów z dziewczynami do wynajęcia, czyli tak zwane sutenerstwo, które kwitło pod egidą jej agencji modelek. Jak zareagowałeś na tę sprawę?**

Jeszcze raz powtarzam – ja jej nie wychowywałem, nie kształtowałem jej systemu wartości. Poza tym, z tego, co wiem, to nie była tylko jej



sprawa, ale też sprawa jej matki. Trudno mi to jakkolwiek komentować, bo nie znam szczegółów, nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Podobnie jak wtedy, gdy Aśka pokazała się naga w „Playboyu” i zadzwonił do mnie jeden z dziennikarzy, pytając, co ja na to? Powiedziałem, że moja córka ma skończone osiemnaście lat i własne życie, więc nic mi do tego. To tak jakby ona miała odpowiadać za to, że jej ojciec we Wrocławiu zachował się tak czy inaczej. Mogę jedynie powiedzieć, że gdy do mnie zadzwoniła, że jest jakaś historia z prokuratorem, to ja jej pomagałem, żeby nie miała jeszcze większych problemów. Gdy miała wypadek samochodowy, to też byłem przy niej w szpitalu. Ona jest moją córką, moim dzieckiem, tylko po prostu nasza relacja jest zupełnie inna niż z Alicją. Przy Alicji czuję się taki spojony, jakbyśmy byli jednością. Być może dlatego, że kiedy wynosiłem ją ze szpitala, tuląc do siebie, miałem poczucie, że ona jest dla mnie prezentem od losu za moją zmarłą mamę. Że Bóg mi odebrał jedną ukochaną osobę, a w zamian zesłał inną.

### **Joanna ma dwójkę dzieci. Jakim jesteś dziadkiem? Masz kontakt z wnukami?**

Nie za bardzo, skoro nie mam z własną córką bliskich kontaktów, to z wnukami też średnio.

### **Twój wnuk Aleks przeszedł korektę płci. Piotrek Jacoń, dziennikarz z TVN24, napisał niedawno książkę o swojej transpłciowej córce i to spotkało się z bardzo różnym przyjęciem, bo jednak większość ludzi jest kompletnie niewydukuwana w tej sprawie. Traktuje to jako fanaberię i modę, a nie walkę o swoją prawdziwą tożsamość.**

Uważam, że jeżeli ktoś ma silne pragnienie, żeby uzgodnić płęć, to znaczy, że tego realnie potrzebuje, ja to uważam za naturalne. Dlaczego człowiek ma się męczyć w obcej skórze? Śmieję się tylko czasami, że jeszcze niedawno, gdy Aleks dzwonił, to wyświetlało mi się imię, pod którym wcześniej go znaliśmy, bo nie zmieniałem opisu w telefonie. Dopiero niedawno Aleks przyjechał do mnie na koncert i wypiliśmy później po drinku.

**To musiało być niezwykle doświadczenie.**

Tak. Przyszedł w skórach, w glanach. Widziałem przez lata, że nie był zbyt szczęśliwym człowiekiem, ale kiedy spotkałem go po korekcie płci, nagle jakby ktoś z tej osoby zdjął wielki ciężar. Uważam, że takich decyzji nie powinno się blokować, ale – tak jak mówisz – strasznie dużo ludzi jest niewyedukowanych i to jeszcze zajmie lata, żeby większość dorosła do pewnych spraw.



Podczas komponowania płyty *Miya* Jana Bo, 2009 r.

Na co komu dziś wczorajsza miłość  
Na co komu dziś wczorajszy sen  
Po co dalej pić to samo piwo  
Kiedy czujesz, że uleciał gaz

*Na co komu dziś*  
(sł. B. Olewicz)

# ROZDZIAŁ 13



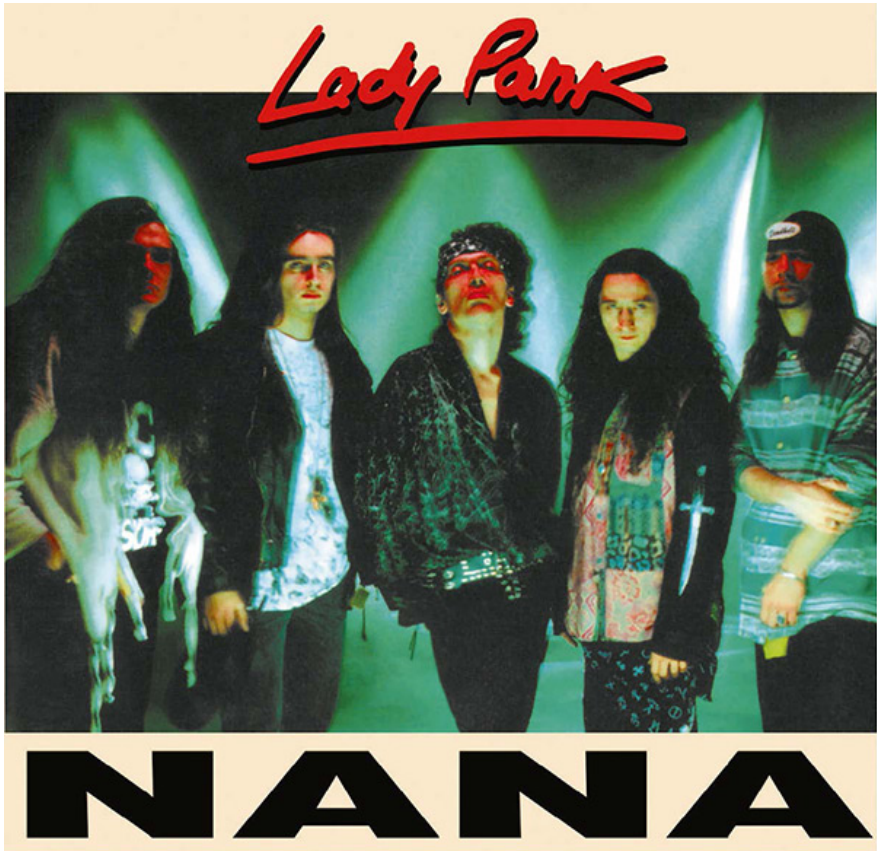
*W którym usłyszymy, jak pewien biznesmen kupuje żonie brylanty, a potem leci na Hawaje z kochanką, ale zawsze wraca tam, gdzie trzeba. Zobaczymy też, jak współtwórca Lady Pank, Andrzej Mogielnicki, bierze psy i biegną razem po plaży, a Jan Borysewicz staje przed mikrofonem i mówi fanom, że ma dosyć grania. Wciąż bardziej obcy i chce zagrać nową muzykę. Fani tego nie rozumieją. Za to Czesław Niemen – już tak. Następnie Jan dzwoni do pewnego dziennikarza z radia i pyta, czyby z nim trochę nie pograł w zespole. Okazuje się, że by pograł. Kiedy ruszają z koncertami na Śląsk, ściany w hali widowiskowej obwieszane są transparentami wyborczymi. A nie taka była umowa. Chłopaki zgarniają kasę i jak w gangsterskim filmie, dają nogę. W tym rozdziale dowiemy się też, co lider Lady Pank sądzi o przeróżnych zespołach, które może i grały dobre piosenki, ale nigdy nie miały prawdziwych przebojów, i kogo naprawdę szanuje za to, jaką robi muzykę. Mistrz wyzna nam również, dlaczego od lat kocha dziada w prochowcu oraz na co trzeba wziąć jakie prochy.*

**Historia Lady Pank da się podzielić na dwa okresy. Pierwszy z nich zakończył się rozpadem zespołu w USA, drugi trwa do dziś. Rozpoczął się w 1994 roku, kiedy przyjąłeś do zespołu trzech nowych, młodziutkich muzyków: Krzyska Kieliszkiewicza, Kubę Jabłońskiego i Andrzeja Łabędzkiego. Dlaczego właśnie ich?**

Kuba wydał mi się takim perkusistą, którego potrzebuję, i to był najlepszy wybór w tamtym czasie. Słyszałem, jak grał z Kazikiem na Żywo, i wtedy już zwróciłem na niego uwagę. Zadzwoiłem do Radia WAWA, w którym prowadził audycję, i zaprosiłem go na próbę. Ten chłopak bardzo się rozwinął, skończył szkołę muzyczną, to jest człowiek, do którego miałem zaufanie i wiedziałem, że z roku na rok będzie robił postępy i zagra rzeczy, które mi chodzą po głowie. Naprawdę dużym sprawdzianem dla perkusisty jest pierwsza płyta Lady Pank, to szansa na prawdziwy popis dla pałkera. Kuba sobie z tym poradził i wiedziałem, że mogę liczyć na więcej. Kielicha wziąłem dlatego, że oni grali ze sobą wcześniej i byli już zgrani. Nie chciałem basisty, który dopiero będzie musiał się dotrzeć z resztą. Z Kielichem przeprowadziłem też kilka rozmów i wydał mi się bardzo rozsądnym kolesiem, fajnym, mądrym. Nabrałem pewności, że stworzą sekcję, która wtedy była mi potrzebna. Powiedziałem im na samym początku: „Panowie, pamiętajcie, wy macie się uczyć ode mnie, macie grać jak najwięcej, jak spełnicie te warunki, będziemy grali długo, jak nie, to was wypierdolę”. Oni na to: „Będziemy się starać”. Po jakimś czasie oczywiście zauważyłem, że są braki, że zespół osiadł. Przestali się rozwijać, a ja tego bardzo nie lubię. Oni powinni mnie gonić, tymczasem ja szedłem do przodu, a oni tkwili w tym samym miejscu, co wcześniej. Zagoniłem ich więc bardzo mocno do pracy. Po dwóch latach zobaczyłem efekty i na próbie przed koncertem – wielka pusta hala, my na dużej scenie – powiedziałem im: „Panowie, właśnie do takiego miejsca chciałem, żebyśmy doszli. To, że czasem jestem dla was niedobry, nie wynika z mojej chęci dopierdalania się dla zasady, tylko dlatego, że chcę, aby Lady Pank ciągle rosło, a wy razem z nim”.

Najmłodszym członkiem zespołu był gitarzysta Adam Łabędzki, który miał wtedy niecałe dziewiętnaście lat. Na początku był jedynym w Lady Pank, któremu nie pozwalałeś pić alkoholu.

Nie chciałem go od razu zdeprawować, musiałem dać mu trochę czasu, żeby zobaczył, jak to jest...



Okładka *Na na*, jednej z najpopularniejszych płyt Lady Pank.

**Podobno pierwszy raz napił się z tobą po tym, jak stanął w czyjejś obronie?**

Jechał gdzieś kolejką podmiejską. Na jednej ze stacji wsiadło kilku zbirów, którzy zaczęli zaczepiać jakiegoś chłopaka. Andrzej się wtrącił i wszyscy dostali bęcki, ale Łabędzkiemu i innym ludziom, którzy się włączyli do tej awantury, udało się na najbliższej stacji wypchnąć zbirów

z pociągu. Andrzej przyjechał do studia i o tym opowiedział, był bardzo podekscytowany, miał limo. A ponieważ ja zawsze byłem przygotowany, miałem flaszkę Johnny'ego Walkera, nalałem mu i mówię: „Musisz wypić tę szklanekę, ja wypiję z tobą. Brawo, Jędrus!”. To był świetny czas dla zespołu. Poczujęm się tak, jakbym wymienił w Lady Pank zużytą baterię, od razu zaczęliśmy jechać do przodu z nową energią świeżej krwi i na tej fali nagraliśmy płytę *Na na*, jedną z najlepszych i najlepiej przyjętych w naszej karierze.

### **Jaką rolę przyjąłeś wobec tych chłopaków, gdy ich wzięłeś do zespołu – mentora, wychowawcy, ojca, partnera?**

Wszystkie, które wymieniłeś. Opiekowałem się nimi, starałem się im dawać rady artystyczne, muzyczne, no i oczywiście deprawowałem ich balangowo, bo weszli w świat, którego może wcześniej nie znali. Natomiast gdy poznali Jana, ich życie stało się niebotycznie piękniejsze.

### **Zacząli nagle balować z hrabią Draculą?**

Coraz większe oczy im się robiły. Oczywiście jakaś kontrola nad nimi była. Do czasu, kiedy ja sam jej nie traciłem... Wtedy to oni byli tymi rozsądnymi.

**Wielokrotnie wspominałeś, że Lady Pank starało się być zespołem zaangażowanym, ty też nigdy nie byłeś obojętny politycznie. Tymczasem pojawiały się głosy z muzycznego środowiska, że byliście koniunkturalistami, którzy nie walczyli z systemem, tylko się z nim układali. Taką opinię sformułował między innymi Tomasz Budzyński, lider punkowej Armii.**

Ja uważam, że walczyłem, i to bardzo ostro. Walczyłem na ulicach i w numerach, które robiłem i do których Andrzej Mogielnicki pisał teksty. Myśmy wprost walnęli: *Zamki na piasku*, *Mniej niż zero*, *Fabryka małąp*. Mało? Przecież to było takie pierdolnięcie, że nam zabraniali wykonywać niektóre utwory na koncertach. Ja sobie nic z tego nie robiłem, wychodziłem i grałem, a potem musieliśmy uciekać. Po tym, jak we Wrocławiu milicję wyrzuciłem z Hali Ludowej, musiałem się ukrywać, bo mnie esbecja ścigała. To była nasza walka, w ten sposób się



wypowiadaliśmy. A co, mieliśmy drukować ulotki po piwnicach? Bez przesady. Poza tym ten zespół, który wymieniasz, oraz jemu podobne nie grały muzyki popularnej, a ja komponuję utwory, które są chwytliwe i stają się przebojami. Takie gadanie, że Lady Pank nie było zespołem zaangażowanym, mnie w ogóle nie ruszało. Odbierałem to tylko jako zazdrość o naszą popularność. Nie chce mi się nawet dalej komentować tego typu bredni, bo szczerze mówiąc, mam takie opinie w dupie. Myśmy zawsze grali swoje. Z zasady nie występowaliśmy tylko na jakichś partyjnych spędach politycznych. Mało tego – w kontraktach mieliśmy zapisane, że na koncertach ma nie być żadnej agitacji politycznej. Pamiętam, że pojechaliśmy kiedyś na koncert na Śląsk. Akurat SLD prowadziło wtedy kampanię. Przyjeżdżamy, a cała hala obwieszona ich flagami i balonikami. Mówię: „Kielich, wysiądź z samochodu, idź do organizatora, weź pieniądze i powiedz, że my za chwileczkę przyjdziemy, idziemy do hotelu się przebrać i zaraz wracamy”. Wzięliśmy te pieniądze, wsiedliśmy w samochód i mówię: „A teraz, kurwa, wszyscy z powrotem do Warszawy”. Dopiero po godzinie się zorientowali i wysłali za nami radiowozy. Urban opisał tę historię w swojej gazecie, dając jej tytuł *Lady kant*. A myśmy tylko trzymali się podpisanej umowy. Miało nie być żadnych agitacji politycznych? No, to proszę nie mieć do nas pretensji. Daliście ciała, to teraz macie tego konsekwencje.



Sesja do płyty *LP40*, od lewej: Janusz Panasewicz, Krzysztof Kieliszkiwicz, Jan Borysewicz, Jakub Jabłoński.

**A nie kusiło cię nigdy – wzorem na przykład Kukiza czy Cugowskiego – żeby w polityce aktywnie podziałać? Skoro nie podoba ci się świat wokół ciebie, to dlaczego nie spróbować go zmienić?**

W życiu. Polityka ma w sobie coś, co mnie zawsze odpychało. Rozmawiałem z ludźmi, którzy byli blisko niej, i doszedłem do wniosku, że to są osoby, którym nie mogę ufać. Non stop zmieniają zdanie: „No dobra, tak zrobiłem, bo wtedy tak było, a teraz robię inaczej”. Dla mnie to jest siedzenie w notorycznym kłamstwie. Zresztą ja jestem buntownikiem, ja bym chciał walczyć, a nie lawirować w polityce.

**Po wrocławskiej aferze rozstaliście się na wiele lat z Andrzejem Mogielnickim, który odciął się wtedy od zespołu, zresztą nie przebierając w słowach. W jakich dziś jesteście relacjach?**

Faktycznie, był taki moment, kiedy nam się z Mogielem drogi rozjechały, ale ja go zawsze nosiłem w sercu. Wiem, że bez niego nie byłoby Lady

Pank. Wszystkie teksty, które Andrzej napisał na pierwszą płytę, są aktualne do dzisiaj. Natomiast uważam, że aby dzisiaj pisać rzeczy istotne, trzeba być mocno wprzęgniętym w rytm wydarzeń aktualnego świata, a Andrzej świadomie się z niego wypisał. Ma piękny dom w ciepłych krajach, ma na wszystko wyrąbane. Bierze psy i idzie pobiegać na plażę albo wskakuje do basenu i się relaksuje. Zresztą zasłużył na to, zapracował przez te wszystkie lata, nie tylko przy Lady Pank, bo pisał też naprawdę znakomite teksty dla innych wykonawców. Ale z drugiej strony cały czas go namawiam, żeby jeszcze coś zrobić. Wierzę, że w jego głowie jest mnóstwo pomysłów. To jest bardzo inteligentny facet, z którym zawsze znakomicie mi się pracowało, i bardzo wierzę w to, że razem nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa.



Plakat zapowiadający koncert Jana Bo, po lewej Wojciech Pilichowski, z prawej Jakub Jabłoński.

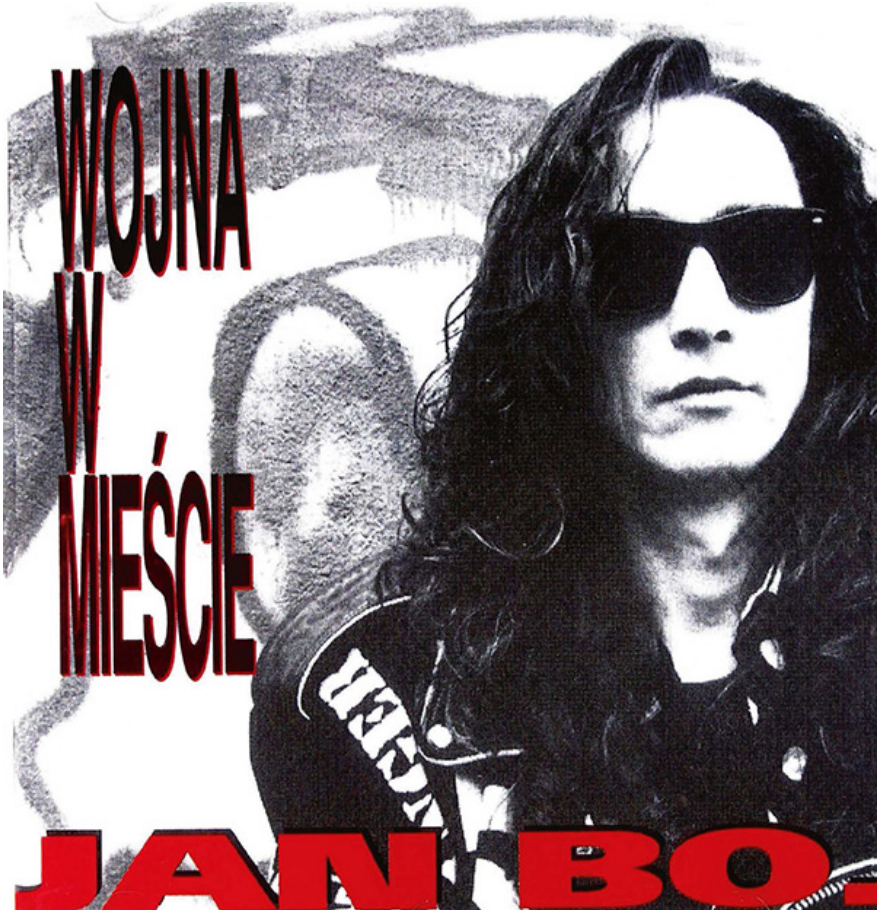
**Równoległe do reaktywowania zespołu próbowałeś budować swoją solową karierę jako Jan Bo. Twój debiut *Wojna w mieście* ukazał się jeszcze przed rozpadem pierwszego składu Lady Pank. Krytycy byli tą płytą zachwyceni, fani mniej. Co nie zadziało?**

Gdy jako Jan Bo dawałem pierwszy solowy koncert w warszawskim Parku, to bardzo dużo fanów przyszło na Lady Pank. Grałem swoje utwory, a oni chcieli *Obcego*. To mnie w jakimś stopniu zdruzgotało. Nawet podszedłem do mikrofonu i powiedziałem: „Tu nie będzie hitów Lady Pank. Posłuchajcie, to jest trochę inna muzyka. Dajcie mi się wykazać w innych formach”. Fani oczekują, że to, co polubili, nie będzie się zmieniać. A trzeba rozumieć, że artysta chce się rozwijać i robić nowe rzeczy. Potem nie miałem już ochoty grać tych koncertów. Dla mnie nagrodą było na przykład to, że moją płytę pochwalił Czesław Niemen. Kiedyś mieliśmy okazję wspólnie wystąpić, Ewa Bem zaprosiła nas do Teatru Polskiego. Usiadłem w garderobie z Niemenem: „Czesław, wydaje mi się, że już czas, żebyśmy coś razem nagrali”. To było ze dwadzieścia lat temu. Na co on: „Ale po co, ty masz tak znakomitych muzyków, tak świetnie grasz, a ja sobie tam pimpam na tych klawiszach. Znakomita ta twoja płyta *Wojna w mieście*, często jej słucham”.

### **Dużo sobie obiecywałeś po solowej karierze? Myślałeś, że muzyka Jana Bo padnie na podatny grunt? Że ludzie to bardziej docenią?**

Myślałem, że zagram przynajmniej z dziesięć fajnych koncertów w roku. I być może gdybym miał rozsądnego menedżera i sam był rozsądny w tamtym czasie, to inaczej by się to potoczyło. Bo jeżeli chodzi o materiał muzyczny, to była petarda, trzeba było tylko przysiąść, przyłożyć się do właściwej promocji. Bardzo chciałem posiłkować się jakimś wokalistą, ale nie mogłem znaleźć żadnego, który mógłby mnie wspomóc w tych moich działaniach. Ale od tamtej pory przestawiłem swoje myślenie o solowej karierze. Jest taki zespół, Steely Dan. Uwielbiam tę kapelę. Sprzedali więcej płyt niż Michael Jackson, a przez kilka lat nie zagrali żadnego koncertu. I tak robię z Janem Bo – to jest moja odskocznia. Nagrywam solową płytę, ale nie muszę promować jej koncertami. Chyba po prostu męczę się, mając coś innego na boku, kiedy jednocześnie gram aktywnie z Lady Pank. To jest trochę tak, jakby facet miał żonę i kochankę. Żonie kupuje brylanty i zapewnia, że ją kocha, a kochankę zabiera na służbowe wyjazdy. Taki tryb życia musi być bardzo wyczerpujący. Lady Pank to firma, a Jan Bo to hobby, gdzie bawię się muzyką i – trochę nieskromnie powiem – pokazuję swoje

umiejętności jako instrumentalista. To jest zupełnie inna muza, która pojawia się co jakiś czas podczas tych moich ćwiczeń: nagle buch, teraz chcę zrobić taką płytę. To też pokazuje, na jakim etapie jestem w danym czasie. Gdy po trzech czy pięciu latach nagrywam następną płytę Jana Bo, to ona jest dojralsza, widać, że mój styl grania na gitarze jest coraz fajniejszy i te albumy są coraz lepiej wyprodukowane.



Okładka płyty *Wojna w mieście* Jana Bo.

Jaką rolę w twojej pracy przy płytach pełni producent, skoro i tak zawsze masz kompletną wizję tego, co chcesz osiągnąć? Wydaje się zbędny.

Wręcz przeciwnie! Nagrywam ślady i mówię mu: „Ja chcę takie brzmienie basu, takie gitar, chórków, wokalu, wszystkiego”. A potem już nie przyjeżdżam na zgranie i tu jest właśnie rola producenta, żeby on mi zrobił tę płytę tak, jak on uważa. Czyli ja daję cały materiał, podstawę, a potem zostawiam wolną rękę. Nie poradziłbym sobie z tym, bo zgrywanie jest koszmarną rzeczą, trzeba umieć to robić. Ja tego nie potrafię, a jak czegoś nie potrafię, to tego nie robię.

### **Czyli producent ma nieco ograniczoną rolę, jest bardziej realizatorem dźwięku. Nie pracujesz z producentami, którzy forsują swoje wizje?**

Nie próbowałem, szczerze mówiąc. Przy ostatniej płycie też nagrywałem u siebie klawisze i wysyłałem je jako przykład tego, o co mi chodzi. Ale chyba jeszcze nie pracowałem z producentem z taką kreatywną wizją... być może spróbuję. Tylko trochę się obawiam, że to może być tak, jak zrobił w Anglii producent z naszą amerykańską wersją *Lady Pank*, którą przemiksował i podbił na rockowo, co było bez sensu.

### **W dzisiejszych czasach bardzo często to właśnie produkcja „robi robotę”, bo w studio da się stworzyć niemal wszystko, nawet sprawić, że ktoś, kto na żywo nie umie śpiewać, na płycie będzie brzmiał znakomicie. A skoro już jesteśmy przy nowej muzyce, czy spośród dzisiejszych polskich młodziaków jest ktoś, kogo szczerze podziwiasz? Włączasz jego płytę i mówisz: „Wow, to jest dobra rzecz”?**

Z polskich zespołów bardzo podobała mi się Coma. Byli znakomici, żałuję, że się rozwiązali. Rogucki jako wokalista, frontman, był genialny. Krzysiek Zalewski również jest zdolniaczą. Nie jest to artysta, którego słuchałbym na okrągło, ale cieszę się, że mu się udało, ma swoją wizję. Kiedyś zaproponowałem mu, że napiszę dla niego utwór, bo myślałem, że czasami współpracuje z innymi kompozytorami. A Krzychu mi odpisał: „Jan, wiesz, ja bym chciał tak jak ty robić swoje, komponować samemu”. Ja na to: „O, sorry, nie wiedziałem. Oczywiście, szacun, rób swoje”. Wydaje mi się, że on ma duże możliwości, i nie jestem do końca przekonany, czy te rzeczy, które robi w tej chwili, są na miarę jego talentu. Bardzo podoba mi się Daria Zawiałow, nieźle kombinuje. Gdy

się spotkaliśmy po jakimś wspólnym koncercie, powiedziałem jej, że szanuję to, co robi, i że dawno nie słyszałem czegoś tak fajnego. Mocno jej kibicuję, bo ona się ciekawie rozwija. Ma coś takiego, takie parcie do przodu, jakie ja miałem jako młody chłopak. Widzę to w niej i to mnie fascynuje. Podoba mi się też Organek, nawet mieliśmy razem z nim i Maleńczukiem zrobić płytę. „Ja, Janek i Organek”. Maleńczuk wymyślił tę nazwę, zresztą bardzo fajną. Tylko jak tu znaleźć czas? Maleńczuk gra, ja gram, Organek cały czas gra albo pisze książki. Świetny facet, świetnie komponuje. To jest prawdziwy artysta, taki, który może zagrać bluesa, techno, cokolwiek. Robi dokładnie to, co ja przez całe życie, czyli bawi się muzyką. On nas jeszcze wiele razy zaskoczy. Za każdym razem, gdy z Tomkiem rozmawiam: „Jan, niebawem zrobimy coś, tylko książkę skończę”. Skończył książkę, robi płytę. „Zrobimy na pewno, tylko robię płytę. Daję ci słowo, że coś zrobimy”. I tak w kółko. On jest wielkim fanem mojego talentu i również *Wojny w mieście*. Twierdzi, że się na tym wychował. Bardzo go lubię i szanuję. Mrozu mi się jeszcze podoba. Ma energię. On i jego zespół się bawią, wychodzą na scenę z jajem, robią show. Gdy ktoś wypuści dobry numer, to dzwonię albo piszę. Do Mroza wysłałem esemes: „Mrozu, zajebisty nowy kawałek”. Odpisał: „Dzięki, mistrzu”. Uważam, że my, muzycy, powinniśmy się bardziej wspierać. Gdybym w przyszłości nadal miał taki power, jak teraz, to chciałbym się zająć jakimś zespołem, komponować dla niego na początku, pomóc stworzyć ciekawy projekt. To nie jest łatwe, bo większość muzyków chce w kapeli rządzić, a czasami nie mają do tego predyspozycji ani nie potrafią komponować. Uważam, że mógłbym być dobrym mentorem.

**Prawie za każdym razem, kiedy się u ciebie spotykamy, w tle gra duży telewizor, centralne miejsce twojego salonu. Pogadajmy na koniec o Janie prywatnym. Jesteś nałogowym pożeraczem migających obrazków?**

Telewizja ma dla mnie bardzo duże znaczenie. Ja chyba obejrzałem wszystkie filmy, wszystkie bajki. A bajki dlatego, że jako dziecko miałem ich niedosyt. Już jako dorosły człowiek kupiłem projektor, z którego obraz rzucało się na ścianę, i oglądałem *Wilka i Zająca*. Śmiałem się,

że gdybym miał się na tym wychowywać, tobym oszalał. Podczas mojego pierwszego wyjazdu do Stanów siedziałem w pokoju hotelowym i non stop oglądałem bajki. *Królika Bugsa* znam wszystko. Nie ma chyba odcinka, którego bym nie widział. Do dzisiaj uwielbiam seriale, na przykład ciągle wracam do *Columbo* i za każdym razem odkrywam coś nowego. Rok nie oglądam, potem znowu puszczają całą serię i jadę od początku. Moja Gosia tego nie cierpi i mówi: „Jak ty możesz to oglądać? Dziad w prochowcu!” A to jest naprawdę znakomicie zrobiony serial, zupełnie inny od tych, które powstawały w tamtym czasie. *Kojak* nie za bardzo mi się podobał, ale *Columbo* – facet pięknie to zagrał. Jeżeli chodzi o filmy, to jest parę takich, które zrobiły na mnie wrażenie. Z czasów, kiedy zakładałem zespół, miałem dwadzieścia kilka lat, pamiętam pierwszego *Rambo* z Sylvestrem Stallone. Kupiliśmy na czarnym rynku jakąś straszną wersję na VHS, tu ciemno, tu jaśniej, miejscami w ogóle brak obrazu, a myśmy to oglądali jak szaleni. *Pluton* Oliviera Stone’a ogromnie mnie poruszył. Może dlatego, że to były czasy, kiedy nie mieliśmy dostępu do wielu filmów. Nie lubię takich typowych horrorów, że ktoś lata z siekierą i zabija piętnaście osób. Chyba że filmy oparte na prawdziwych horrorach z życia – te oglądam, interesuje mnie psychika człowieka, w jaki sposób działał, jak to się stało, że dopuścił się tak strasznych czynów. Tak jak ten Norweg, Anders Breivik, który na wyspie Utoya pozabijał tylu ludzi. Cieszę się, że powstał Netflix, bo produkuje seriale, które przypominają mi te z lat osiemdziesiątych, są podobnie kręcone. Odpoczywam przy nich. Telewizja, filmy, seriale zawsze mi się kojarzyły z powrotem do domu, to był czas na totalny relaks, oczyszczenie głowy z tego, co się działo podczas trasy, a trasa potrafiła niekiedy trwać nawet trzy, cztery miesiące. Czasami brałem się na wyjazdach za książki, choć nie za często. Przeczytałem mnóstwo rzeczy Stephena Kinga. Ktoś mnie kiedyś zapytał: „Dlaczego ty Kinga czytasz? To są horrory”. Odpowiedziałem: „Człowieku, ten facet pisze niesamowite rzeczy”. Czasami nawet nie chodziło o fabułę, tylko o to, że on potrafił z rękawa strzelić nazwami zespołów rockowych, wymieniać instrumenty, kto na czym gra, czy jakieś medyczne szczegóły – które leki trzeba brać na którą chorobę. Miał niewiarygodną wiedzę. Już abstrahując od tego, że jedno z największych filmów, które powstały, to na podstawie jego książek.





Pełnia radości po koncercie w Gdańsku, od lewej: Jakub Jabłoński, Jan Borysewicz, Janusz Panasewicz, Marcin Nowakowski, Krzysztof Kieliszkiwicz, Michał Sitarski i Wojciech Olszak.

### **Czy oprócz telewizji jest jeszcze coś, co cię relaksuje, pozwala oderwać się myślami od rzeczywistości?**

Uwielbiam łowić ryby. Mam rodzinę w norweskim Stavanger i co roku, zanim zaczniemy z Lady Pank wiosenną trasę, staram się tam pojechać i posiedzieć nad wodą. Nie ma zarzucenia wędki, żeby ryby nie wyjął. Kiedy nie jeździłem do Norwegii, to po powrocie z trasy często wsiadałem w samochód i jechałem na Mazury, do Mikołajek do hotelu Gołębiowski, tam zostawałem na jeden dzień, a drugiego dnia jeździłem po okolicznych wioskach, znajdowałem jakiś dom do wynajęcia, zostawałem w nim na przykład na tydzień i komponowałem nowe utwory. Zawsze szukałem domu z pomostem, żeby można było łowić ryby. Widocznie taka medytacja jest mi bardzo potrzebna. Gdy chciałem się totalnie odciąć, skupiałem się na przykład na spławiku, albo gdy łowiłem na spinning, zajmowałem się tylko tą czynnością. I tak nie całkiem mi się to udawało, bo moja głowa ciągle pracuje. Czasami to jest

wkurzające, bo ona cały czas mi gra, nie potrafię wyłączyć tej muzyki. Teraz mi też gra. Dlatego nie wyobrażam sobie, że miałbym robić coś innego, skupić się na czymś innym niż na muzyce. Kiedy wchodzę do studia, od razu jest mi lepiej, od razu się uśmiecham, biorę gitarę, dotykam palcami strun i nagle się okazuje, że to jest mój świat. Może dlatego tak mi trudno znaleźć to moje miejsce, bo może ja już je mam, może to jest właśnie to. Ja i gitara.

**A jak się odnajdujesz w nowej, internetowej rzeczywistości? Kiedyś gwiazdy kreowało radio, potem telewizja, a dziś bez takiego na przykład TikToka trudno zrobić poważną karierę.**

To już jest inne pokolenie. Wiem, że my jako zespół Lady Pank czy ja jako Jan Borysewicz, gitarzysta, mamy dużo bardzo młodych fanów, którzy kochają nasz zespół. Ale nam robić różnych rzeczy pod młodzież nie wypada. TikTok to już nie jest dla nas medium, to nie jest dla nas pole do popisu. Uważam, że my musimy robić swoje i być tacy, jacy byliśmy zawsze. To jest największa siła tego zespołu i tylko tacy będziemy szanowani.

**Miewasz czasem takie dni, kiedy myślisz sobie, że znów poszedłbyś w tango, choćby tak na chwilę, żeby przypomnieć sobie, jak to dawniej było? Takie kombatanckie ciągoty dawnego balangowicza?**

Czasami włącza mi się w głowie demon, ale potem dochodzę do wniosku, że są ważniejsze rzeczy. Oprócz tego, że do starych nawyków naprawdę mnie już nie ciągnie, to nie chciałbym też popaść w konflikt z bliskimi. Z ludźmi, których kocham i na których mi zależy. Tamto dawne życie było naprawdę bardzo bogate, balangowe, wesołe. I chociaż czasami człowiekowi noga się powinęła i musiał swoje odcierpieć, to ja je uwielbiałem. Tyle że ono miało także wpływ na muzykę, czyli to, co w moim życiu najważniejsze. Jak były dwa tygodnie balangi, to w ogóle nie brałem instrumentu do ręki. Potem trzeba było pojechać na koncerty, tam też balanga, i w efekcie miałem styczność z gitarą tylko przez jakiś czas. Wiedziałem, że jestem zdolna bestia, szybko się uczę i łatwo mi to przychodziło. Jednak teraz nadszedł czas na to, żeby poważniej potraktować ten instrument, który sobie

w życiu wymarzyłem. Teraz jadę na koncert, potem grzecznie wracam do domu, siadam w studio, mam czas na wszystko. A wtedy mi tego czasu brakowało. Dzisiaj mogę przestrzegać młodych ludzi, żeby bardziej się kontrolowali, bo naprawdę lot bez trzymanki, bez żadnych hamulców, nigdy się dobrze nie kończy.

**Jak sobie wyobrażasz swoją starość? Bo będzie taki moment, kiedy już nie będziesz miał siły grać albo nie będzie ci się chciało.**

Zawsze wiedziałem, że nie dożyję takich lat.

**Mówisz to z nadzieją czy ze smutkiem?**

Z nadzieją, bo jeżeli miałbym się tak strasznie męczyć, to raczej bym nie chciał. Chyba że dostanę karę za to swoje życie i będę musiał to jakoś przetrwać.



# Przypisy

[1] Jolana – czechosłowacka firma, która w latach 1953–1989 produkowała gitary. Niegdyś grali na nich m.in. Eric Clapton, George Harrison i Jimmy Page. Z czasem jakość zaczęła spadać i gitary Jolany sprzedawano tylko w krajach bloku wschodniego. Uchodziły wówczas za instrumenty dość toporne, ale że innych w sklepach nie było albo kosztowały majątek, to czeskie instrumenty stanowiły przedmiot pożądania młodzieży za żelazną kurtyną. Firma wznowiła produkcję w 2004 roku.

[2] Adam Laboga (1952–2018) – konstruktor sprzętu nagłośnieniowego, twórca marki Laboga produkującej cenione i nagradzane na całym świecie wzmacniacze.

[3] Jerzy Grunwald (ur. 1950) – wokalista, kompozytor, producent muzyczny, zadebiutował w zespole No To Co, współpracował m.in. z Katarzyną Gaertner, Ryszardem Poznakowskim. Od lat 70. mieszka, koncertuje i nagrywa płyty na Zachodzie.

[4] Iglica – stalowa iglica w Parku Szczytnickim o wysokości 90 metrów, zaprojektowana przez Stanisława Hempla, wzniesiona w 1948 roku z okazji Wystawy Ziem Odzyskanych. Do dziś pozostaje jednym z architektonicznych symboli Wrocławia.

[5] Hala Ludowa – obecnie Hala Stulecia. Zbudowana w 1912 roku, zaprojektowana przez Maxa Berga. Miejsce najróżniejszych masowych wydarzeń, w tym koncertów dla publiczności liczącej nawet 10 tysięcy osób. Wpisana na listę międzynarodowego dziedzictwa UNESCO.

[6] Zetor – ciągnik rolniczy produkcji czeskiej firmy, działającej od 1946 roku pod tą samą nazwą.

[7] Tadeusz Nalepa (1943–2007) – legenda polskiego bigbitu i bluesrocka. Kompozytor, wokalista, gitarzysta, harmonijkarz,

założyciel kultowego zespołu Breakout. Skomponował utwór, o którym mówi Jan Borysewicz, *Gdybyś kochał, hej* (słowa: Franciszek Walicki), a który zaśpiewała Mira Kubasińska (1944–2005), prywatnie jego żona.

[8] Romuald Lipko (1950–2020) – lider i główny kompozytor Budki Suflera, multiinstrumentalista. Współpracował z wieloma spośród najważniejszych polskich muzyków lat 70. i 80. XX wieku (m.in.: Anna Jantar, Urszula, Irena Jarocka, Zdzisława Sośnicka, Izabela Trojanowska, Maryla Rodowicz, Felicjan Andrzejczak).

[9] Gibson – amerykańska marka gitar elektrycznych produkowanych od 1902 roku.

[10] Stratocaster – kultowy model gitar elektrycznych produkowanych przez amerykańską firmę Fender od 1954 roku. Na stratocasterach grali m.in.: Jimi Hendrix, Mark Knopfler, Eric Clapton, David Gilmour, Ritchie Blackmore.

[11] Mahavishnu Orchestra – wirtuozerski zespół jazzrockowy założony przez gitarzystę i kompozytora Johna McLaughlina. Wśród polskich muzyków jego wpływ można usłyszeć m.in. w późniejszej twórczości Czesława Niemena czy grupy SBB.

[12] Jacek Krzaklewski (ur. 1950) – gitarzysta i kompozytor, po Super Pakcie grał m.in. w zespołach Test, Banda i Wanda, a od 1989 roku jest członkiem Perfectu.

[13] Stanisław Wenglorz (ur. 1950) – wokalista rockowy. Śpiewał również w zespole Skaldowie, a po epizodzie w Budce Suflera nagrał dwie solowe płyty długogrające.

[14] Romuald Czystaw (1950–2010) – wokalista rockowy, członek Budki Suflera w latach 1978–1983, nagrał z zespołem trzy albumy studyjne: *Na brzegu światła* (1979), *Ona przyszła prosto z chmur* (1980), *Za ostatni grosz* (1982).

[15] Tomasz Zeliszewski (ur. 1955) – perkusista, kompozytor, autor tekstów, menedżer, po śmierci Romualda Lipki lider Budki Suflera. Jest jedynym członkiem zespołu, który zagrał na wszystkich albumach grupy. Nagrywał także z Anną Jantar, Izabelą Trojanowską, Urszulą.

[16] Andrzej Mogielnicki (ur. 1948) – autor tekstów piosenek, producent, współzałożyciel Lady Pank. Współpracował m.in. z Budką Suflera, Anną Jantar, Izabelą Trojanowską, Ireną Jaročką, zespołem Dwa Plus Jeden.

[17] Paweł „Konjo” Konnak (ur. 1966) – poeta i performer związany z awangardową grupą Totart. W latach 90. współtworzył telewizyjny program *Lalamido*.

[18] Mira Kubasińska (1944–2005) – piosenkarka, wokalistka zespołu Breakout, którego była współzałożycielką wraz ze swoim ówczesnym mężem Tadeuszem Nalepą.

[19] Grzegorz Ciechowski (1957–2001) – legenda polskiej sceny muzycznej, muzyk rockowy, pianista, flecista, kompozytor, poeta, autor tekstów. Lider i wokalista grupy Republika, jako solista występował pod pseudonimami Obywatel G.C. i Grzegorz z Ciechowa.

[20] Małgorzata Potocka (ur. 1953) – aktorka, reżyserka, producentka filmowa. W latach 1985–1994 partnerka Grzegorza Ciechowskiego.

[21] Ryszard Riedel (1956–1994) – legenda polskiej sceny muzycznej, wokalista zespołu Dżem i autor tekstów piosenek, bardzo często o charakterze autobiograficznym. Magazyn „Rolling Stone” nazwał go „ostatnim hipisem naszych czasów”. Kilkakrotnie podejmował leczenie uzależnienia od narkotyków – bezskutecznie. Był outsiderem, notorycznie opuszczał próby, nie pojawiał się na własnych koncertach. Zmarł na niewydolność serca spowodowaną wyniszczeniem narkotykami.

[22] Jarosław Szlagowski (ur. 1959) – perkusista i saksofonista rockowy, grał w zespołach: Oddział Zamknięty, Lady Pank, Maanam, z Tomkiem Lipińskim założył zespół Fotoness. Współpracował m.in. z Tadeuszem Nalepą, Kayah, Johnem Porterem.

[23] Elżbieta Dmoch (ur. 1951) – współzałożycielka wspomnianego zespołu Dwa Plus Jeden, a prywatnie również żona Janusza Kruka (rozstali się w drugiej połowie lat 80.).

[24] „Kapiszon” to pseudonim Pawła Mściślawskiego (ur. 1961), basisty zespołów Oddział Zamknięty i Lady Pank.

[25] Keith Richards (ur. 1943) – współzałożyciel The Rolling Stones, gitarzysta i kompozytor większości repertuaru zespołu, autor tekstów, *spiritus movens* Stonesów, z naciskiem na *spiritus*.

[26] Stołeczna Estrada – działająca od 1955 roku instytucja kultury. Zajmuje się organizacją wydarzeń kulturalnych w Warszawie (festiwalu, koncertów muzyki rozrywkowej i klasycznej, imprez plenerowych, widowisk, wystaw).

[27] Jeff Beck (ur. 1944) – brytyjski wirtuoz gitary, sześciokrotny zdobywca nagrody Grammy. Sławę zdobył jako członek zespołu The Yardbirds, ale w kolejnych latach swojej kariery zdecydowanie przedkładał poszukiwania artystyczne nad sukces komercyjny.

[28] Houk – polski zespół grający muzykę z pogranicza hard rocka, grunge'u i reggae, istniał w latach 1988–2003.

[29] Tapping – technika gry na instrumentach strunowych, głównie na gitarze elektrycznej, mająca na celu wydobyć dźwięku poprzez dociskanie struny palcem do gryfu.

[30] Gretsch – amerykańska firma produkująca instrumenty muzyczne, przede wszystkim gitary, założona w 1883 roku na Brooklynie w Nowym Jorku.

[31] Jacek Skubikowski (1954–2007) – piosenkarz, kompozytor, autor tekstów. Współpracował z zespołami jazzowymi, a także z Wolną Grupą Bukowina. Pisał teksty piosenek dla m.in.: Martynty Jakubowicz, Krystyny Prońko, Ewy Bem i Lady Pank.

[32] Robert Gadocha (ur. 1946) – legenda polskiego futbolu, piłkarz grający w reprezentacji narodowej, złoty medalista olimpijski w 1972 roku w Monachium i srebrny medalista mistrzostw świata w 1974 r. w RFN i Berlinie Zachodnim.

[33] Grzegorz Przymyk (1964–1983) – uczeń warszawskiego liceum im. Frycza Modrzewskiego, który po imprezie z okazji zdanej matury został zatrzymany przez milicję na placu Zamkowym i pobity przez funkcjonariuszy na komisariacie przy ul. Jezuickiej. W wyniku ciężkich urazów jamy brzusznej zmarł dwa dni później. Przymyk był synem poetki i opozycjonistki Barbary Sadowskiej. Pogrzb Przymyka



na Powązkach stał się gigantyczną manifestacją antykomunistyczną, pierwszą na taką skalę od czasu wprowadzenia stanu wojennego.

[34] Radio Wolna Europa – amerykańska rozgłośnia radiowa, powstała w 1949 roku. Nadawała audycje do krajów bloku wschodniego, gdzie nie było swobodnego przepływu informacji ani wolności słowa. W początkowym okresie istnienia PRL-u słuchanie Wolnej Europy było ścigane i karane więzieniem. RWE przez całe dziesięciolecie była zagłuszana przez służby bezpieczeństwa państw komunistycznych.

[35] Kuba Jabłoński (ur. 1972) – perkusista; pracował jako dziennikarz muzyczny w radiu, współpracował z Kazikiem. Od 1994 roku gra w Lady Pank.

[36] Krzysztof „Kielich” Kieliszkiwicz (ur. 1972) – gra na gitarze basowej i elektrycznej oraz na instrumentach klawiszowych, od 1994 roku basista Lady Pank.

[37] Berklee College of Music – amerykańska uczelnia muzyczna, specjalizująca się w muzyce współczesnej, założona w 1945 roku w Bostonie, jedna z największych i najbardziej prestiżowych szkół tego typu na świecie.

[38] Cricket Club – klub prowadzony przez Leszka Świerszcza, muzyka, trębaczka i klawiszowca, człowieka, z którym znali się chyba wszyscy polscy muzycy przyjeżdżający do Stanów. W Cricket Club występowali m.in.: Czesław Niemen, Irena Jarocka, Budka Suflera, Perfect, Republika, Kazik.

[39] Wiesław Jacek Gola (1963–2015) – perkusista rockowy, grał w zespołach Mech i Oddział Zamknięty, w latach 1987–1988 w Lady Pank.

[40] Pati Yang (ur. 1980) – polska piosenkarka synth-popowa.

[41] Andy Summers (ur. 1942) – gitarzysta i kompozytor, grał ze Stingiem i perkusistą Stewartem Copelandem w The Police.

[42] Lou Reed (1942–2013) – amerykański wokalista rockowy, gitarzysta, kompozytor, autor tekstów. Wraz z Johnem Cale’em współzałożyciel The Velvet Underground, jednego z najbardziej wpływowych zespołów w historii muzyki popularnej. Velveci nie

zdobyli wprawdzie szerszej popularności, gdy razem grali, ale położyli podwaliny pod m.in. punk rock, art-pop, noise, indie i w zasadzie wszystkie inne odmiany alternatywnego rocka.

[43] Alice Cooper (ur. 1948) – wokalista, kompozytor, „ojciec chrzestny shock rocka”, wykorzystujący w swojej twórczości i wizerunku scenicznym elementy ikonografii rodem z horroru, makabry, groteski.

[44] Michał Urbaniak (ur. 1943) – legenda światowego jazzu, muzyk, kompozytor i aranżer; gra głównie na skrzypcach i saksofonie. W 1965 roku wyjechał na Zachód, mieszkał i tworzył w Szwecji, Niemczech i Szwajcarii, od 1973 roku w Nowym Jorku.

[45] Urszula Dudziak (ur. 1943) – wokalistka jazzowa, kompozytorka, autorka tekstów. Współpracowała z Krzysztofem Komedą, Voo Voo, a także ze Gilem Evansem i Bobbym McFerrinem.

[46] Tom Petty (1950–2017) – wokalista, gitarzysta, kompozytor, autor tekstów.

[47] Miami Sound Machine – założony w 1975 roku amerykański zespół grający muzykę pop-latino. Jego wokalistką była Gloria Estefan, piosenkarka, autorka tekstów, kompozytorka, która na przełomie lat 80. i 90. XX wieku rozpoczęła solową karierę i zyskała światową popularność.

[48] Kathleen Turner (ur. 1954) – amerykańska aktorka, sławę zdobyła głównymi rolami w filmach *Żar ciała*, *Miłość, szmaragd i krokodyl*, *Peggy Sue wyszła za mąż*. Jedna z ikon kina lat 80.

[49] David Bowie (1947–2016) – wokalista, kompozytor i okazjonalnie aktor, twórca kilku spośród najważniejszych płyt w historii rocka i popu, znany ze swojego zamiłowania do eksperymentów, zmian wizerunku i muzycznego stylu.

[50] Wojciech Pilichowski (ur. 1969) – basista, kompozytor, jako muzyk sesyjny nagrał kilkadziesiąt płyt. Współpracował z takimi muzykami jak: Michał Urbaniak, Maryla Rodowicz, David Lee Roth (Van Halen), Nicko McBrain (Iron Maiden), Chris de Burgh, Zbigniew Hołdys.

[51] Wojciech Olszak (ur. 1976) – klawiszowiec, pianista, muzyk sesyjny, kompozytor, producent muzyczny, realizator dźwięku.

Współpracował m.in. z Teatrem Buffo, Edytą Górniak, Natalią Kukulską.